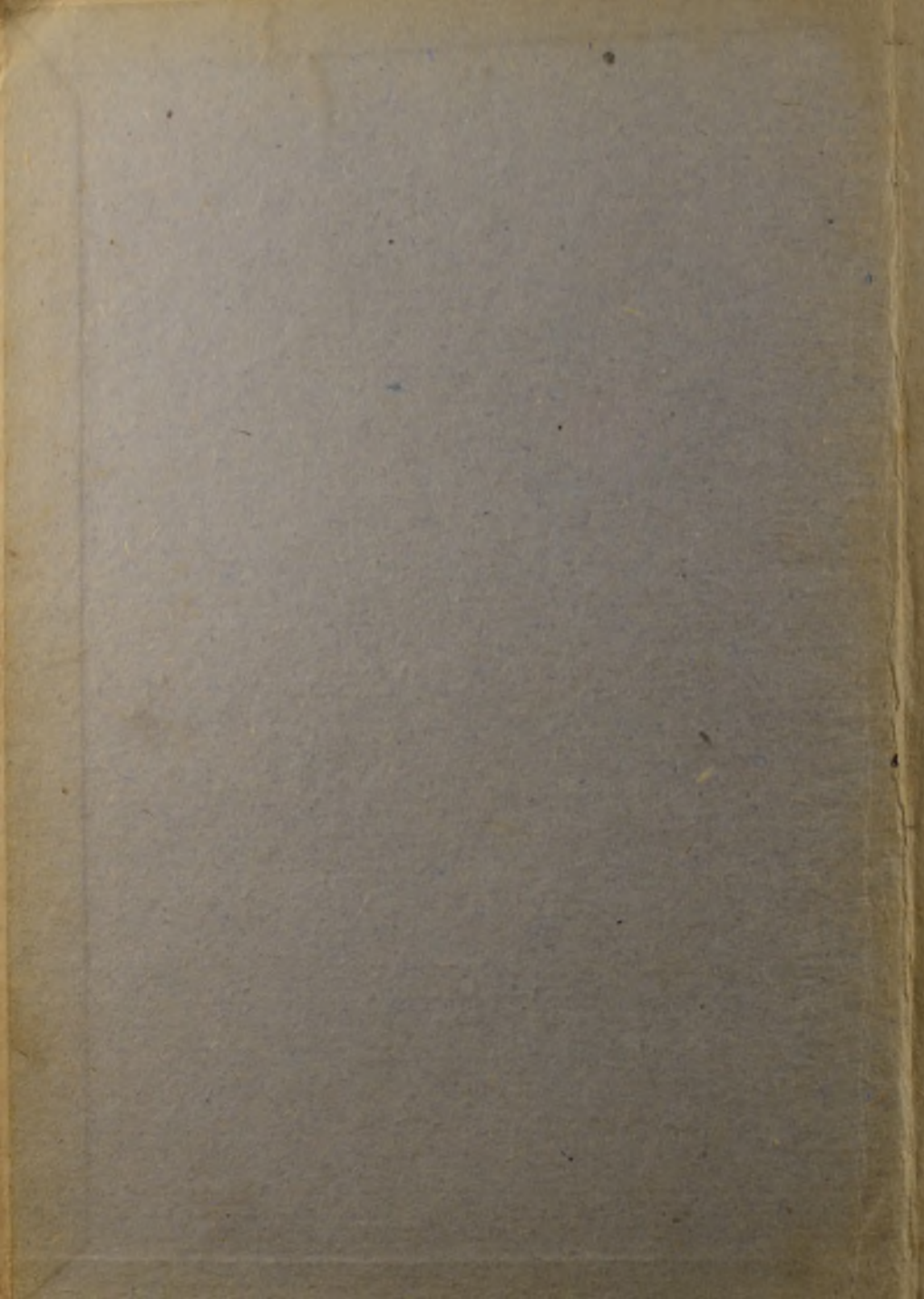


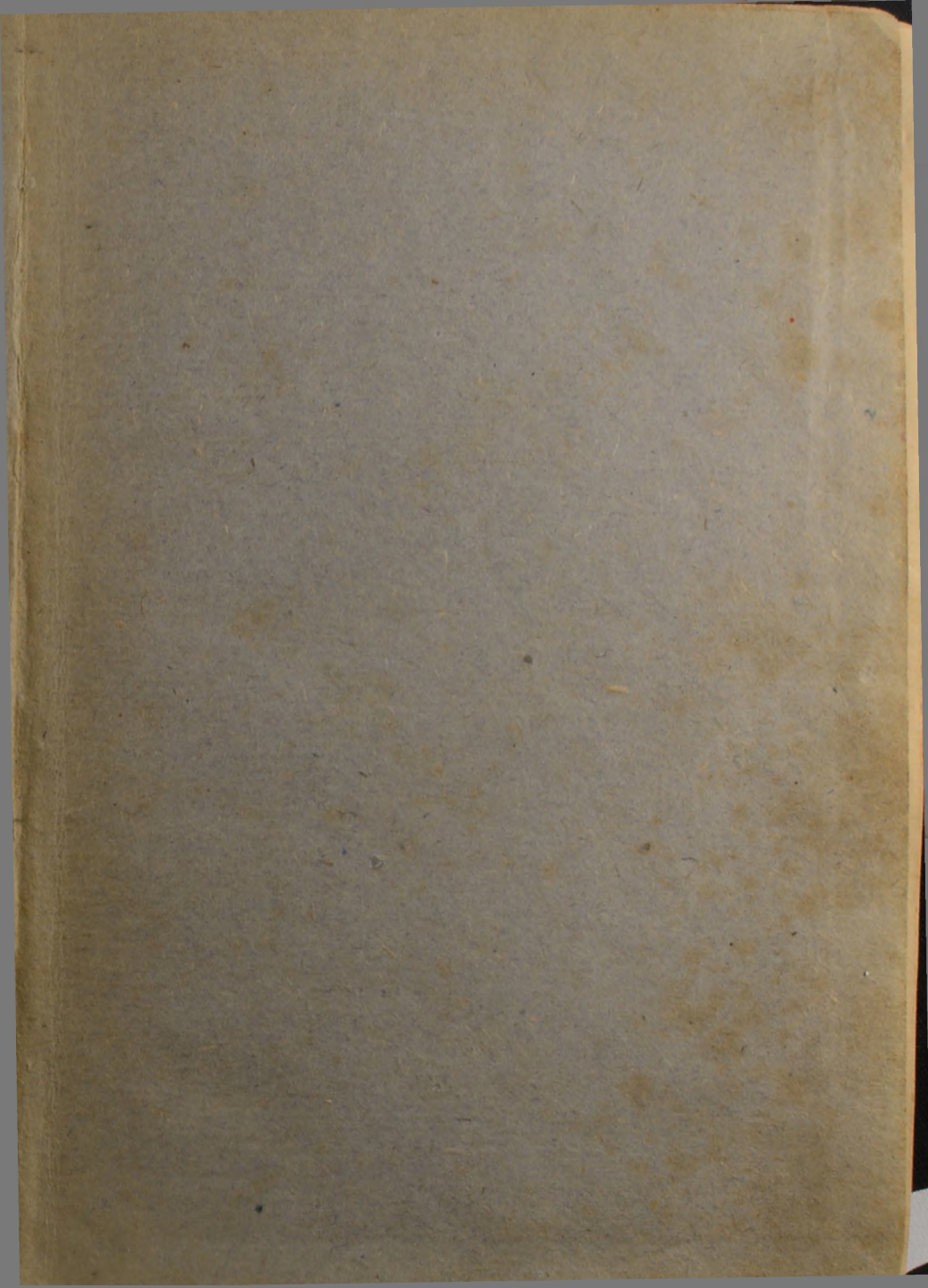
H. G. WELLS

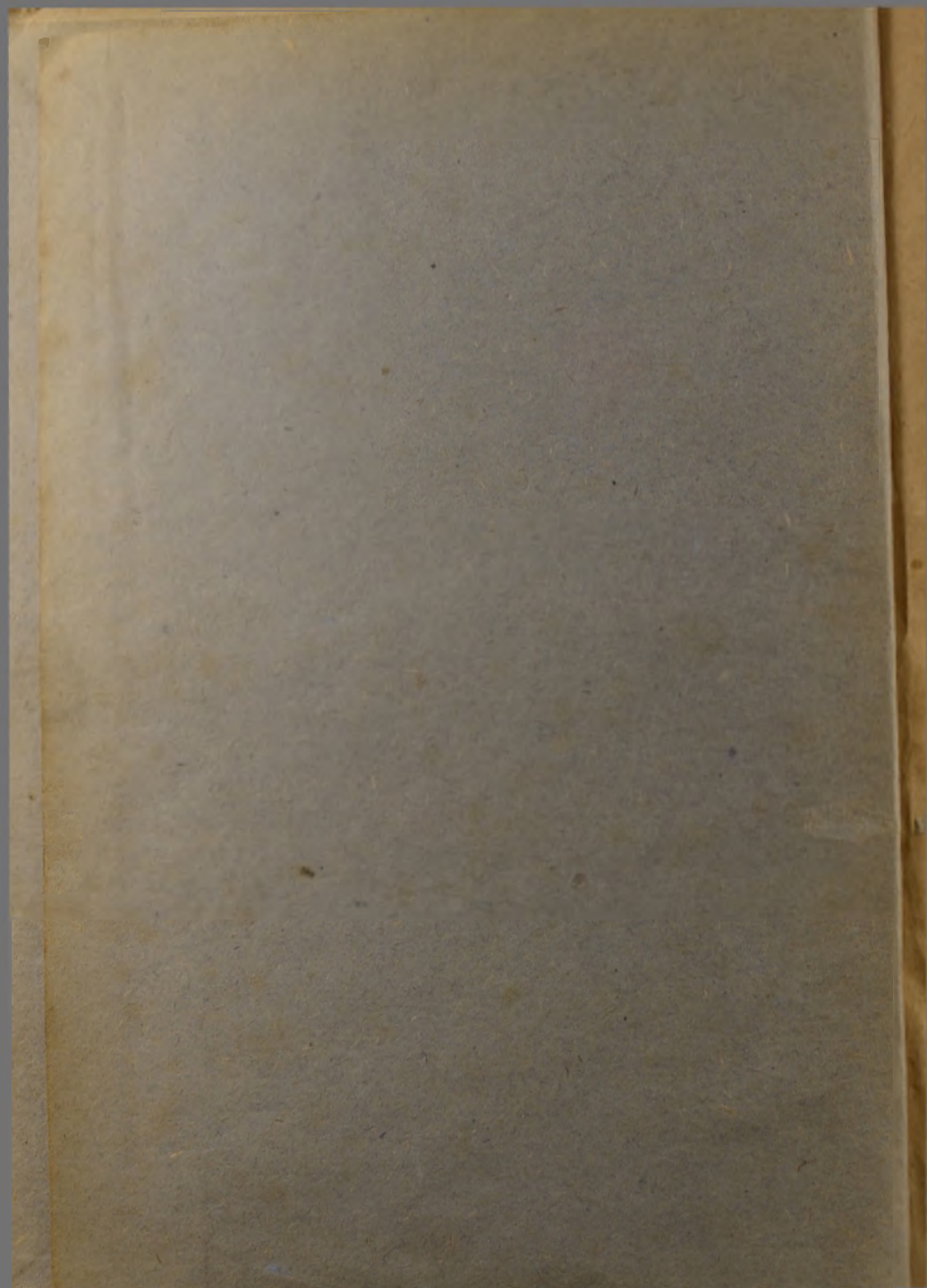


PIERWSI LUDZIE
NA KSIĘŻYCY

POZNAŃ KSIĘGARNIA Ś. WOJCIECHA

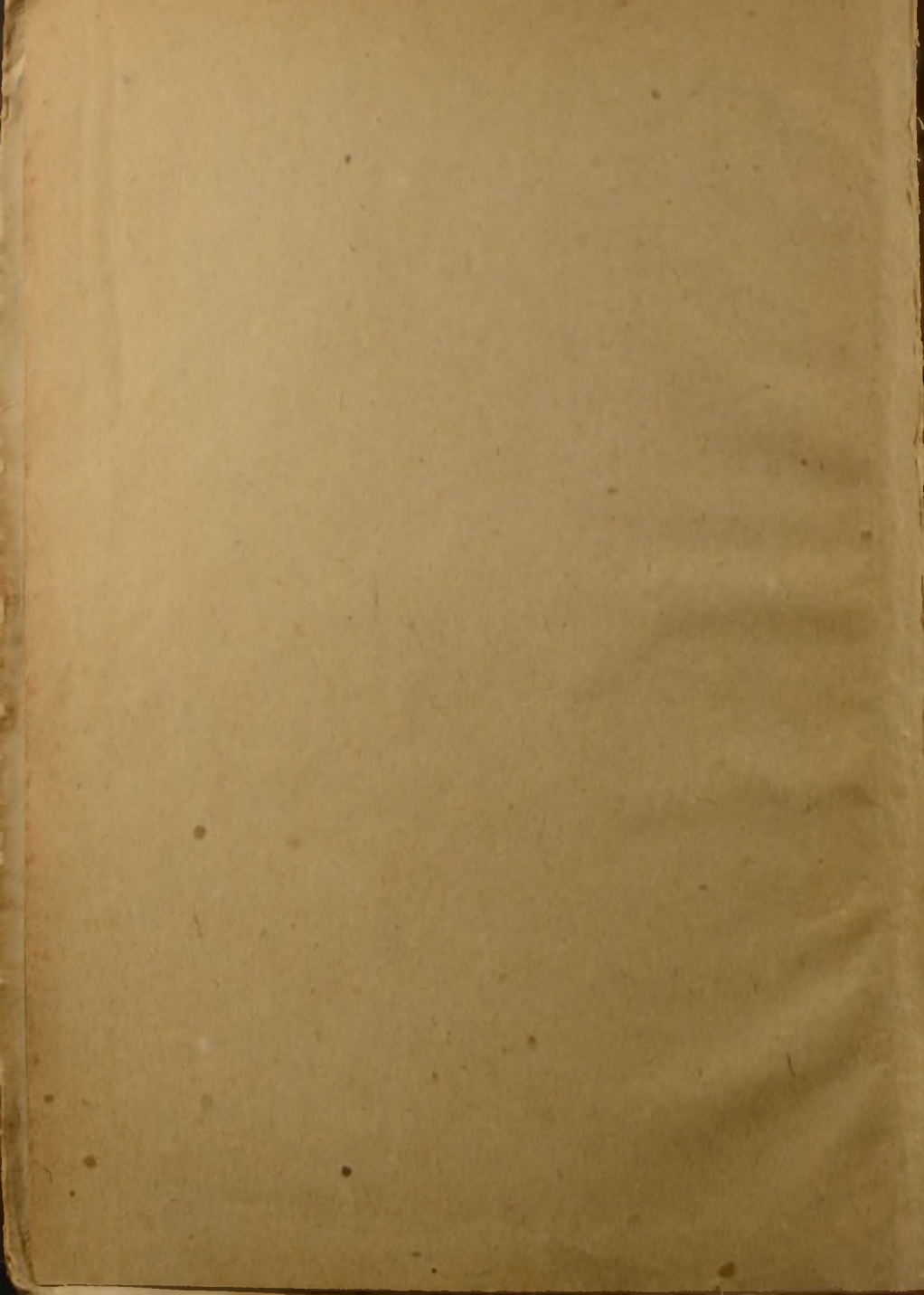


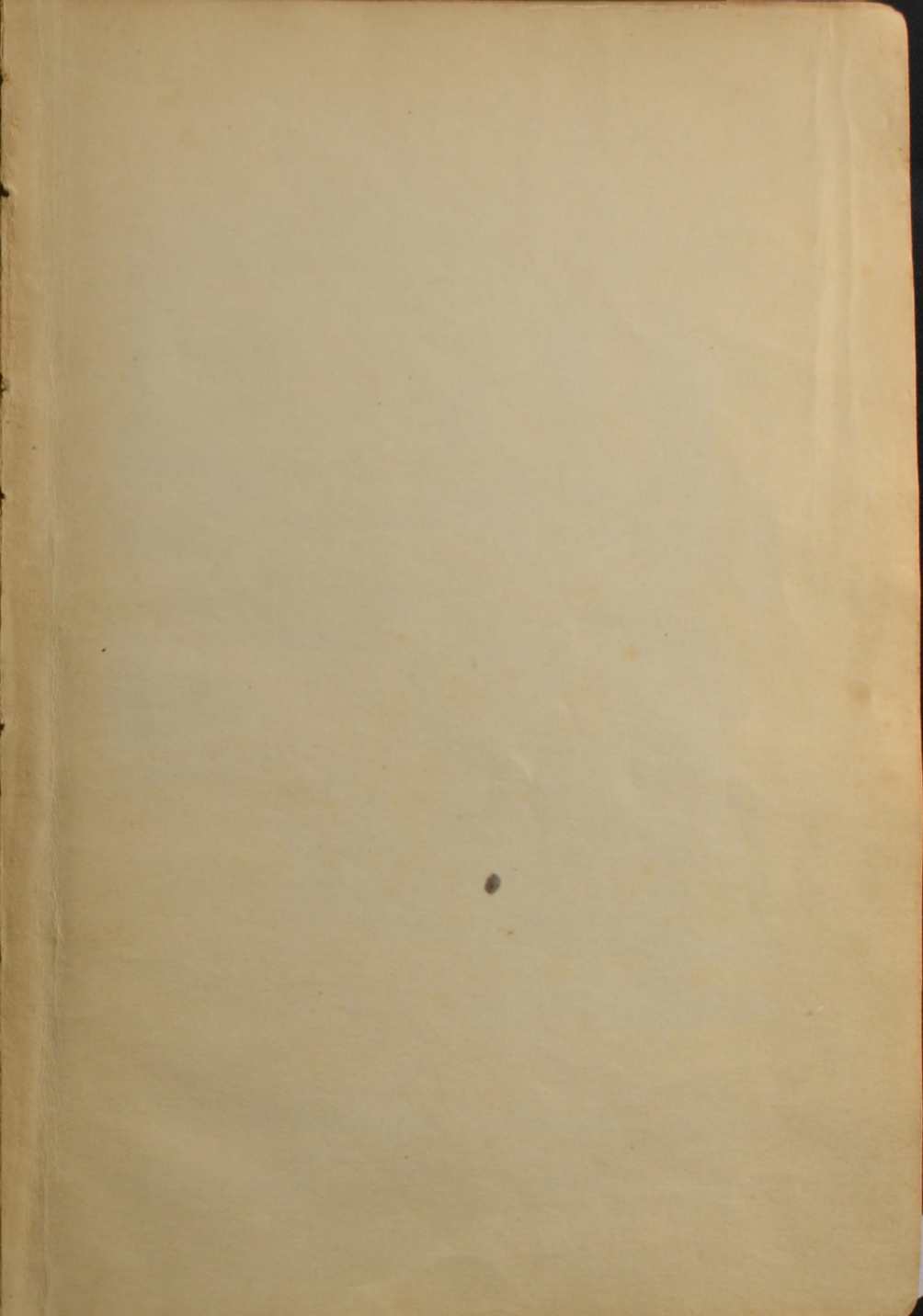




PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU









...przychodzę przyrzeć się zachodowi słońca. Str. 5.

(Pierwsi ludzie na księżycu.)

PHOTODUPLICATIONS
WOLFF & POZNAN

H. G. WELLS

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
STANISŁAWA MAZANOWSKIEGO
Z ILUSTRACJAMI M. JANOSZANKI

❖ K. Witkowski. ❖

— — — — —
❖ Nr. 1. ❖
— — — — —

POZNAŃ WARSZAWA
NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

Mr. Bedford spotyka Mr. Cavora w Lympne.

Dziś, kiedy siedzę w cieniu winnicy pod błękitnym niebem południowej Italji, wydaje mi się czystym przypadkiem spotkanie moje z Mr. Cavorem i udział w jego dziwnych przygodach. — A tak przecież było.

Pamiętam, byłem właśnie wówczas w takim usposobieniu ducha, które kazało mi unikać najmniejszego niepokoju. I w Lympne zamieszkałem tylko dlatego, że to chyba najspokojniejsza miejscowość w świecie — istna mysia nora. „Tutaj w każdym razie można będzie bez przeszkody pracować“ — myślałem. Tymczasem inaczej się stało!

Muszę zaznaczyć, że bezpośrednio przedtem poniosłem znaczne straty w rozmaitych handlowych przedsiębiorstwach i — jak dziwnie mi myśleć o tem dziś, kiedy opływam w dostatki — cierpiałem wówczas biedę dotkliwą.

Nie będę się rozwodził, jak się to stało; rzecz znana: wszystkie handlowe przedsiębiorstwa połączone z ryzykiem — no i zaryzykowałem, tylko bardzo nieszcześliwie. Przyszło pożegnać się z całym majątkiem — jeszcze zostali wierzytiele nie bardzo do ustępstw skłonni.

Cóż miałem robić? Pójść pracować za ladą sklepową?

Wydawało mi się, że po przedsiębiorstwach handlowych najpopłatniejszym zajęciem jest pisanie sztuk teatralnych. Zawsze uważałem się za uzdolnionego do dramaturgji, tylko odkładałem pisanie na czarną godzinę. Niestety! godzina ta nadeszła — zdecydowałem się popróbować.

Wkrótce musiałem przyznać, że nie tak to łatwo, jak mi się zdawało napisać dramat (z początku przeznaczałem na to dziesięć dni tylko) — przyszedłem też do przekonania, że koniecznie muszę się oddzielić od świata.

• Oto powód osiedlenia się mego w Lympe, oto dlaczego najałem małą chatkę, prawie bez mebli i sam postanowiłem sobie przyrządzać obiady.

Oczywiście — mistress Bond nie byłaby zadowolona z mej kuchni — jednak trzeba to jako łagodzącą okoliczność wziąć pod uwagę, że nie miałem żadnych naczyń, prócz dzbanka na kawę i dwóch patelni.

Wogóle, biorąc piwo i bułki na kredyt — niebardzo biedowałem.

A już pod względem samotności — nad Lympe nie znalazłbym lepszego.

Miasteczko to leży w gliniastym pasie hrabstwa kentskiego; moja chatka wychodziła na Romneyskie bagna, za które wdali sinią morze. Dżdżystą porą w Lympe ani przejść, ani przejechać nie można. Mówią nawet, że listonosz chodzi na szczydlach.

Gdyby nie historyczne wspomnienia (Lympe za czasów rzymskiego panowania byłowielkim, morskim portem Anglii zwanym Portus Lemanus — obecnie morze odeszło już na cztery mile od brzegu) — mia-

steczko naprawdę dawnoby już porzucono. Do dziś jeszcze zachowały się tam ruiny rzymskich budowli; istnieje nawet jedna ulica, którą brukowali Rzymianie.

Często wchodziłem na wierzchołek pagórka i patrząc na rozścielające się u stóp mych okolice, myślałem o dziwnym losie tego zakątka ziemi: niegdys bogaty port, moc okrętów, ożywiony tłum ludzi, a dziś — kałuża błota, para baranów, pasących się na trawie — no i ja...

Tam gdzie był dawniej port, teraz rozpanoszyło się nieprzejrzané bagnisko, a po brzegach jego, gdzie niegdzie sterczą dzwonnice średniowiecznych miasteczek, powoli wymierających, podobnie jak Lympe.

Widok bagien całkiem niebrzydki. Zbliżka wszystko porwane jarami i kanałami, a wdali, na morzu mil z piętnaście od brzegu widnieje Dungeness, rodzaj niby wielkiej grobli. Jeszcze dalej ku zachodowi pagórki Hastingsu. Czasami wydają się całkiem bliżkie, czasami znikają z widnokregu.

Okno, przy którym pracowałem, wychodziło na wzgórze; z tego okna po raz pierwszy ujrzałem Cavora, właśnie w chwili, gdy m biedził się nad scenariuszem mej sztuki.

Słońce tylko co zaszło. Osobliwa, czarna sylwetka Cavora ostro rysowała się na zielono-żółtem tle nieba, tak że nie mogłem nie zwrócić na nią uwagi.

Był to maleńki, okrągłutki, cienkonogi człowieczek o bardzo energicznych ruchach i nader oryginalnie odziany: w kriketową czapkę, marynarkę, krótkie spodełki do roweru i pstre pończochy. Bezustannie gestykulował rękami, kiwał głową i mruczał! Jak żyję, nie słyszałem takiego mruczenia — całkiem jak szmer silnego, elektrycznego motoru.

Prócz tego co chwila głośno odcharkował.

Przeszedłszy mimo mego okna, zaczął wdrapywać się na wzgórek, po ścieżce nadzwyczajnie oślizgłej skutkiem świeżego deszczu. Na szczycie wzgóreczka stanął, spojrzął na zegarek i natychmiast zaczął schodzić zpowrotem — z widocznym pośpiechem, olbrzymimi krokami stawiając nogi oblepione skorupą gliniastego błota.

To zaszło w pierwszym dniu mego pobytu w Lymnie, a więc w najbardziej gwałtownem stadium twórczej gorączki; to też pogderawszy trochę na przeszkodę w pracy, zaraz powróciłem do mego scenarjusza. Cóż, kiedy to zjawisko powtórzyło się z najmniejszymi szczegółami na drugi i trzeci dzień, potem zaczęło się powtarzać co każdy pogodny wieczór, tak że trudno mi już było skupić uwagę.

— Niech go diabli wezmą — myślałem — czy przypadkiem nie uczy się uchodzić za marionetkę?

Po niejakim czasie złość moja zaczęła przechodzić w zaciekawienie. Co tam może robić ten szczególnie, maleńki człowieczek?

Po dwóch tygodniach nie mogłem dłużej wytrzymać i pewnego pięknego wieczora podszedłem ku niemu właśnie w chwili, gdy stojąc na szczycie wzgóreczka wyjmował zegarek.

Zbliża twarz jego okazała się mięsistą i czerwoną o meleńkich, czarnych oczkach.

— Minutkę, sir, jeśli wolno — zagadnąłem.

— Minutę — powtórzył — do usług! Lecz jeśli pan chciałby ze mną porozmawiać, może się razem przejdziemy?

— Z całą przyjemnością — odrzekłem, idąc za nim.

— Jak pan widzi, prowadzę bardzo uregulowane życie. Czasu mam niewiele.

— Pan rzeczywiście o tej godzinie zawsze spaceruje?

— Tak, przychodzę przyjrzeć się zachodowi słońca.

— Tylko, że nigdy pan na nie nie patrzy.

— Jak? — nigdy nie patrzę?

— No tak, trzynastcie wieczorów już śledzę pana i ani razu nie zauważyłem, żeby pan obserwował słońce — ani razu.

Zmarszczył brwi, jakby rozwiązując jakieś trudne zagadnienie.

— No tak, przedewszystkiem rozkoszuję się czystem powietrzem. Wchodzę po tej ścieżynce i przez tamte wrota — zwrócił głowę w tę stronę — wracam. Zakreślam koło.

— Ależ nigdy pan nie robił i nie robi tej drogi; przecież tam żadnego przejścia niema. Ot — na przykład dzisiaj.

— No tak, dzisiaj... Dzisiaj, spojrzawszy na zegarek przekonałem się, że już za mało czasu, by iść naokoło. Straciłem niepotrzebnie trzy minuty, musiałem się spieszyć....

— Codziennie pan tak samo traci...

Mały człowieczek spojrział na mnie ze zdziwieniem i pomyślawszy chwilę odrzekł: — Być może, być może... że tak i jest. A o czymże to chciał pan ze mną mówić?

— O tem właśnie.

— O czym?

— Dlaczego pan zawsze to samo robi? — Dlaczego pan tak dziwnie mruczy...?...

— Mruczę?

— No, właśnie — ot tak — zacząłem naśladować jego mruczenie.

Małego człowieka dźwięk ten widocznie przykro uderzył.

— Czyż ja naprawdę tak robię?

— Codziennie.

Zatrzymał się z godnością i uważnie popatrzył na mnie.

— Czyż możliwe, żeby u mnie wytworzyło się takie przyzwyczajenie? — pytał.

— Niech pan sam osądzi. Bardzo prawdopodobne, że tak.

Schwycił dolną wargę dwoma palcami prawej ręki i zaczął patrzeć na błoto, rozpryskujące się pod stopami.

Pomilezawszy chwilę, rzekł. — Jestem bardzo zajęty a, pan chce wiedzieć dlaczego to wszystko robię. Mogę pana zapewnić, że sam nie wiem i do dziś nie wiedziałem o tem zupełnie. Muszę wierzyć, że pan ma słuszość. Rzeczywiście nigdy nie przekroczyłem granic tego pola. Pewnie pana tem bardzo niepokoję?

— Nie żeby mnie pan niepokoił — odrzekłem — ale proszę sobie wyobrazić, że piszę sztukę...

— Nie mogę sobie tego wyobrazić — przerwał.

— Więc, że chce pan wogóle skupić myśli.

— Ach, tak, pojmuję — krzyknął i przy tem tak się zmieszał, że zrobiło mi się przykro. Wszak to niegrzecznie pytać nieznanego człowieka, dlaczego dyszy, idąc ulicą.

— Bo to widzi pan — ciągnął, jakby przeprasza-
jąc — takie u mnie powstało nawyknięcie; trzeba je zwalczyć.

— Niema poco, jeżeli trudno. A zresztą, co mnie do pańskich nawyknięć; uważałbym to za ograniczenie pańskiej wolności, gdybym go chciał nakłonić do pozbycia się ich.

— Ależ nie, przeciwnie, jestem panu obowiązany. Unikać muszę nawyknień. Czy nie byłby pan łaskaw jeszcze raz mi powtórzyć to mruczenie.

— A otóż, coś w rodzaju: zuzzu, zuzzu, zuzzu... ale, zresztą, wie pan, to trudno...

— Tak, rozumiem! Bardzo dziękuję! W istocie staję się mocno roztargnionym. Ma pan rację, panie, zupełną rację. Bardzo dziękuję. Ale trzeba z tem skończyć; boję się, żebym pana zanadto od domu nie odciągnął.

— Spodziewam się, że pan się nie gniewa.

— Ależ nie, wcale nie!

Moment staliśmy jeszcze w milczeniu, poczem uchyliłem kapelusza i pożegnałem się. Nerwowym ruchem odklonił się i takeśmy się rozeszli. Na progu swego domku obejrzałem się i zdziwiłem zmianą całej postaci dziwaka. Już nie mruczał, nie gestykułował, lecz szedł zwolna, osłabiony, jak gdyby kulejąc. To mnie, nie wiem czemu, wzruszyło. Zaczekawszy aż znikł, powróciłem do swej sztuki.

Przez dwa wieczory nie zjawiał się, tak, że zaczęło mi go brakować, zwłaszcza, że mógł mi stać się typem sentymentalno-komicznej osoby dla sztuki. Na trzeci dzień niespodzianie wszedł do mnie.

W pierwszej chwili zdziwiłem się, ale wnet wszystko się wyjaśniło: chciał kupić mój domek.

— Nie śmiem panu czynić wymówek — mówił — ale pan wpłynął na zmianę moich nawyknień. Latami tu przechadzałem się, może i mruczałem, a pan mi to uniemożliwił.

Wyraziłem przypuszczenie, że może obierze inne miejsce dla swych przechadzek.

— Niepodobna. Tu niema gdzie więcej spacerować; już próbowałem, muszę teraz wszystkie wieczory spędzać w domu.

— Ależ miły panie, jeśli to dla pana tak nieodzwonne...

— Dla mnie to wprost sprawa życia lub śmierci. Ja, widzi pan, zajmuję się naukowemi badaniami... wynalazkami... mieszkam ot, tam — wskazał palcem w kierunku okna — w tym domu z białym kominem, z za drzew sterczącym. A teraz kończę bardzo ważne doświadczenie... bardzo ważne, zapewniam pana. Wymaga ciągłego wysiłku myśli, nieustannej uwagi. Wieczorem zaś głowa pracuje szczególnie intensywnie; tu właśnie miewam szczęśliwe pomysły, tu oglądam rzecz z nowego punktu widzenia.

— Czemużbyś pan w takim razie nie miał przedhadzać się, jak dawniej?

— Niepodobna. Teraz musiałbym myśleć o panu, o pańskiej sztuce, o tem, że pan mnie śledzisz i gniewasz się. Nie, muszę kupić ten domek.

Prosiłem o zwłokę do namysłu, zanim stanowczo odpowiem. Jahym się gotów i zgodzić, ale wszak dom nie mój i niewiadomo, jak zmianę mieszkańca przyjmie gospodarz. A nareszcie, mały ów człowieczek czyni jakieś doświadczenia i to bardzo ważne; warto by się o nich dowiedzieć więcej, może i dla mnie znajdzie jakieś odpowiednie zajęcie. Postanowiłem wysondować swego znajomego.

Okazał się przystępnym i zaczął opowiadać jak człowiek, który długo milczał. Mówił godzinę. I wyznaje, że m się zasłuchał. Co prawda, na pierwszy raz niewiele z tych objaśnień zrozumiałem, tak były zasypane nieznanemi terminami a nawet formułami matematycznymi, które zapisywał na strzępku koperty.

— Tak, tak — potakiwałem — niech pan mówi dalej. — Jednak nie wiem, czy w stosownym czasie wtrącałem te słowa.

Niemniej doszedłem do przekonania, że mam przed sobą nie obłąkańca, nie szarlatana ani zwykłego fantastę. Odkrycia jego były głęboko przemyślane. Opowiadał mi o swoim laboratorium i o trzech pomocnikach, prostych chłopach, których sam poduczył. Wkońcu zaproponował mi, abym zaszedł do niego i przyjrzał się jego siedzibie, na co skwapliwie zgodziłem się, tem chętniej, że przez to rozwiązanie kwestji sprzedaży domku przewlekano się znowu.

Wkońcu gość mój wstał, aby pożegnać się, usprawiedliwiając się za przydługą nieco wizytę. Mówił, że rozmowa o jego przedsięwzięciu sprawiła mu rzadką przyjemność, że nieczęsto można znaleźć tak inteligentnego słuchacza.

— Wszędzie — ciągnął — tak wiele małostkowości, taka moc intryg! Wystarczy tylko wskazać nową, twórczą a wykonalną ideę, żeby...

A ja, powodując się impulsem, niewiele myśląc przerwałem mu, chcąc zrobić śmiałą propozycję.

— Dlaczegożby — rzekłem — nie miał pan przychodzić do mnie codziennie pogadać o swojej pracy. Przyzwyczaił się pan myśleć o niej podczas spacerów. Teraz, niestety, to przyzwyczajenie naruszyłem. Czemużby nie zamienić go na inne? Niech pan patrzy na mnie jak na akumulator, który pan będzie codziennie naładowywał, aby w razie potrzeby móc się tym nabojem posługiwać. Ja tak mało znam się na tem wszystkim, że ani sam nie mogę pańskiej idei podchwycić, ani też poddać jej komuś innemu.

Widocznie zajęty tą myślą przemilczał chwilę, wreszcie rzekł:

— Ale pewnie pana będę krępował?

— Nigdy w świecie! Nadzwyczajnie mnie pan dziś zainteresował.

— Jeśli tak, byłoby mi ogromnie miło. Nie tak nie rozjaśnia myśli, jak możność wyłożenia jej drugiemu. Dotychczas...

— Ani słowa więcej, drogi panie. Sprawa ułożona.

— Doprawdy boję się nadużywać pańskiego czasu.

— Niema lepszego odpoczynku niż zmiana zajęć.

Na tem skończyliśmy. Schodząc ze schodów, obrócił się i rzekł:

— Ja i tak już bardzo panu jestem obowiązany.

Na moje pytające spojrzenie dodał:

— Dzięki panu wyleczyłem się z nawyczki chrapania czy mruczenia, jak pan mówi.

Skloniwszy się, odrzekłem, że bardzo mi miło być mu pożytecznym w czem mogę.

Ledwie zeszedł ze schodów, zaczął mruczeć i wymachiwać rękami, stare nawyknięcia widocznie brały górę, skoro tylko przestawał uważać na siebie.

— No cóż, koniec końców to mnie nic nie obchodzi.

Po tej rozmowie odwiedzał mnie dwa dni z rzędu i za każdym razem odczytywał całe prace o „eterze“, „potencjale siły przyciągania“, „koncentracji energii“ i tym podobnych tematach. Zagłębiwszy się w wygodne krzesło, od czasu do czasu dorzucałem pojedyncze słowa: „właśnie“, „tak, tak“, „rozumiem“, chociaż w rzeczywistości bardzo niewiele pojmowałem. Tylko czasami w jego lekcjach trafiały się miejsca dla mnie zupełnie jasne, szybko jednak traciłem wątek myśli. Po niejakiem czasie uwaga moja do tego stopnia wygasła, że zupełnie przestawałem słyszeć i pa-

trzałem na czytającego tylko w celu wyzyskania jego postaci do roli komicznej figury w jakiegokolwiek farsie.

Przy pierwszej sposobności wybrałem się zwiedzić jego siedzibę. Okazała się bardzo obszerną i nadzwyczajnie skromnie urządzoną. Prócz trzech wyżej wspomnianych pomocników nie miał żadnej posługi, jadał więcej niż z filozoficzną prostotą, był absolutnym wegetarjaninem, nie pijał nic prócz wody.

Szczegółowe oględziny jego laboratorium mogły usunąć wszelkie nasuwające się wątpliwości: dom od góry do dołu przedstawiał się jak doskonale urządzonej fabryka o bardzo interesującym i czynnym wyglądem. W piwnicach stały dynamomaszyny, na pierwszym piętrze wszystkie możliwe chemiczne i fizyczne aparaty, w kuchni paleniska i piece różnego rodzaju, w sadyku ustawiony był motor gazowy. Gospodarz pokazywał mi to wszystko z takim zapalem, do którego być może zdolny tylko człowiek, który wiele dni przeżył i przemyślał w osamotnieniu. Podwójną gadatliwością wynagradzał sobie teraz długie milczenie.

Pomocnikami jego byli ludzie, co to są „do wszystkiego“, nie nadzwyczajnie inteligentni, zato sumienni, silni, sprytni i pojętni. Jeden z nich Sparg, z zawodu ślusarz, był dawniej marynarzem; drugi Gibbs, zajmował się stolarstwem, trzeci, dawniej ogrodowy robotnik, teraz stał się prawą ręką samego Cavora, stojącego na czele całego dzieła. Wszyscy trzej jeszcze mniej ode mnie rozumieli z tego wszystkiego, mimo to każdy z nich ściśle i dokładnie wypełniał pracę powierzoną mu przez mistrza.

Wyznaję, że jestem w kwestiach naukowych fanem, nie będę się tedy nawet starał wyklądać naukowym językiem treści jego doświadczeń, gdyż ta-

kie usiłowania zbiloby z tropu nietylko czytelników, ale i mnie samego. Postaram się natomiast wypowiedzieć swoje wrażenia tak, jak sam je przyjąłem, i takim językiem, jakim umiem.

Celem badań Cavora było wynalezienie „nieprzezroczystej materji“ (on użył tu jakiegoś innego, równoznacznego terminu, który zapomniałem) w stosunku do różnego rodzaju „energji promienistej“. „Promienistą energią“, według niego, jest każda siła, rozprzestrzeniająca się z pewnego centralnego punktu promieniami i oddziaływująca na ciała przez odległość, podobnie jak światło, ciepło, fale elektryczne Marconiego, jak promienie Roentgenowskie, o których niedawno tak wiele mówiono, lub jak siła przyciągania. Prawie wszystkie materje więcej lub mniej są nieprzezroczyste czy nieprzepuszczające dla tej lub innej formy promienistej energji. Naprzykład szkło łatwo przepuszcza światło, a tak bardzo silnie zatrzymuje ciepło, że może służyć jako materiał na ekrany przed kominkami, a aluminium także całkiem przezroczyste dla światła, zupełnie ciepła nie przepuszcza. I naodwrot roztwór jodu w siarkowęgłowodorze dobrze przepuszczający ciepło, zgoła nieczuły jest na światło. Wszystkie metale okazują się nietylko obojętne na światło i ciepło, lecz i na fale elektryczne swobodnie przenikające szkło i roztwór jodu. Ale ze wszystkich znanych materji niema żadnej obojętnej na siłę ciężenia. Możemy używać różnych ekranów dla ochrony od ciepła, światła, od fal elektrycznych, lecz nie może nas odgradzić od ciężenia ku słońcu albo ku ziemi. Niewiadomo, czy istnieje materja zdolna do tej usługi; Cavor myślał, że bywaby istnieć, i dowodził tego szeregiem rozumowań i formuł, któreby mógł pojąć chyba lord Kelvin, profesor Lodge

lub profesor Karol Pearson, ja zaś słuchałem, mrugałem oczami i powtarzałem: „tak, tak, proszę, mów pan dalej“.

Ze wszystkich objaśnień Cavora zrozumiałem tylko, że dawno szuka materji obojętnej na siłę ciężenia, doświadcza jakichś metalicznych stopień, dodaje jakiś nowy pierwiastek, może „helium“, otrzymywany z Londynu w hermetycznie zamkniętych, glinianych naczyniach. Mnie teraz nie wierzą, ale ja mam to przekonanie, że w słojach było „helium“. Szkoda, że wtedy nie zapisałem szczegółów, lecz nie mogłem wiedzieć, czy będą potrzebne. Człowiek, mający nieco wyobraźni, łatwo wnioskuje, jakie miałyby skutki odkrycie takiej materji i zrozumie wrażenie moje, gdy nakoniec stał mi się jasnym cel badań Cavora.

Otóż masz, czegoś szukał!

Długo nie mogłem wyrozumieć, czy jego dowody są jasne, nie śmiałem go spytać, bojąc się okazać własną gruntowną ignorancję. Od czasu odwiedzin u Cavora zarzuciłem pracę nad sztuką. Wyobraźnia moja dążyła w innym kierunku. Następstwą wynalazku materji obojętnej na siłę przyciągania wydawały mi się niezliczonymi, zdolnymi do cudów, do przewrotu w nauce i życiu. Dość wspomnieć, że przy pomocy takiej materji każdy ciężar możnaby podnieść jednym palcem. Pomyśleć tylko o zastosowaniu w sprawach wojskowych na lądzie i morzu, w różnych budowlach, w przenoszeniu ciężarów, we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej! Takj wypadek da się spotkać raz na lat tysiąc. Marzyłem o przywilejach i patentach, o koncesjach i agenturach, o opanowaniu świata „przez Towarzystwo „Kevorytu“. A ja ojciec chrzestny „Kevorytu“ — jeden z głów-

nych założycieli. Jakże się tu umiarkować?! Rzuciłem wszystkie zajęcia i postawiłem na kartę swoje życie.

— Jesteśmy teraz na drodze do największego wynalazku — mówiłem, akcentując końcówkę „my”.
— Będzie pan musiał chyba użyć przemocy, by nie dopuścić mnie do współpracownictwa. Od jutra staję się pańskim czwartym pomocnikiem!

Cavora zdziwił mój zapał, lecz propozycję przyjął życzliwie. Nazbyt skromnie oceniał siebie i swoje dzieło.

— Naprawdę chce pan? — pytał, patrząc na mnie z pewnem zdziwieniem — a cóż pańska sztuka? zatem jej pan nie kończy?

— Daj mi pan spokój z tą sztuką, czyż pan nie widać, jak wielkie pan tworzy dzieło?

Stanowczo nie zdawał sobie sprawy z praktycznego znaczenia wynalazku, tylko pracował jak czysty teoretyk. Gdy mówił o doniosłości swoich doświadczeń, miał na myśli tylko to, że udowodnią mylność jednych hipotez, a na ich miejsce postawią inne; o praktyczne zastosowanie wynalezionej substancji nie troszczył się. „Substancja da się pomyśleć, trzeba ją uzyskać” — oto cały arsenał motywów kierujących. Było w nim naprawdę coś dziecinnego. Zapewne rozważał: „wynajdę nowe ciało, posiadające niesłychane własności; nazwę je „kevorytem” albo „kevorynem”, na wieki wsławię swe imię, stanę się członkiem akademii królewskiej, portret mój pomieści pismo „Przyroda”, narówni z wizerunkami wielkich uczonych i... i koniec!”

Gdyby mnie nie było, rzuciłby w świat swoje wielkie odkrycie, tak jak gdyby wynalazł nowy gatunek komara. A możeby go jeszcze przytem i wygwizdano!

Kiedym mu to wszystko objaśniał, role nasze zamieniły się: ja mówiłem, a on potakiwał: „tak, tak” i „proszę, mów pan dalej”. Tłumacząc mu jego powinności, nasze powinności, ożywiłem się jak dwudziestoletni młodzieniec, i chodząc po pokoju, gestykulowałem. Przekonałem go, że możemy bryłę świata ruszyć z posad i stać się jej władcami. Mówiłem o patentach i stowarzyszeniach, o agenturach i trustach, a on słuchał tak jak ja jego formuł matematycznych.

Jego naiwne oblicze wyrażało silne pomieszenie; mruczał coś o zupełnej swojej obojętności dla majątku, lecz ja go przekonywałem, że mamy obowiązek stać się bogaczami. Dałem mu do zrozumienia, jakim ja jestem człowiekiem i jak wielkie mam doświadczenie w sprawach kupieckich. Prawda, że w tej chwili jestem bankrutem (czegom zresztą mu nie powiedział), lecz to tylko chwilowo i to wcale nie umniejsza wiary w moje wiadomości praktyczne. Tak tedy zwołna doszliśmy do myśli założenia „Towarzystwa dla eksploatacji „kevertytu“. On miał zarządzać fabryką, ja zaś zając się sfinansowaniem tego przedsiębiorstwa.

„My“ w ten sposób zupełnie zastąpiło „ja“ i „pan“.

Cavor zrazu projektował zużyć cały dochód przedsiębiorstwa na dalsze prace naukowe. Zdołałem go jednak przekonać, że to byłoby niewłaściwe.

— W naszych rękach — wołałem — ciążo, bez którego nie obejdzie się żadna fabryka, żadna forteca, żaden okręt, żadne przedsiębiorstwo prywatne! Jak pan może mówić o użyciu dochodów na jakiś cel wyłączny! Świat cały, wszystkie interesa będą w naszych rękach!

— Tak, tak — powtarzał — ja to teraz sam widzę. Zdziwiająco wyjaśnia się sprawa, gdy się o niej z kim innym pomówi.

— Właśnie trafiłeś pan na człowieka, jakiego ci potrzeba, ażeby wyzyskać wynalazek.

— Ja i sam w istocie nie zarzekam się bogactwa. Jedno tylko mnie niepokoi...

Czekałem, co powie dalej.

— Może się zdarzyć — dodał — że nie uda nam się wynaleźć „keworytu“...

II.

Pierwszy efekt „keworytu“.

Czternastego października 1897-go roku to nieprawdopodobne ciało zostało wynalezione.

Najdziwniejsza, że powstało przypadkowo, chociaż go pan Cavor wcale nie oczekiwał. Stopiwszy różne metale i jakieś tam jeszcze ciała (jakże chciałbym znać teraz wszystkie szczegóły wytwarzania!) miał zamiar przetrzymać je w płynnym stanie przez tydzień, a potem z wolna ochładzać. Czy źle zestosunkował, czy wcale na to nie liczył, dosyć, że dopiero później okazało się, iż keworyt powinien był powstać z tego stopienia wówczas, gdy temperatura stopionych ciał spadnie do 60° Fahrenheita. Tymczasem pomocnicy Cavora, którzy mieli czuwać nad tem, aby stopione materje przez tydzień pozostały w płynnym stanie, poróżnili się. Gibbs, któremu to specjalnie poruczono, przekazał je byłemu ogrodnikowi, twierdząc, że węgiel kamienny jest niewątpliwie glebą i nie może być w zarządzie stolarza; ogrodnik oddał je Spargowi, ślusarzowi, gdyż mieszanina składała się głównie z metali. Sparg utrzymywał, że węgiel kamienny pochodzi niewątpliwie z drzewa, a zatem podlega zarządowi stolarza. W rezultacie wszyscy przestali troszczyć się o ognisko, a sam Cavor, ufając po-

mocnikom, obmyślał maszynę do latania z keworytu. Przedwczesne wytworzenie się tegoż nastąpiło w chwili, gdy Cavor szedł do mnie, aby pogawędzić przy herbacie.

Doskonale pamiętam szczegóły wypadku.

Woda kipiała, serwis do herbaty stał na stole, ja wyszedłem na werandę naprzeciw gościa, który nruczał zdaleka. Mała jego postać zarysowywała się na tle wieczoru na prawo, z za drzew, których wierzchołki oblane były blaskami zachodzącego słońca. Bielity się kominy jego domu, a na lewo — rozpostarła się olbrzymia powierzchnia błot...

Wtem, nagle...

Nagle kominy domu Cavora wraz z dachem wyleciały w górę i rozsypały się na mnóstwo małych odłamków — a za niemi, prześcigając je, wzniósł się ku niebu olbrzymi słup białych płomieni! Okoliczne drzewa, wyrwane z korzeniami, uniosły się gwałtownym ruchem ku ruinom domu Cavora. Rozległ się straszny grzmot, od którego na całe życie ogłuchłem na jedno ucho. Wszystkie ramy okien domku mojego wypadły.

Zaledwie zdążyłem postąpić o trzy kroki w stronę Cavora, powstał straszny wichur. Poły surduta zarzuciły mi się na głowę, a ja, wbrew woli, żeby nie paść, musiałem podskakując biec w kierunku katastrofy, dokąd zdążały zewsząd wszystkie przedmioty, naprzykład blaszany kominek mojego pieca, który wirowym pędem przeleciał koło mnie. Sam wynalazca w moich oczach pochwycony wiatrem, walcząc z nim — ze straszną szybkością pędził ku swemu domowi, koło którego znikł, w gałęziach zwalów drzewnych.

W tej chwili potężny obłok dymu, a wraz z nim jakaś czworokątna, niebieskawa, lśniąca, widocznie

twarda masa, wzniosła się ku górze. Kawałek płota przeleciał koło mnie i upadł. Tem się zresztą zakończył poryw burzy — wiatr się uciszał, mogłem więc zatrzymać się i zastanowić...

Wszystko uległo zmianie. Niebo przed chwilą czyste, pokryły ciemne chmury, drzewa znikły, a okolica wydawała się jakby wynieciona. Spojrzawszy na swój domek, żeby przekonać się czy stoi, zwróciłem się do zwałów drzew, w których zniknął Cavor. Poprzez obnażone z liści gałęzie przeświecał pożar jego domu.

Długo i daremnie szukałem swego towarzysza między drzewami, wreszcie, prawie pod ścianą ogrodu, wśród różnych odłamków zauważyłem ruch jakiś. Jeszcze nie zdołałem dojść do tego miejsca, gdy zprzeciwka wysunęła się ciemna postać na cienkich nóżkach, podając mi swe okrwawione ręce. U pasa tej postaci, rozwiewały się jakieś brudne łachmany odzieży.

• Z początku nawet nie poznałem Cavora. Szedł z trudnością, chwiejąc się i przecierając zalepione błotem oczy. Gdy się zbliżył, z przykrością patrzyłem na poranioną twarz, zdarte ubranie i drżące, krwią oblane ręce. Z tem większem zdziwieniem usłyszałem pierwsze słowa.

— Powinszuj mi pan! — mówił przerywanym głosem. — Powinszuj pan!

— Winszować? — zawołałem — i czegoż winszować?

— Nareszcie rozwiązałem zadanie!

— Jakto? Co to był za wybuch?

Poryw wichru nie dał mi dobrze usłyszeć słów jego, zrozumiałem jednak, że nie uważa za wybuch

tego, co zaszło. Gdy wreszcie niesieni wiatrem spotkaliśmy się znowu, krzyknąłem mu w ucho:

— Wracajmy do mnie!

Lecz on nie słyszał mnie i mruczał, ciągle coś o „trzech ofiarach nauki“ i o tem, że to brzydka historia. Był przekonany, że wszyscy trzej pomocnicy jego zginęli, chociaż na szczęście okazało się to mylnem, gdyż właśnie w chwili katastrofy bawili się w miejscowym szynku, dokąd zaraz po jego odejściu uciekli. Najwidoczniej zeszli się tam, by szczegółowo rozpatrzyć kwestję granic swoich obowiązków.

Powtórzyłem zaproszenie pójścia do mojej chatki, a Cavor tym razem zgodził się. Dowłókłszy się jakoś do drzwi, usiedliśmy i zaczęliśmy smutnie rozmyślać. Wszystkie okna mego mieszkania były wybite, a lekkie przedmioty wałały się po podłodze. Większych uszkodzeń, nie dających się naprawić, nie zważylem. Na szczęście drzwi do kuchni wytrzymały napór wiatru, wszystkie naczynia były na swoim miejscu, nawet naftowa maszyna nie zagasła, tak że mogłem natychmiast zagotować wodę na herbatę. Powróciwszy do Cavora, poprosiłem go o objaśnienie wypadku.

— Doskonale, wszystko w porządku — odpowiedział — rozwiązałem zadanie.

— Jakto w porządku! — zawołałem — jeśli na dwadzieścia mil wokoło nie zostało całej ani jednej słomianej strzechy, ani jednego stoga siana, żadnego płotu!

— Eh, ja o takich głupstwach nie myślałem. Zupełnie o czem innym mówię i zapewniam pana, że wszystko idzie doskonale.

— No, drogi panie, czy pan nie pojmujesz, żeś narobił szkody na tysiące funtów?

— To już rzecz pańska. Ja nie jestem na tyle praktycznym, żeby znać się na tem wszystkim. Jednak myślę, że szkody przypiszą cyklonowi.

— Ale przecież wybuch...

— Nie wybuch. To bardzo prosta historia, tylko że jej w roztargnieniu nie przewidziałem. Nie należało roztapiać keworytu w postaci szerokiego, cienkiego arkusza.

— Nie rozumiem — odrzekłem.

— Niema tu nie niezrozumiałego. Przecież pan wie, że keworyt odporny jest na siłę ciężenia?

— Wiem.

— No, więc w chwili, kiedy wytworzył się przy temperaturze sześćdziesięciu stopni Fahrenheita, przyciąganie ziemi przestało działać na powietrze, sufit i dach, znajdujące się nad nim. Pan pewnie wie, przypuszczam, bo któżby teraz tego nie wiedział, że powietrze ma ciężar i ciśnie z siłą czternastu funtów na cal kwadratowy. A gdy cały słup jego, znajdujący się nad keworytem, przestał ciężać, a na jego miejscu wytworzyła się jakby próżnia, w którą ze straszną siłą wdarło się powietrze z boków, wysadził pozbawiony ciężaru sufit i dach i zaczął z nimi podnosić się w górę. Pojmujesz pan? Nad keworytem powstała jakby trąba powietrzna o straszej sile. Powietrze, wpadające w ten wir, gwałtownie parte w górę, ustawicznie zastępowały nowe fale, cisnące się z boków. Gdyby sama płytki keworytu, pozbawiona ciężaru, nie została uniesiona wichrem w tym wirze, wie pan, coby się stało?

— Można przypuszczać, że powietrze bezustannie darłoby się po niej ku górze — odrzekłem, pomyślawszy chwilę.

— Otóż właśnie! powstałaby nieustająca fontanna powietrzna.

— Któraby wessała w siebie ziemską atmosferę i wyrzuciła ją w przestrzenie międzyplanetarne. — krzyknąłem. — Boże mój, Boże! Ale przecież wszystko co żywe na ziemi podusiłoby się. I to wszystko z maleńkiego kawałeczka jakiejś metalicznej mieszaniny!

— No, niezupełnie tak — zauważył Cavor — powietrze wessane, wyrzuciłby wir na odległość tysięcy mil, stamtąd znowuby opadło na ziemię, my już jednak, niestety, zdążylibyśmy się zadusić, czyli że na jedno wychodzi.

Byłem porażony i zgnębiony, gdy uświadomiłem sobie całą niedorzeczność wszystkich swoich marzeń o przyszłej eksploatacji keworytu.

— Więc cóż pan teraz myśli czynić? — spytałem mego współbiedziaka.

— Przedewszystkiem poprosiłbym o małą ogrodową łopatkę, do zeskrobania z trzewików błota — odrzekł — a potem chętniebym wziął kąpiel, jeśli tylko można. Następnie porozmawiamy swobodnie. Ale spodziewam się — dodał, dotknawszy obłożoną ręką mego ramienia — że to wszystko zostanie między nami. Wiem, że sprawiłem wielkie szkody okolicznym mieszkańcom; bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że miejscami całe domy leżą rozwalone. Jednak zapłacić za to wszystko nie mogę i gdyby właściwa przyczyna katastrofy wyszła na jaw, zatrzymałaby tylko całą moją pracę, niczego nie naprawiwszy. Znadto jestem zaabsorbowany teoretycznemi zagadnieniami, abym mógł jeszcze brać na swoje barki kwestje praktyczne. Później, kiedy keworyt zostanie wypuszczony na rynek zbytu, zdaje się, że tak mó-

wią w języku handlowym? — i kiedy pański zmysł praktyczny zrealizuje pokładane w nim nadzieje, wówczas na pewno będziemy mogli wyrównać wszelkie przedłożone nam rachunki. Tylko nie teraz, na miłość Boską, nie teraz! Jeśli my będziemy milczeli, to przy obecnym stanie meteorologii katastrofę wszyscy przypiszą działaniu cyklonu. Zorganizują składki na korzyść ofiar katastrofy, a ponieważ dom mój zgorzał i całkiem rozwalony — mogę otrzymać większą zapomogę, która da nam możliwość prowadzenia dalszych badań. Jeśli poznają istotną przyczynę nieszczęścia, nie tylko że nic nie dostaniemy, ale jeszcze pociągną nas do odpowiedzialności. Prawdę mówiąc, to i mało szans mam teraz pracować z takimi wynikami, jak przedtem. Pomocnicy moi, zdaje się, zginęli. Przypuśćmy, że to nie wielka bieda, bo bardziej byli zapaleni, niżeli pomocni, i katastrofa też zaszła z ich przyczyny. Jeśli żyją i nie będą mogli wyjaśnić sobie przyczyny katastrofy, również uwierzą w cyklon. Ale to gorsza, że laboratorium jest rozwalone i... nie wiem... czy mógłbym aż do naprawienia go — zamieszkać u pana?

Zamilkł i spojrział na mnie, a mnie przyszło na myśl, że taki człowiek, jak on, nie może być bardzo wygodnym współlokatorem.

— Trzeba, najpierw, oczyścić się — rzekłem, wstając, aby zaprowadzić go do wanny i zyskać na czasie.

Póki Cavor mył się, ja samotnie obmyślałem swoje położenie. Z jednej strony przyjmować do siebie człowieka, który wskutek swego roztargnienia o mało co nie pozbawił ziemi atmosfery, było trochę niebezpieczne; a z drugiej strony, przecież byłem młody, nie miałem nic do stracenia, wygrać zaś mog-

łem bardzo wiele w tem ryzykownem przedsięwzięciu. W najgorszym razie połowa zysków z tego przedsiębiorstwa powinna była przypaść na mnie. Rozważywszy w ten sposób, postanowiłem dzielić losy Cavora, tem bardziej, że o rzeczywistości odkrycia keworytu i o zastosowaniu tegoż do różnych celów teraz już nie można było wątpić.

Zaraz zaczęliśmy odbudowywać laboratorium i obmyślać metody dalszej fabrykacji keworytu. Już teraz zupełnie jasno zrozumiałem ideę Cavora i stałem się dzielnym jego pomocnikiem. Pracy rozmaitego rodzaju było pod dostatkiem. Z początku robotnicy odmawiali mi posłuszeństwa, wkrótce jednak wszystko się załagodziło.

III.

Budowa kuli.

Doskonale pamiętam, jak Cavorowi przyszła myśl o kuli. Być może, że myślał o tem i dawniej; wówczas całkiem nieoczekiwanie wspomniał. Wracaliśmy właśnie z robót na herbatę; Cavor całą drogę sapał. Pod samym domem nagle krzyknął:

— Tak, właśnie!

— Co właśnie? — pytałem.

— Przestrzeń, księżyc, co chcecie.

— Cóż pan chce przez to powiedzieć?

— Co chcę powiedzieć? Chcę powiedzieć, że to musi być kula!

Niczego nie pojmując, pozwoliłem mu rzucać odrwane zdania, dopóki nie napiliśmy się herbaty. Wówczas on sam, powoli, zaczął wyrażać się jaśniej.

— Cała rzecz w tem — mówił — że keworyt wytapiałem w płytkim kotle, przykrytym pokrywą. W chwili wytworzenia się, wszystko nad nim straciło ciężar i wyleciało w powietrze. Dobrze, że i sam poszedł w ślady, w przeciwnym razie byłoby bardzo z namj krucho. Nie zaprzeczy pan, że kawałek keworytu może mieć kształt odpowiedni do zwalczania oporu stawianego?

— I wówczas sam zacznie się wzbijać w górę!

— Otóż właśnie. I to jak pocisk z wielkiego działa, nie wywołując zupełnie większych zaburzeń w atmosferze.

— No, a do czegoż to ma służyć?

— Sam nim polecę.

Ze zdumienia zapomniałem o herbacie.

— Niech pan sobie przedstawi wielką kulę, mogącą pomieścić dwóch ludzi z ich bagażami — ciągnął Cavor — można ją zrobić ze stali na grubym szklanym podkładzie; wewnątrz znajdować się musi zapas zgęszczonego powietrza, skoncentrowanego pożywienia, wody, różne aparaty i t. d., a z zewnątrz pokryje się ją warstwą...

— Keworytu?

— Tak.

— A jakże pan do kuli wejdzie?

— Całkiem prosto: przez hermetyczną zasuwę, tylko specjalnie urządzoną, żeby przez nią można w czasie jazdy wyrzucać odpadki.

— To coś w rodzaju „Podróży na księżyc“ Julesza Verne'a?

Cavor, zdaje się, nie czytał tej historii.

— Zaczynam rozumieć — ciągnąłem. — Potem, póki keworyt będzie jeszcze gorący, wejdzie pan do kuli i zamknie się w jej wnętrzu, gdy zaś masa ochłodzi się do sześćdziesięciu stopni Fahrenheita, polecicie?

— Tak, po stycznej.

— Czyli w prostym kierunku. — Zastanowiłem się. — A dokądże pan zaleci? W przestrzenie międzyplanetarne? i czy na zawsze? W jakież sposób pan wróci?

— Myślałem już o tem — mówił Cavor. — Szklany płaszcz kuli będzie jednolity, z wyjątkiem

jednej tylko zasłony, a stalową powierzchnię, wraz z pokrywającym ją keworytem, podzieli się na oddziały, z których każdy przy pomocy prądu elektrycznego, przeprowadzonego platynowymi przewodami, zatopionymi w szkło, da się odciągnąć na bok. Wszystko to są drobnostki, które bardzo łatwo skonstruować. W ten sposób osłona keworytowa będzie się składała z oddzielnych okien, czy drzwiczek, jak pan woli. Gdy się zakryje wszystkie okna, ani światło, ani ciepło, ani przyciąganie, wogóle żadna energia promieniasta z zewnątrz nie przeniknie do środka kuli. Poleci na pewno po prostej linii. Niech pan jednak sobie wyobrazi, że odsłania pan którekolwiek okno! — Cóż się stanie? Oto ciało niebieskie najbliższe odkrytego okna zacznie przyciągać ku sobie kulę z całym jej ładunkiem.

— A! rozumiem!

— W ten sposób możemy sobie wybrać dowolną drogę w przestrzeni. Możemy być przyciągnięci, jeśli zechcemy, znowu zpowrotem na ziemię.

— Mimo to — mówiłem — nie całkiem jasno widzę cel tego wszystkiego.

— Ot macie! Jakto cel? Można się na przykład wybrać choćby na księżyc.

— A cóż tam robić?

— No, tak, przyrzuć mu się zbliska. Niech pan tylko pomyśli! Czyż to nie ciekawe?

— A jest tam powietrze?

— Możliwe, że jest.

— Nie nęci mnie taka podróż — mówiłem, kiwając głową — nie może dać żadnych praktycznych wyników. Wolałbym wpięrw popróbować czegoś bardziej interesującego z handlowego punktu widzenia.

— Czegoż naprzykład?

— Czy nie dałoby się zastosować takich skrzyżników worytowych z zasłonkami do podnoszenia ciężarów?

— Nie z tego nie będzie! — odrzekł Cavor — lecz czemuż nie chce pan lecieć na księżyc? Czemu gorsza ta podróż od ekspedycji polarnych? Przecież jadą ludzie do bieguna północnego!

— Tylko nie ludzie czynu. To wszystko dobre dla was, uczonych; my, praktycy, musimy myśleć o czemś realniejszym. Gdybym nie był tak biednym, w ciągu lat kilku obleciałbym w okrąg ziemię.

— No, więc kiedyś przyjdzie czas i na księżyc!

— To już panu zostawię. Nie! Mnie nie podoba się ten projekt, burzy wszystkie moje zamysły handlowe. Ja bym pragnął jak najprędzej powrócić znowu do świata, a nie wyjeżdżać z niego na... księżyc.

— Tam mogą być pożyteczne kopaliny — ciągnął Cavor.

— Naprzykład?

— O! mnóstwo! Siarka, złoto, wszelakie rudy, wreszcie nowe pierwiastki!

— A kosztów transportu pan nie uwzględnił? — mówiłem — przecież księżyc oddalony od nas o ćwierć miliona mil. Ot, widać, że pan nie jest praktyczny!

— Zdaje mi się, że przewóz w skrzyniach z keworytu nie będzie bardzo drogi.

— Z odstawieniem wprost do rąk odbiorcy — złośliwie odciąłem.

— Wreszcie nikt nas nie zmusza jechać nieodwołalnie na księżyc. Możemy wybrać się na Marsa. czyste powietrze, nowe widoki, orzeźwiający uczynek lekkości. Tam i pożyć będzie przyjemnie.

— A czy na Marsie jest powietrze?

— O, tak!

— Możeby dało się wybudować tam sanatorium?

A jak daleko do Marsa?

— Obecnie dwieście milionów mil, i przytem trzeba przejeżdżać koło samego słońca — wesoło odpowiedział Cavor.

Wyobraźnia moja zaczęła pracować.

— Koniec końców — rzekłem — o tem możnaby pomyśleć. Mimo wszystko jest to podróż.

No i zamiast — prostej przyjemności z przejażdżki na księżyc czy Marsa, przy bliższem przyjrzeniu się projekt nabierał cech zwodnie kuszącego handlowego przedsiębiorstwa. Proszę sobie wyobrazić międzyplanetarne połączenie po całym słonecznym systemie, utrzymywane za pomocą keworytowych pojazdów, zwyczajnych i kurjerskich! Byłoby rzeczą wcale korzystną owoładnąć zakładowemi udziałami takiego przedsiębiorstwa. To coś w rodzaju hiszpańskiego monopolu na amerykańskie złote pola. Przecież nie o jakąś tam jedną planetę chodzi, ale o wszystkie.

Pomału rozgorączkowałem się do tego stopnia, że znów zamieniłem role z Cavorem. Teraz on siedział w milczeniu, ja zaś biegalem po pokoju, gestykulując i marząc głośno.

— Zaczynam przekonywać się! zaczynam pojmować! — wykrzykiwałem, przechodząc od zwątpienia do entuzjazmu — ależ to myśl znakomita! To coś nieprzejrzanego, cudownego! Nie śniło mi się nawet o cześć podobnem!

Entuzjazm mój wkrótce zaczął udzielać się Cavorowi, bo i on porwał się, i chodząc po pokoju, mrużąc gestykulował.

Na pewno wówczas potraciliśmy zdrowy rozsądek, byliśmy jak szaleńcy.

— Wszystko urządzimy — krzyczał Cavor w odpowiedzi na każde moje słowo — ze wszystkim damy sobie radę! Dziś jeszcze zabiorę sę do planów!

— Nie traćmy czasu — odrzekłem, i udaliśmy się zaraz do laboratorium, żądni pracy.

Cała noc przeszła mi jak w błogich, dziecińczych marzeniach. Świt zastał nas przy robocie; elektryczne lampy zgasiliśmy dopiero po wschodzie słońca. Jak dziś pamiętam wykonane przez nas wówczas rysunki. Cavor kreślił, ja wyciągałem tuszem i farbami. Sporządzone były naprędce, jednak z zadziwiającą dokładnością. Stalowa powłoka ze wszystkim szczegółami wyrysowana była i tegoż dnia zamówiona, a w ciągu tygodnia gotowa była kula szklana. Dniem pracowaliśmy, wieczory obracaliśmy na rozprawy i omawianie dzieła. Jedliśmy, pili i spali tylko wówczas, gdy nie mogliśmy już pracować z głodu, pragnienia lub braku sił. Nasz entuzjazm zaraził nawet robotników, nie mających najmniejszego pojęcia o przeznaczeniu przygotowywanej przez nich kuli. Przez cały ten czas, Gibbs nie chodził do knajpy, nie włóczył się, a po pracowni chodził zawsze przyspieszonym krokiem. I kula nasza rosła pomalutku. Minął grudzień, styczeń, w tym miesiącu raz cały dzień straciłem na usunięcie śniegu ze ścieżki, wiodącej od mojego domu do laboratorium, — potem luty i marzec przeszedł w pracy. W kwietniu aparat miał być gotów. Jeszcze w ciągu stycznia z wielkim trudem dostawiono nam ciężką skrzynię z litą, szklaną kulą; w lutym przybyła do niej stalowa osłona, właściwie nie kulista ale polyedryczna, której każdą ściankę zastaniała keworytowa żaluzja.

W marcu łączyliśmy wszystkie części aparatu i zaczęliśmy przygotowywać keworyt. Już w trzecim stadium wytwarzania się wyglądał on jakby metaliczne ciasto, którem obłożyliśmy pancierz stalowy; teraz pozostawało tylko poddać go temperaturze czerwonego żaru w oparach helium. Do wykonania tej ostatniej operacji Cavor kazał zdjąć dach i otoczyć aparat ogniskiem. Słowem, wszystko szło doskonale.

W marcu przystąpiliśmy też do przysposobienia różnych zapasów, niezbędnych do podróży na księżyc, nakupiliśmy konserw, skoncentrowanych esencji, wzięliśmy zapas cylindrów stalowych z płynnym tlenem, przyrządy do więzienia kwasu węglowego i t. d. i t. d.

Wszystko to razem zwalone w kącie pokoju, przypominało, że mosty za nami są spalone, i że rzec się zamyślanej podróży już niepodobna. Zresztą nie mieliśmy czasu na rozmyślania; raz jednak napadły mnie silne wątpliwości, czy nasze przedsięwzięcie jest rozsądne. Przez cały dzień pracowałem nad urządzeniem ogniska, a wieczorem, silnie znużony wpadłem w zwątpienie; bliska podróż wydała mi się bezmyślną i niepotrzebną.

— Patrz pan, — mówiłem, wskazując Cavorowi na przedmioty, leżące w kącie — koniec końców, pocóż to wszystko?

— Jakto poco? — spytał z uśmiechem — aparat nasz wkrótce poleci.

— Na księżyc? I cóż pan spodziewa się tam znaleźć? Mnie się zdaje, że księżyc jest światem dawno już wymarłym.

Cavor wzruszył ramionami.

— A zresztą, cóż tam może być ciekawego?

— Właśnie zobaczymy.

— Aha zobaczymy! — powtórzyłem w zadumie.

— Czemużby nie? — dodał Cavor — zmęczyłeś się pan teraz, po wypoczynku będziesz się jaśniej zapatrywał na zbliżającą się wyprawę.

— Nie — odrzekłem — nie mam zamiaru wypoczywać, pójdę dokończyć zakładać ognisko.

Spełniwszy zamiar, odpokutowałem upór bezsennością nocą.

Nie zapomnę tej męczącej nocy. Zdarzało mi się i dawniej nie spać, gdy chodziło o drobnostki, ale takich niezuł dręczących nigdy nie przeżywałem.

Tej nocy po raz pierwszy przyszła mi myśl o strasznym niebezpieczeństwie naszego przedsięwzięcia, przeraziłem się. Jak człowiek, obudzony ze snu rozkosznego do twardej i przykłej rzeczywistości, leżałem, nie zmrząwszy oczu, i z każdą minutą Cavor wydawał mi się coraz jaśniej szaleńcem a zamysły jego coraz bardziej i bardziej fantastycznymi.

Nie mogąc wyleżeć w pościeli, wstałem i siadłszy przy oknie, patrzyłem w niebo, usiane gwiazdami. W przestrzeniach między nimi czernił się nieskończony, pusty bezmiar!... Próbowałem przypomnieć sobie wyroki wiadomości astronomicznych, zaczerpniętych w bezładnym czytaniu, jednak okazało się ich za mało do gruntownego ocenia zamierzonej wyprawy.

Moralnie i fizycznie zmęczony padłem na łóżko próbując zasnąć, jednak opętała mnie tylko sieć marzeń, w których wydawało mi się, że pędzę w międzyplanetarnej przestworza. — Przy śniadaniu zadziwiłem Cavora, rzekłszy mu krótko i jasno:

— Nie jadę z panem na księżyc.

Na wszystkie protesty, które wślad za tem zjawily się, uparcie odpowiadałem.

— To przedsięwzięcie szalone! Nie wezmę w niem udziału!

Nie towarzyszyłem już Cavorowi do laboratorium, lecz wziawszy czapkę i kij poszedłem, gdzie oczy poniosą. Ranek był prześliczny: ciepły wietrzyk przy zupełnie jasnym, błękitnem niebie, pierwsze pączki na drzewach i pierwszy świergot skowronków.

Podjadłszy zimnej wołowiny i wypiwszy piwa w małej traktjerni, niedaleko Elham, zadziwiłem gospodarza okrzykiem:

— Człowiek, któryby zamierzał rozstać się z ziemią w taką cudną pogodę, byłby skończonym głupcem!

— I ja tak myślę! — z powagą zaręczał traktjernik.

Pokrzepiony tą wspólnością przekonań ruszyłem dalej. W południe zdrzemnałem się rozkosznie na słoneczku pod otwartem niebem, a wieczorem dostałem się do jakiejś porządnej gospody blisko Canterbury. Okazało się, że niema pluskiew, a że i właścicielka, czyściutka i bardzo rozmowna staruszka, była w sam raz w moim guście, postanowiłem tu zanoć. Rozmawiając z nią o różnych różnościach, dowiedziałem się, że nigdy nie była w Londynie.

— Poza Canterbury niczego nie znam — mówiła — znieść nie mogę włóczenia się po świecie bez celu.

— A cóżby pani powiedziała o wyprawie na księżyc? — spytałem.

— Nie widziałam ani razu waszych powietrznych statków — odrzekła, myśląc, że chodzi o podróż latawcem — a już, na pewno, nigdy nimi nie polecę.

— Całkiem słusznie — pomyślałem.

Wieczór spędziłem na rozmowie z dwoma robotnikami, siedząc u drzwi gospody. Rozprawialiśmy o ceglach, samochodach, zawodach krykietowych zeszłego roku i tym podobnych, ciekawych rzeczach. Po zachodzie słońca wypłynął na niebo błado srebrzysty sierp księżycy....

Rano wróciłem do Cavora i rzekłem mu:

— Jadę z panem. Przedwczoraj byłem niezdrów. Tylko raz napadło mnie takie zwątpienie. Na pewno nerwy!

Po tem zdarzeniu może jeszcze z większym zapalem zacząłem pracować, tylko trochę ostrożniej, codzień odpoczywałem i chodziłem na spacer. — Trudy nasze, wreszcie, kończyły się; pozostawało tylko ogrzać keworyt.

IV.

Wnętrze aparatu.

— Wejdz pan — rzekł Cavor, gdym wpatrywał się we wnętrze aparatu, siedząc jakby wierzchem na progu wejścia do kuli. Byliśmy we dwóch tylko. Słońce gasło, cichy zmierzch schodził na układającą się do snu ziemię.

Przełożyłem drugą nogę przez brzeg otworu i miękko zsunąłem się po gładkiem szkle na dno kuli, a potem odwróciłem się, aby odebrać od Cavora skrzynki z zapasami i instrumentami. Wewnątrz aparatu było gorąco, termometr wskazywał ośmdziesiąt stopni Farenheita, a ponieważ nie liczyliśmy na szybkie ochłodzenie, odzieliliśmy się bardzo lekko w cienkie flanelowe koszule i pantofle. Na wszelki wypadek, zabraliśmy ze sobą ciepłą odzież i grube futrzane szuby. Według zlecenia Cavora ułożyłem wszystkie bagaże na dnie, a gdy już wszystko było gotowe, Cavor przeszedł się jeszcze po laboratorium zobaczyć, czyśmy przypadkiem czego nie zapomnieli, a potem mnie zawołał. Wyjrawszy z otworu, dostrzegłem, że trzyma coś w rękach.

— Co to pan ma? — spytałem.

— A pan nie wziął ze sobą niczego do czytania?

— Ach, Boże mój!...

— Zapomniałem o tem panu powiedzieć... Kto wie, możemy długo wędrować... Może parę tygodni...

— No...

— Nie będziemy mieli żadnego zajęcia... Dobrzeby było mieć coś do czytania!

— Szkoda, że nie wiedziałem...

— Patrz pan, tam coś leży.

— A nie spóźnię się?

— Nie, jeszcze mamy więcej niż godzinę czasu.

Wyszedłszy z aparatu znalazłem w jakimś kącie stary numer „Tit-Bitsa“ i parę strzępów gazet kupionych pewnie przez pomocników. Zabrawszy to wszystko wróciłem nazad.

— A pan co ma? — spytałem, wzięwszy jego książkę.

Na okładce był napis „Dziela Wiliama Szekspira“.

Cavor zlekka zarumienił się.

— Ja, widzi pan, otrzymałem wykształcenie czysto specjalne — jąkał się, jakby usprawiedliwiając.

— Nigdy pan tego nie czytał?

— Nigdy.

— No, nie będzie się pan nudził — zapewniałem jak wypadło — chociaż muszę się przyznać, że ja sam zresztą nie za wiele czytałem Szekspira... Nie sędzę też, żeby wielu znało wszystkie jego dzieła.

Wreszcie zasunęliśmy szklany iluminator na otwór wchodowy, Cavor nacisnął guzik elektryczny i otwór zakryła zasłona stalowa, pokryta keworytem. Pozostaliśmy w absolutnej ciemności.

Pewien czas przesiedzieliśmy w milczeniu. Choć ściany przyrządu przepuszczały dźwięki, dokoła panowała zupełna cisza. Przyszło mi na myśl, że

przy nagłym szarpnięciu nie będzie za co się uchwycić, i że niema na czym siedzieć.

— Dlaczego nie wzięliśmy ze sobą krzesel? — pytałem Cavora.

— A nacóż nam potrzebne? Myślałem już o tem — odrzekł.

— Trzeba przecież na czymś siedzieć!

— Zobacz pan — rzekł tonem człowieka, odmawiającego wszelkich objaśnień.

Zamilkłem, i znów odezwało się we mnie przekonanie, że popełniamy szaleństwo nie do darowania. Czy nie wyskoczyć teraz? Może nie będzie za późno. Ziemia wprawdzie w ostatnich latach była dla mnie chłodną i niegościnną (od kilku miesięcy żyłem już na łasce Cavora), ale czy mi cieplej będzie przy absolutnem zerze, czy gościnniej mnie przyjmie bezgraniczne, puste przestworze? Gdyby nie obawa posadzenia o tchórzostwo, poprosiłbym Cavora o wypuszczenie z zamknięcia. Gdy tak rozważałem, czas uchodził szybko.

Wtem lekkie szarpnięcie, dźwięk, jakby odkorkowywanej butelki, cichy świst i nogi moje z siłą kilku ton zaczęły cisnąć na dno aparatu. Trwało to tylko chwilę, ale wpłynęło pobudzająco na moją wolę.

— Cavor! — krzyknąłem — moje nerwy nie wytrzymają...

On milczał.

— Djabli nadali całą historję — krzyczałem. Co mnie zmusza lecieć? Nie głupim! Nie jadę! To za ryzykowne! Proszę mnie natychmiast wypuścić!

— Niepodobieństwo — odrzekł.

— Niepodobieństwo? No, zobaczymy!

Cavor milczał z dziesięć sekund.

— Za późno teraz na klótnie, Bedford — rzekł wreszcie — lecimy w przestrzeni z chyżością armatniego pocisku.

— Jak!... — ledwie mógł wyjąkać, zupełnie oszołomiony.

Z minutę nie mogłem przyjść do siebie; zdaje się, że o niczem nie myślałem. Wreszcie stało mi się obojętnem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Poczulem znaczną przemianę zaszła w mojem ciele. Było mi lekko, jakbym wcale nie miał ciężaru. W tejże chwili posłyszałem trzask lekki, zapaliła się maleńka lampka elektryczna. Uirzałem twarz Cavora równie jak moja, prawdopodobnie bladą. W milczeniu patrzyliśmy nawzajem na siebie. Przezroczysta ciemność grubego szkła, na którego tle czerniła się sylwetka mego towarzysza, nadawała mi pozór ciała, pływającego w pustem przestworzu.

— Tak — odezwał się wreszcie — teraz jesteśmy zamknięci.

— Zamknięci — powtórzyłem.

— Nie ruszaj się pan! — zawołał, widząc, że podnoszę rękę; — musi pan pozwolić swoim mięśniom przywyknąć do nowego stanu; żyjemy teraz w naszym własnym wszechświecie. Popatrz pan na rzeczy nasze.

Wskazał oczami paczki i skrzynie, które dawniej spokojnie leżały na dnie aparatu, teraz pływały w powietrzu na wysokości stopy. Spojrzawszy na Cavora dostrzegłem, że już nie opiera się o ścianę naszego więzienia, a przy bliższem zbadaniu okazało się, że i ja również wolno poruszam się w powietrzu.

Po tem odkryciu nie krzyknąłem, nie zrobiłem najmniejszego ruchu, ale przyznam się, zdjął mnie lęk. Miałem uczucie, że coś mnie trzyma w powietrzu

i nie wiedziałem co. Najmniejsze dotknięcie palcem szkła odrzucało mnie w drugi kąt aparatu. Zdawałem sobie sprawę, skąd to pochodzi, a mimo wszystko doznawałem uczucia dziwnej niepewności. Byliśmy odcięci zupełnie od zewnętrznej siły przyciągania i podlegaliśmy tylko przyciąganiu przedmiotów, znajdujących się wewnątrz naszego małego wszechświata, dlatego też kierowaliśmy się ku środkowi jego, choć wolno, dzięki nieznacznej jego masie.

— Naprawdę obracamy się razem z naszym przyrządem — rzekł Cavor. — Co za dziwne uczucie swobodnie unosić się w przestrzeni! Z początku musi być przykre i dziwne, potem, gdy przywykniemy stanie się nawet przyjemne, a co ważniejsza, wygodne. Można je porównać z leżeniem na grubej, miękkiej, puchowej pierzynie. A uczucia zupełnej niezależności od siły przyciągania z niczem porównać nie umiem! Przy zaczęciu lotu oczekiwaliśmy silnego szarpnięcia, zawrotnej chyżości ruchu, zamiast tego poczuliśmy się jakby bezcielesnymi istotami. Naprawdę, początek naszej podróży wydawał się prędzej początkiem snu fantastycznego.

V.

W drodze na Księżyc.

Po pewnym czasie Cavor zagasił lampę, tłumacząc, że musimy oszczędzać zapasu elektrycznej energii. Długo — choć nie mógłbym dokładnie określić, — siedzieliśmy w zupełnej ciemności.

W mózgu ciągle tkwiło mi pytanie, w jakim kierunku lecimy? Wreszcie przedłożyłem je Cavorowi.

— Oddaliśmy się od ziemi po stycznej — odrzekł. — A ponieważ jest teraz trzecia kwadra, znajdziemy się gdzieś niedaleko. Zaraz odkryję zasłonę.

Coś szcęknęło i przed oczyma mojami pojawiła się, jakby w ramkę ujęta cząstka gwiaździstego nieba; zewnątrz aparatu taka sama panowała ciemność, jak i wewnątrz. Kto widział gwiaździste niebo tylko z powierzchni ziemi, nie może wyobrazić sobie tego mnóstwa gwiazd, widocznych na niem, gdy mglista, półprzezroczna zasłona ziemskiej atmosfery ustąpi! Z ziemi widać tylko bardzo silnie błyszczące gwiazdy, a tutaj, tutaj po raz pierwszy zrozumiałem biblijne wyrażenie — niebieskie wojsko! Mieliśmy zobaczyć jeszcze wiele niezwykłych zjawisk, lecz tego gwiaździstego nieba nigdy nie zapomnę!

Okiénko zakryło się z lekkim trzaskiem; otwieraliśmy i zamykali jeszcze dwa czy trzy; musiałem

zmrużyć oczy od silnego nie do zniesienia blasku księżycowego sierpa.

Długą chwilę patrzyłem na Cavora i otaczające nas przedmioty, aby przyzwyczaić powoli oczy do światła, potem dopiero ośmieliłem się spojrzeć na jego źródło.

Cavor odkrył cztery okienka, aby przyciąganie księżycy mogło działać na całą masę naszego aparatu. Natychmiast uczulem, że już nie pływam swobodnie w przestrzeni, a nogi moje wyraźnie opierają się na dnie w tym punkcie, który zwrócony był ku księżycowi. Skrzynie i paczki również powoli spęzły na dno i zasłoniły nam w części widok. Patrząc na księżyc, musiałem spuszczać oczy w kierunku przyciągania aparatu, podczas gdy przy otwartych okienkach to centrum stanowił matematyczny środek naszego aparatu.

Wrażenie światła, bijącego z dołu, było dla nas w wysokim stopniu niezwykłym — na ziemi nigdyśmy tego nie widzieli.

I cienie nasze błąkały się po suficie.

Z początku zakręciło mi się w głowie od świadomości, że stoję na szkle nad setkami tysięcy mil pustego przestworza, jednak wkrótce wrażenie to przeszło; zacząłem się lubować precudnym widokiem.

Czytelnik lepiej wyobraz sobie moje położenie, jeśli w cichą, letnią noc wyciągnie się na ziemi i będzie obserwował księżyc przez wyciągnięte w górę nogi. Tylko, że nam czyto wskutek większego zbliżenia, czy też z powodu braku powietrza księżyc wydawał się bez porównania większym. Dokładnie widzieliśmy najdrobniejsze wyłknięcia tarczy, której kontury dzięki brakowi wodnych oparów w atmos-

ferze zarysowały się jasno i ostro. Roje gwiazd otaczały nieoświecony słońcem brzeg jego.

Patrząc na księżyc, leżący pod moimi stopami, znowu zacząłem wątpić o rozsądku naszego przedsięwzięcia.

— Cavor — rzekłem — dokądże my właściwie lecimy?

— A cóż?

— Przecież księżyc pusty.

— No, zobaczymy.

— Jabym radził rozpocząć powrót. Tylko... tylko, że zdaje mi się teraz, że i ziemi żadnej już nie ma.

— Przekonaj się pan, że jest — rzekł Cavor, podając mi obrywek gazety.

Światło księżyca było tak silne, że mogłem swobodnie czytać; wzrok mój padł na stroniczkę drobnych ogłoszeń: „Majętny dżentleman pożycza pieniądze“. „Do sprzedania prawie nowy rower, wartości piętnastu funtów, za pięć funtów“. „Dama, znajdująca się w przykrych warunkach, sprzedaje wyprawne swoje noże i widelce ze znacznem ustępstwem“. Możliwe, że właśnie w tej chwili ktoś te noże i widelce ogląda, a ktoś drugi pędzi na rowerze ciesząc się taniem kupnem. Roześmiałem się i rzuciłem gazetę.

— Czy widać nas teraz z ziemi? — pytałem Cavora.

— Czemu się pan o to pyta?

— Mam przyjaciela wielce zamiłowanego w astronomji, być może, że patrzy na nas teraz przez swój teleskop.

— Znacznie większych rozmiarów potrzebny byłby instrument, żeby nas dostrzec, a i tak nawet nie dojrzałby.

Mikczeliśmy chwilę. Ja patrzałem na księżyc.

— Teraz dopiero widać, co to za świat dziwny — rzekłem wreszcie — być może, że i ludzie na nim istnieją.

— Ludzie! — wykrzyknął Cavor — nie! Porzuć pan wszelką nadzieję. Uważaj pan siebie za podróżnika, wyruszającego w pustynię. Spójrzysz pan tylko, — ciągnął — całkiem martwy świat! Wygaste wulkany, lawa, śnieg, oby tylko nie zamarznęte powietrze i kwas węglowy! Skały, rozpadliny, przepaście. Ani życia, ani ruchu. Ludzie już od dwóch stuleci systematycznie badają księżyc i, jak pan sądzi, jaką w nim zmianę dostrzegli?

— Żadnej?

— Dwa wżwały, jedną szczelinę i lekką, perjodyczną zmianę zarysowań — oto wszystko.

— Ja też na to nie liczyłem.

— Dotychczas tyle spostrzeżono, a cóż tu mówić o ludziach!...

— Przepraszam — przerwałem — a jakie najdrobniejsze szczegóły można widzieć na księżycu przez największy teleskop?

— No cóż! Każdy większy budynek możnaby było dojrzeć — odrzekł Cavor — a już miasta na pewno byłyby dostrzegalne. Niczego jednak takiego nikt dotychczas nie widział. Z całą pewnością ludzi tam niema, natomiast są jakoweś owady w rodzaju mrówek, chowające się po nocach w nory. Najprawdopodobniej są to księżycowe stworzenia dzięki zupełnie odmiennym warunkom życia, całkiem do ziemskich niepodobne. Tam życie dostosowywać musi się do zmiany czternastodniowych upalnych okresów na czternastodniowe mrozy. A jakież tam przytem panować może zimno; absolutne zero! Dwieście

siedmdziesiąt trzy stopnie mrozu! Po nocach na księżycu wszelkie życie musi zamierać!

— Można sobie wyobrazić jakieś do czerwi podobne istoty — ciągnął dalej, pomilczawszy chwilę — któreby żywiły się stałym powietrzem jak ziemne robaki ziemią. Mogą tam istnieć również gruboskórne potwory...

— Dlaczegośmy nie wzięli ze sobą broni? — przerwałem.

Cavor nie odpowiedział na pytanie.

— Niedługo sami zobaczymy, co tam jest — dodał w zamyśleniu.

— W każdym razie minerały jakieś znajdziemy — rzekłem.

Aby osłabić nieco nasz upadek na księżyc, Cavor pospieszył poddać przyrząd przyciąganiu ziemi na trzydzieści sekund i w tym celu odkrył okienko zwrócone ku ziemi, uprzedziwszy mnie, bym oparł się rękami o ścianę, gdyż inaczej upadnę. Uprzedzenie to okazało się słuszne, bo zaraz po odkryciu okna stanąłem na głowie, a między rozpostartymi rękami ujrzałem rodzinną planetę.

Byliśmy jeszcze bardzo od niej niedaleko, o jakieś ośmset mil wszystkiego, zdaniem Cavora, dlatego też wielka tarcza ziemi zajmowała całe pole widzenia. Jednak kulistość planety jasno się już uwydatniała. Pod nami na ziemi panował półmrok; na zachodzie fale oceanu Atlantyckiego jeszcze błyszczały w promieniach zachodzącego słońca, jak roztopione srebro. Zdawało mi się, że rozróżniam zarysy brzegów Francji, Hiszpanji i południowej Anglii, gdy okienko ze zwykłym szczęknięciem zasunęło się, a ja zwolna spelzłem po szkle znów — na dół. Dokąd — na dół? Gdzie mamy teraz dół,

a gdzie górę? Tak dziwnie było uważać ziemię za znajdującą się w górze, gdy cały ród ludzki od pierwszej chwili swego istnienia nazwał ją padolem.

Podczas podróży na księżyc tak mało potrzebowaliśmy wysiłków fizycznych, a te wysiłki były, dzięki umniejszeniu ciężarów, tak nieznaczne, że potrzeby jedzenia nie odczuwaliśmy wcale; jedliśmy tylko jakby z obowiązku a i tak w czasie całej drogi nie zużyliśmy nawet dwudziestej części zabranych zapasów. Ilość wydzielonego przez nas kwasu węglowego również była bardzo nieznaczna i w zupełności wzięły ją przeznaczone do tego przyrządy.

W sześć godzin po wyjeździe, zjadłszy cośkolwiek i upewniwszy się, że wszystko idzie dobrze, zakryliśmy dno aparatu odzieniem, aby ochronić się przed światłem księżycy i spokojnie zasnęliśmy. Wogóle podczas całej jazdy odczuwaliśmy straszną apatię. Rozmawiać nie mieliśmy ochoty, drzemaliśmy przeważnie, budząc się tylko dla zbadania prawidłowości lotu.

VI.

Przybycie na Księżyc.

Doskonale przypominam sobie, jak Cavor pewnego razu odkrył równocześnie sześć okienek; aż krzyknąłem na widok jaskrawego blasku; wielka, srebrzysta tarcza księżyca zajmowała całe pole widzenia, a po jej brzegach z mroku, z którym graniczyła, ostro występowały wierzchołki gór, oświetlonych słońcem. Sądząc, że czytelnikom zdarzało się widzieć mapę księżyca, nie będę się rozwodził nad szczegółami krajobrazu, odstawiającego się przed naszymi oczami. Wszystkim znane są te wielkie, pierścieniowe krątery wulkanów księżycowych z otaczającymi je mniejszemi otworami tego samego kształtu; wszystkim znane są ostre cienie, padające z gór księżycowych na poraną rozpadlinami i pokrytą nagiem, falistemi wzgórzami równinę księżyca; wszyscy wreszcie słyszeli o tych cudach promieni świetlnych, do których nic podobnego na ziemi nie można ujrzeć. Niesieni w odległości nie większej niż sto mil nad krajobrazem, mogliśmy gołem okiem widzieć to, czego z ziemi przez największe teleskopy dojrzeć nie można, a mianowicie, że ostre zarysy skał księżycowych i kraterów spowite są lekkim tumanem i że na gładkich ich, pozornie jednolitych i jednako-

wo oświetlonych powierzchniach w gruncie¹ rzeczy istnieją osobliwsze ciemne i oliwkowe plamy.

Niedługo jednak mogliśmy zachwycać się niewidzianym światem, rozścielającym się pod naszymi nogami, gdyż teraz właśnie miała dla nas nastąpić chwila wielkiej obawy, obawy rozbitcia się doszczętnie przy uderzeniu o twardą skorupę tego świata. Musieliśmy osłabić padanie aparatu i wybrać miejsce do wylądowania.

To zadanie wymagało od Cavora usilnej uwagi i energii w działaniu; mnie przypadła w udziale rola zupełnie biernego widza, starałem się mu tylko nie przeszkadzać i nie zawadzać w pracy. Cavor rzucał się z jednego kąta aparatu w drugi z niesłychaną na ziemi szybkością. Odkrywał i zakrywał okienka, robił obliczenia, co chwila patrzył na chronometr, posługując się lampką elektryczną, gdy wypadało siedzieć w ciemnościach.

Poczekawszy chwilę, Cavor odstąpił znów cztery okna od strony słońca, przyczem o mało nie krzyknąłem z przerażenia i musiałem zakryć oczy, oślepione nieznośnym światłem, które prócz tego w całkiem niezwykły sposób wybuchło nagle z pod nóg moich. Po kilku sekundach okienka znów się zamknęły, znowu nastąpiła nieprzejrzana ciemność, i straciwszy punkt oporu znów zaczęliśmy swobodnie unosić się w powietrzu. Cavor zapalił lampkę elektryczną, każąc mi zebrać wszystkie bagaże, owinać je w odzież i związać w węzeł, co zresztą łatwo dało się wykonać, gdyż i tak wszystkie rzeczy zbiły się w środku aparatu. Naprawdę, dziwny to był widok! Dwóch ludzi, swobodnie bujących w powietrzu, zawiązuje sznurami tłumok! Przedstawcie to sobie, jeśli możecie: ani dołu, ani

góry, każdy najdrobniejszy wysiłek daje dziesięciokrotne wyniki; elektryczna lampka zjawia się to nad głową, to pod nogami; widzę przed sobą raz głowę Cavora, drugi raz jego nogi; czasami ciała nasze krzyżują się w powietrzu.

Wkrótce pakowanie skończyliśmy, cały nasz bagaż zmienił się w wielki miękki tłumok. Zostawiliśmy sobie tylko futra, aby w razie potrzeby zabezpieczyć się przed chłodem.

Ukończywszy robotę, Cavor odkrył zasuwy od strony księżycy, ujrzeliśmy wtedy, że aparat nasz wpada w ogromny krater, otoczony innemi mniejszemi. Aby wstrzymać pęd, Cavor znów odsłonił okienka od strony słońca, i znów omal nie oślepiłem.

— Owiń się pan natychmiast futrem! — krzyknął w tej chwili, odskakując ode mnie na drugi koniec z aparatu.

Zrazu nie rozumiałem, o co chodzi, tem bardziej, że nie przestawał odkrywać i zakrywać różnych okienek. Ledwie zdążył spełnić jego rozkaz, uczulem silne wstrząśnienie i wślad za tem wszystko jakby poplątało się — zaczęliśmy się nawzajem o siebie obijać, o szklane ściany wnętrza, o tłumok z bagażem, to pełną, to podskakując. Kula nasza najwidoczniej staczała się gdzieś w dół, po jakiejś krętej i śniegiem pokrytej drodze.

Nagle wstrząśnienie ponowiło się, znalazłem się pod kupą bagaży i wszystko ucichło. Po kilku sekundach posłyszałem sapanie Cavora i szezęk okienek. Z pewnym wysiłkiem wydobyłem się z pod tłumoka i najprzód ujrzałem przez szklane ścianki aparatu ciemne, usiane gwiazdami niebo nad głową.

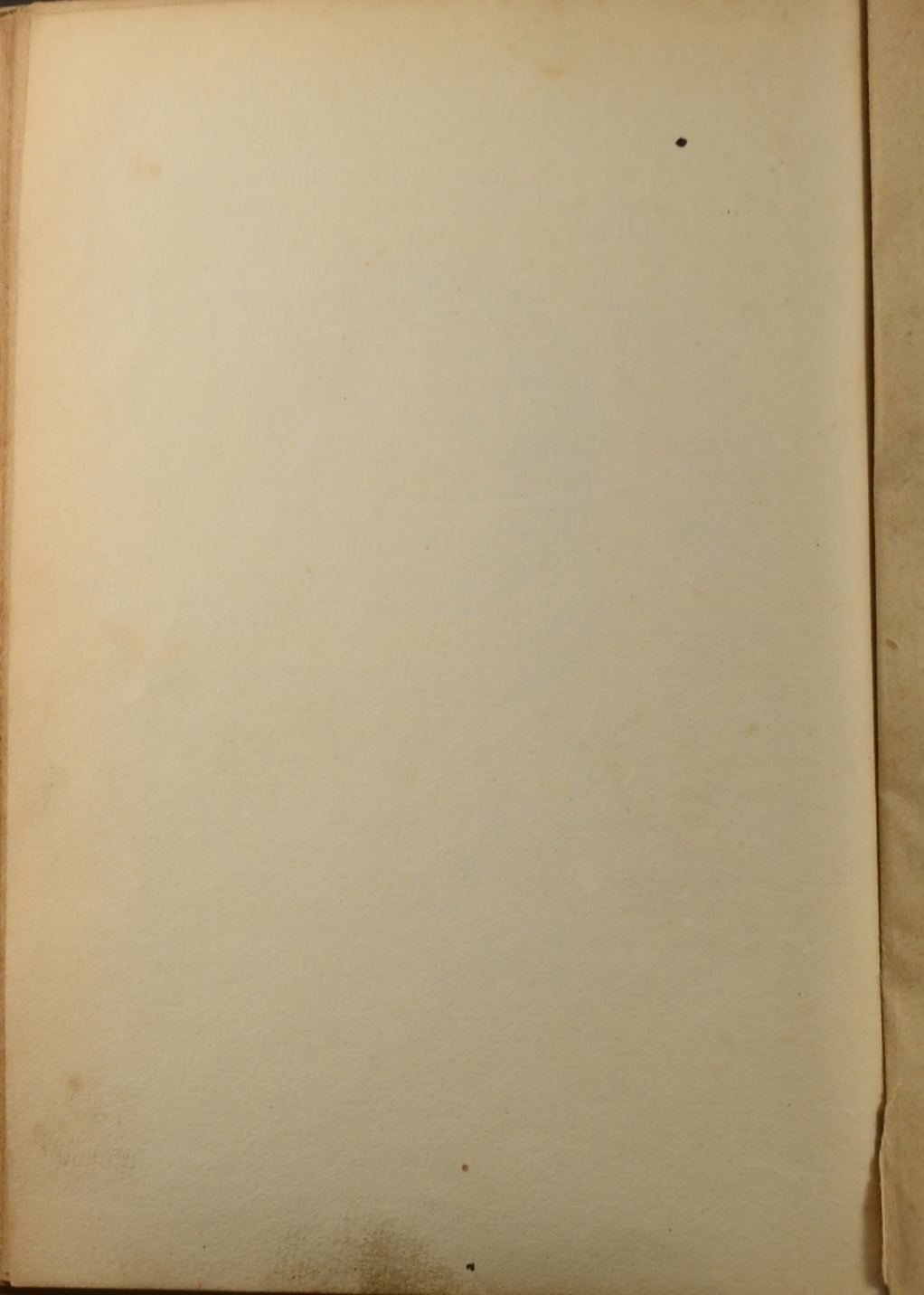
Mimo wszystko żyliśmy, a nasz aparat nietknięty leżał na dnie krateru, w cieniu jednej z jego ścian.



W drodze na Księżyc.

(Pierwsi ludzie na księżycu.)

Wydawnictwo Centralne
dla Włocławca i Poznania



Początkowo siedzieliśmy w milczeniu, opatrując ręce i nogi, by się upewnić, żeśmy znaczniejszych nie ponieśli uszkodzeń. Przecież nie byłoby w tem nic dziwnego, a my, jakby nie przewidując żadnych niewygód przy spadnięciu na księżyc, teraz z pewną złością oglądaliśmy nieznaczne zadraśnięcia i siniaki, odniesione przy upadku. A przecież mogliśmy nawet na śmierć się rozbić! Wstawszy z pewnym trudem na nogi, rzekłem:

— No, teraz będziemy się lubowali księżycowymi krajobrazami. Tylko... tylko, czemu tak tu ciemno, Cavor!

Szkło zapotniało, wytarłem je rękawem.

— Za pół godziny mniej więcej nastąpi dzień — odrzekł — trzeba czekać!

Ciemno było naprawdę, choć oko wykol. Szkło szybko pokrywało się szronem, im bardziej je tarłem, tem stawało się mniej przezroczystem, dzięki przymarzającym włoskom odzienia. Poślizgnąwszy się na lodzie, którym pokryła się podłoga, upadłem i zraniłem sobie podbródek o róg cylindra z tlenem, wystający z tłumoka.

Położenie nasze stawało się głupie. Przybywszy na księżyc, zamiast spodziewanych cudów mogliśmy podziwiać tylko szronem pokryte ściany naszego więzienia.

— Niech diabli wezmą! — zakląłem — nie opłaciło się poto lecieć tak daleko.

Siadłszy na bagażach, skurczyłem się z chłodu i starałem się szczelniej otulić w futro.

— Czy może pan dostać tę czerwoną rączkę? — spytał Cavor — niech pan ją zakręci, to elektryczny kaloryfer. Inaczej zamarzniemy przecież.

Nie dałem sobie dwa razy powtarzać, powietrze zaraz zaczęło się ogrzewać.

— Cóż będziemy teraz robili? — pytałem.

— Co robić? Czekać.

— To wszystko?

— Naturalnie. Poczekamy, póki nie ociepli się a szron nie staje. Do tej chwili możemy robić, co się nam podoba. Na księżycu jeszcze noc panuje. Niech słońce wzejdzie, wówczas zobaczymy. Nie ma pan ochoty jeść?

— Nie jestem od tego — odrzekłem — pomilczawszy chwilę, drżąc jeszcze na całym ciele od chłodu. — Przyznam ci się jednak, Cavor, że strasznie się rozczarowałem. Oczekiwałem... sam nie wiem, czego oczekiwałem, tylko nie tego na pewno, com znalazł na księżycu...

Cavor milczał, a ja rozłożywszy zapasy, zabrałem się do pierwszego śniadania na księżycu.

Nie pomnę, czym zdażył je skończyć. Dzięki ciepłu, płynącemu z kaloryfera, lodowa powłoka na szkłe zaczęła tajać zrazu małymi kawałkami, a potem całe płyty lodu zaczęły zsuwać się ku dołowi.

Skorupa, zakrywająca przed naszymi oczyma księżycowe pejzaże, znikła, i chciwie przyłgnęliśmy do szkła, by ujrzeć to, czego nigdzie żaden człowiek dotychczas nie widział...

VII.

Wschód słońca na Księżycu.

Na pierwszy rzut oka krajobraz księżycowy wydał się bardzo dziki i smutny. Znajdowaliśmy się na dnie krateru, jakby na arenie olbrzymiego, okrągłego amfiteatru. Wokoło nas, ze wszech stron piętrzyły się prostopadle skaliste jego ściany. Zachodnią oświecały promienie niewidocznego dla nas jeszcze słońca. Widać było jej wielkie, szare złomy; w szczelinach i zagłębieniach czał się śnieg. Skąły te, w najlepszym razie oddalone były od nas o jakie mil dwanaście, jednak brak czy wielka rzadkość atmosfery dozwalała nam dobrze obserwować najdrobniejsze szczegóły. Cały obraz ostro rysował się na zupełnie czarnem tle nieba, wydającego się nam raczej zasłoną z czarnej tkaniny, posianej złotymi gwiazdkami. Wschodnia ściana różniła się od tamtej tylko brakiem gwiazd. Najmniejszy błysk zorzy nie zapowiadał wzejścia dnia. Jeden jedyny zodiacalny promień, kulisto rozstrzelony na wschodniej stronie nieba, wskazywał, że słońce wzniosło się już ponad horyzont.

Dno krateru, oświecone odblaskiem wschodniej ściany, wydawało się ogromną, falistą, ciemno-szarą równiną, pokrytą kulistymi wzgórzami i pagór-

kami, a od miejsca do miejsca całemi zwałami śniegu. Z początku brałem te białe stopy za śnieg, później jednak okazało się, że było to zamarzłe powietrze!

Taką po raz pierwszy ujrzeliśmy powierzchnię księżycą, jednak wkrótce krajobraz zmienił się — nastąpił dzień.

Promienie słońca, dosięgnawszy stop zachodniej ściany, powoli zsunęły się ku nam i oblewały swym blaskiem coraz większe i większe przestrzenie dna krateru. Przy zetknięciu się z niemi wzgórza śniegowe w mgnieniu oka zaczęły się topić tak, że wkrótce cała równina, rozścielona przed nami, parowała jak mokra chusta, rozpostarta przed ogniem, a skały zachodniej ściany wylaniały się z poza oparów.

— To powietrze, — rzekł Cavor — inaczejby parowanie nie postępowało tak szybko. Przecież, w ten sposób... Patrz pan! — krzyknął nagle, zwracając wzrok ku górze.

— O co chodzi? — pytałem.

— Niech pan spojrzy na niebo; już zaczyna nabierać błękitu. I gwiazd znacznie mniej, te maleńkie razem z obłoczkami już znikły.

Dzień zbliżał się szybko; całą równinę spowity skłębione tumany mgieł, skrywając bardziej oddalone skały z przed oczu.

Tuman sunął ku nam coraz bliżej i bliżej, z szybkością z jaką po ziemi bieży cień obłoków.

— Patrz pan — zawołał znów Cavor, chwytając mnie za rękę.

— Cóż tam?

— Słońce, widać słońce!

Wskazywał mi wierzchołek wschodniej skały, w której cieniu spoczywał nasz aparat. Dawniej trudno go było rozróżnić od ciemnego tła nieba, teraz kontury jego ostro rysowały się, okrażone jakby językami różowo krwawych płomieni, w żywych skrzętach, wijących się we wszystkich kierunkach. Sądziłem, że to tumany pary oświecone słońcem, tymczasem w rzeczywistości były to protuberanse i płomienie słonecznej korony, zakryte na ziemi przed naszymi oczyma atmosferą. Wśląd za nimi ukazało się słońce!

Zrazu widzieliśmy mały, nadzwyczaj jasny punkcik, który w oczach przemieniał się w łuk, sierp, wreszcie w tarczę, która załała nas ciepłemi, dobroczynnemi promieniami. Krzyknąłem i, odwróciwszy się, zasłoniłem twarz rękami.

Jednocześnie ze światłem i ciepłem doszedł nas dźwięk — pierwszy odgłos od chwili opuszczenia ziemi! Był to jakby głośny szelest, kipienie, poprzedzające proces tajania zmarzłego powietrza. Spojrzawszy na śnieg, na którym leżał nasz aparat, zauważyłem, że istotnie jakby wrzał, szybko tajał i zamieniał się w parę w postaci wielkich baniek, zupełnie jak prawdziwy śnieg dotknięty rozżarzoną metalą.

Nie zdążyłem Cavorowi nawet udzielić swego spostrzeżenia, gdy aparat nasz nagle wstrząsnął się, tak silnie, że ledwie utrzymaliśmy się na nogach. Przez minutę wstrząśnienia stawały się coraz szybsze, wreszcie zaczęliśmy się gdzieś toczyć. Schwyciwszy się nawzajem za ręce, staraliśmy się utrzymać w równowadze, ale bezskutecznie! Toczyliśmy się, choć wolne, było tak nierównomierne, że

nie pozwalało na przystosowanie się do owych ruchów. Ledwie człowiek zdążył przygotować się, choćby na czworakach, zaraz musiał runąć w tę, lub tamtą stronę. Położenie nie do pozazdroszczenia!

Zewsząd otaczał nas śnieg stojący, który gdzieś sunął się i parował. Widocznie spadaliśmy słabo wstrzymywani tym śniegiem, oblepiającym całą powierzchnię aparatu, tak że prócz potoków wody, szybko zmieniającej się w bańki, z żadnej strony nicśmy nie widzieli. Powolny bieg z każdą chwilą nabierał szybkości. Mieliliśmy wrażenie, że porwał nas jakiś wodospad, z którym spadamy w przepaść.

Zakrywszy oczy i splótłszy się ze sobą rękami, zaczęliśmy się o sprzęty, uderzali o ściany, o tłumok, który raz spadał na nas, to w bok odlatywał. W głowie mi szumiało, w oczach stawały świece, całe ciało bolało od naprężenia i siniaków. Gdyby taki wypadek przybrał się nam na ziemi, dawno już rozbilibyśmy się na śmierć; lecz na księżycu, gdzie siła ciężkości jest sześć razy mniejsza, upadek opłacił się znacznie taniej. Pomimo to straciłem przytomność.

Ocknąłem się pod wrażeniem jakiegoś łaskotania za uszami. Jakby jakieś małe szczytce chwyciły mnie za tylną część małżowin usznych. Otworzywszy oczy, ujrzałem, że jaskrawe światło, przy którym straciłem przytomność, lagodzą sine szkła, przez które widzę twarz Cavora, jakby odwróconą. Na nosie jego rysowały się również ciemne okulary. Z trudem dyszał, a twarz miał całkiem podrapaną i zalaną krwią.

— Czy teraz panu lepiej? — spytał, ocierając krew rękawem.

Rzeczywiście było mi lepiej, jednak w głowie szumiało mi ciągle. Ze wszystkich stron biła jasność, tak że Cavor zasunął kilka okienek, aby uwolnić mnie od natrętnych promieni słonecznych.

— Boże! Cóż to? — krzyknąłem, odwróciwszy głowę, zachwycony skąpanym w blaskach słonecznych pejzażem, który zastąpił miejsce mrocznych, rannych widoków.

— Czy długo byłem bezprzytomny?

— Nie wiem. Chronometr stłuczony. Zdaje się, że nie bardzo. Ach, mój drogi! zaczynałem się już na serio obawiać...

Oblicze Cavora miało ślady głębokiego przestraszenia. Leżałem chwilę, milcząc, aby pozwolić mu przyjść do siebie. Widząc na jego twarzy liczne zadrapania, zacząłem badać swoje ciało, by przekonać się, czy nie odniosłem cięższych obrażeń. Zauważyłem, że skórę na tylnej części prawej ręki miałem zupełnie zdartą, na głowie zaś odkryłem silnie krwawiącą szramę, Cavor sprawnie opatrzył mnie i dał mi jakichś krzepiących kropli, których nazwy już nie pamiętam; po ich zażyciu uczułem się tak zdrowym, że siadłem, by trochę porozmawiać.

— Zdaje się, że nie zginęliśmy jeszcze.

— O tak, z pewnością — potwierdził Cavor.

Siedział ze złożonymi na kolanach rękami i zamyslił się.

— Ach, mój Boże, to oczywista, że nie zginęliśmy! — powtórzył, spoglądając na mnie przez szkła.

— Co się właściwie stało? — pytałem po chwili — możemy nagle przeskoczyć pod zwrotnik?

— Stało się to, co przewidywałem — odrzekł; — powietrze wyparowało, jeśli to jest powietrze, i leżymy teraz na nagiej księżycowej skorupie, a raczej na skale. Między skałami zaś rozciąga się księżycowy grunt.

Bez dalszych objaśnień pomógł mi wstać i wskazał otaczający nas krajobraz.

VIII.

Poranek na Księżycu.

Ostre kontrasty światła i cieniów znikły bez śladu! Blask słońca przybrał blado-bursztynowy odcień; jasne półtony na skałach krateru krwawiły się purpurą. Po wschodniej stronie lekkiej tuman zakrywał jeszcze słońce, zachód już tonął w niepokalanie czystym błękitcie.

Wokoło nas wytworzyła się już atmosfera. Kontury otaczających nas przedmiotów rysowały się wyraźniej, znikł podbiegunowy charakter miejscowości, tylko gdzie niedzie, w miejscach bardziej zacienionych leżały kupy, tym razem prawdziwego, wodnego śniegu. Wszędzie czerniały ciemne platy gołej ziemi. Tu i owdzie około plam śniegowych błyszczwały kałuże. Promienie słoneczne silnie nagrzewały dwie trzecie powierzchni aparatu, spoczywającego jeszcze na śniegu. Chłód ciągnął od spodu.

Na stoku wzgórze miejscami sterczały jak gdyby suche ciemno-szare powyginane badyle, których zacienione boki szron pokrywał. Ten szczegół dawał dużo do myślenia. Badyle! Skądże się tutaj wzięły na widocznie zamarzłej planecie? Przyjrząwszy się im bliżej, zauważyłem, że składają się z suchych włókien podobnych do wpółzestłej kory drzewnej.

— Cavor! — rzekłem.

— Co?

— Księżyc teraz może już nie ma życia, ale niegdyś...

Nie zdołałem dokończyć zdania, spostrzegłszy nagle wśród włókien jakieś okrągłe ciała, z których jedno wykonywało lekkie ruchy.

— Cavor! — szepnąłem.

— Co takiego?

Zrazu nie odpowiadałem, nie przestając wpatrywać się z niedowierzaniem. Wreszcie schwywszy Cavora za rękę, zawołałem:

— Patrz! patrz! Tutaj... i tam jeszcze!

— No, cóż takiego? — pytał, patrząc wślad za moim wskazującym palcem. — Jak opisać to, cośmy ujrzeli? Samo zjawisko może nie zasługiwało nawet na wzmiankę, jednak wydawało się cudownem i wzbudzało palącą ciekawość. Mówiłem już, że między włóknami kryły się małe ciała o wygładzie wielkich ziaren piasku. Teraz jedno za drugim zaczęło spadać na ziemię i pękać, przyczem w szczelinach pojawiało się coś zielono-żółtego, jakby na spotkanie ciepłych promieni słońca.

— To nasiona! — zawołał Cavor i jakby oczarowany, radośnie szeptał:

— Życie, życie!

Nie darmo więc przedsiębraliśmy tak daleką i niebezpieczną podróż! Nie w martwe królestwo kamienia zanosły nas losy, lecz w świat tętnący życiem!

Przyłgnęliśmy twarzami do szkła, śledząc z zapartym oddechem...

Dziś przypominam sobie, że usiłowałem wytrzeć rękawem niewielką plamę, którą każdy oddech na szybie zostawiał. Na nieszczęście mogliśmy tylko

patrzeć w kierunku promienia szklanej kuli, bo tylko w tych warunkach widzieliśmy prawdziwy obraz, w każdym innym kierunku zmieniał on się skutkiem krzywizny szkła. Pomimo wszystko widzieliśmy dobrze! W naszych oczach pękały maleńkie kulczki jedna za drugą, odkrywając zielone gardziółka ku promieniom słońca, obficie płynącym z jasnego nieba. I nie tylko pękały, ale zaczynały też szybko wyrastać: w dół, ku ziemi wypuszczały korzonki, w górę zaś ku słońcu — maleńkie żółtawe pędy. Nie zdążyliśmy zauważyć nawet, a już całe zbocze wzgórzka pokryły drobniuchne roślinki, rozwijające się w oczach. Podobne do pączków, końce ich pękały, odsłaniając pęki cieniutkich, ostro zakończonych ciemnych listeczków, szybko wydłużających się i rozkrywających w koronę. Ruchy roślin tych były znacznie szybsze od ruchów wszystkich roślin ziemskich a powolniejsze niż poruszenia zwierząt. Końce listków widocznie wydłużały się coraz bardziej. Szara skorupka zewnętrzna nasion zniknęła bez śladu. Jak mam wyrazić, z czym porównać szybkość całego tego procesu rozwijania się na księżycu? Czyście próbowali kiedy, trzymając w rękach kulkę termometru śledzić wznoszenie się słupa rtęci? Jeśli tak, możecie mieć pojęcie o tej szybkości.

W ciągu kilku minut większa część roślin zdążyła z lodyg wypuścić dalsze korony listków, tak że cały skłon wzgórzka tak niedawno jeszcze nagi i bezpłodny, pokrył się oliwkowo zieloną gęstwą, śmiało wyciągającą swe błyszczące, ostre kończyny ku źródłom życiodawczego światła.

Spojrzałem w górę i oniemiałem ze zdziwienia. Górny brzeg wschodniej ściany krateru, nie tylko tonął w takiej samej bujnej roślinności, lecz z pośród

niej dźwigała się sylweta jakiejś większej rośliny w rodzaju kaktusa, rosnącej szybko jak balon, napęnliony gazem.

Na zachodniej stronie widniały również podobne wielkie twory o jaskrawo pomarańczowym odcieniu, być może z powodu bezpośredniego oświetlenia słońcem. Rosły także bardzo szybko; dość było na kilka minut odwrócić oczy, a zarysy ich już wydawały się odmienne. Zrazu wypuszczały grube, tępe liście, z pomiędzy których wyrastał koralowo czerwony pień, o kilkunastokrotnej wysokości.

Na stokach ścian krateru, na dnie jego, na wzgórkach i w rozpadlinach skrytych przed naszym wzrokiem, a dostępnych promieniom słońca, szybko pojawiała się bogata roślinność, pragnąca skorzystać z krótkiego dnia, by rozkwitnąć, wydać owoce, przygotować nasiona i zamrzeć. Tak szybki rozwój wydawał się nam cudem. Być może w pierwszych dniach istnienia ziemia również tak szybko pokrywała się roślinnością.

Wyobraźcie sobie tylko, spróbujcie sobie przedstawić ten rozkwit życia na księżycu! Tajanie zmarzłego powietrza, rozsiewanie i wyrastanie nasion, wreszcie dziwnie szybki i bogaty ich rozwój!! I to wszystko pod tak jaskrawym blaskiem słońca, przy którym zbladłyby nasze nawet najbardziej jasne i słoneczne dni. A przytem na księżycu wszędzie, gdzie tylko panował cień, wśród potężnej roślinności, leżały sinawe pola śnieżne! Ażeby dopełnić obrazu, rozpościerającego się przed zdumionemi naszymi oczyma, weźcie to pod uwagę, żeśmy mogli zachwycać się nim tylko przez grube, kulisto wygięte szkło, jakby przez soczewkę, dającą prawdziwy obraz w ognisku.

IX.

Zaczynamy badania.

Przystawszy wreszcie patrzeć, stanęliśmy na przeciw sobie jedną tknięci myślą. Do istnienia życia na księżycu potrzebne powietrze, jakkolwiek byłoby rzadkie. Jeśli zaś jest powietrze, możliwe, że i my moglibyśmy niem oddychać:

— Wychodzimy? — spytałem.

— Naturalnie... jeśli to tylko rzeczywiście powietrze.

— Jeszcze chwila i rośliny przewyższą nas wzrostem, — rzekłem, a potem dodałem:

— Zresztą któż może wiedzieć? Może to azot, albo kwas węglowy!

— Nietrudno się przekonać — odrzekł Cavor i wyjąwszy z tłumoka zwitek papieru, zapalił go i wyrzucił szybko przez wchodowy otwór. Chciwie patrzyłem przez szkło na maleńki płomyczek, od którego tak wiele zależało.

Papier spadł na śnieg i zagast pozornie; wkrótce jednak cienki języczek błękitnego płomienia znowu ukazał się po jednej stronie i pomału objął cały skrawek papieru prócz części bezpośrednio dotykającej śniegu.

Wszystkie wątpliwości znikły, na księżycu była atmosfera, złożona z powietrza lub z czystego tlenu. Jeśli tylko nie jest bardzo rozrzedzona, będziemy mogli żyć i oddychać!

Chciałem już odkryć zasłonkę, lecz Cavor mnie powstrzymał.

— Trzeba przecież zachować pewne ostrożności — mówił, wskazując, że księżycowa atmosfera może być bardzo rozrzedzona i podziałać na nas zgubnie, a więc wywołać „górską chorobę“ i krwotoki, zwykle przy wspinaniu się na bardzo wysokie góry i podnoszeniu się zapomocą aerostatów na bardzo znaczne wysokości. — Szybko przygotował jakiś napój; wypiliśmy. Smak miał obrzydliwy. Do dziś mdło mi, ile razy sobie przypomnę; zato działał przytępiająco na zmysł czucia.

Zacząłem odkręcać iluminator. Ledwie między nim a ścianką aparatu ukazała się maleńka szczelina, powietrze ze świstem zaczęło wychodzić nazewnątrz. Zastanowiłem się. Widocznie ciśnienie atmosfery zewnątrz aparatu było mniejsze niż wewnątrz. Ale o ile mniejsze?

Siedziałem na podłodze, trzymając w rękę śruby iluminatora, przygotowany w każdej chwili do zakrycia go, a Cavor stał obok tłumoka z cylindrem płynnego tlenu, gotów podnieść ciśnienie wewnątrz aparatu. Czekaliśmy, raz po raz spoglądając na siebie, to znów na otaczającą nas roślinność, zrzadka wymieniając urywane zdania. Świst powietrza w szczelinie nie ustawał.

Po niejakim czasie, dzięki rozrzedzeniu atmosfery, dźwięk głosu Cavora zaczął dochodzić mnie coraz słabiej; arterje w skroniach były przyspieszonym tętnem. Nastąpiła lekka zadyszka i nieprzyje-

mnie uczucie w uszach, nozdrzach i gardle, wreszcie zawrót głowy i duszność. Zdjął mnie lęk. Zakręciłem śruby iluminatora, pytając patrząc na Cavora. Widocznie czuł się znacznie lepiej. Radził mi odetchnąć i napić się wódki. Usłuchawszy rady, szybko przyszedłem do siebie i znów otworzyłem winty. Zrazu świst powietrza wznowił się, po chwili jednak zaczął słabnieć, wreszcie ustał zupełnie.

— No? — spytał Cavor ledwo słyszalnym głosem.

— No? — powtórzyłem.

— Wychodzimy?

— A nie będzie gorzej? — pytałem niepewnie.

— Nie, gorzej nie będzie. Czy tylko wytrzymasz to, co jest?

Zamiast odpowiedzi zacząłem ostatecznie odkręcać iluminator. Gdy skończyłem robotę i powietrze księżycowe wpadło do wnętrza przyrządu, wywołałszy tworzenie się płatków śniegowych, które natychmiast tajały, wysunąłem się z iluminatora i ległem na jego brzegu. Nade mną w oddaleniu jakiegoś jarda od mojej twarzy leżał dziewiczy śnieg księżycowy.

— No cóż, czy nie rozdrażnia twych płuc za nadto powietrze księżycowe? — pytał Cavor, gdy m trochę odetchnął.

— Nie — odrzekłem — można wytrzymać.

Wówczas zapiał się szczerzej, wysunął nogi z iluminatora i posiedziawszy chwilę na brzegu zeskoczył na śnieg, stał chwilę oglądając się na wszystkie strony, wreszcie niewiedomo czemu, wykonał skok, przyczem znalazł się odrazu w odległości dwudziestu do trzydziestu stóp od przyrządu. Stojąc na zrębie skały gestykułował i widocznie krzyczał coś

do mnie; dźwięki jednak nie dochodziły. Wszystko to tak było dziwne, że zrobiło na mnie wrażenie raczej zręcznego kuglarstwa.

Wśląd za nim wyszedłem z aparatu i stanąłem na śniegu. Nie mogłem otrząsnąć się jeszcze ze zdziwienia. Przede mną błyszczała maleńka kałuża, powstała z tającego śniegu. Chcąc przejść ją, zrobiłem skok i uniosłem się w powietrze prosto w kierunku skały, na której stał Cavor. Uderzywszy się o nią, upadłem. Bardzo skonfundowany nie mogłem się przecież od śmiechu powstrzymać.

Cavor schylił się nade mną z upomnieniem, bym był ostrożnym.

— Pamiętaj, żeśmy wylecieli z pod skrzydeł opiekuńczej matki Ziemi — mówił.

Rzeczywiście zapomniałem o tem, że masa Księżycy ośm razy mniejsza od masy Ziemi, a przekrój jego stanowi tylko czwartą część ziemskiego przekroju i dlatego ciężar mój musiał się sześć razy zmniejszyć, lecz siła mięśni została ta sama. Gorzkie doświadczenie kazało mi o tem pamiętać.

Ostrożnie wdrapawszy się na skałę, dźwigając się jak nieuleczalny paralytyk, znalazłem się wreszcie obok Cavora. Aparat leżał w śniegu w odległości jakichś trzydziestu stóp od nas.

Gdzie tylko wzrok sięgał, powierzchnię dna krateru porastała trawa. Miejscami nad nią wznosiły się wielkie rośliny w rodzaju kaktusów, a krwawo purpurowe mchy wyrastały po skałach tak szybko, że wydawało się, że pełzają.

Ściany krateru zupełnie nagie, porośnięte były tylko u podnóży. Zręby i tarasy ich niczem nie zwracały uwagi. Zbadawszy dokładniej, doszliśmy do przekonania, że znajdujemy się nie u stóp wschodniej

ściany krateru, a raczej daleko od niej, prawie w środku doliny, rozścielającej się na kilka mil wokół.

Wschodnia jej część, a zwłaszcza samo zbocze skały niecoświecone jeszcze słońcem spowijał lekki tuman, niesiony ku nam wiatrem. Na księżycu również był wiatr. Rozrzedzony podmuch pędził bardzo szybko i silnie chłodził ciało, nacisk jednak wywierał słaby. Dzięki cieniom i mgłę wschodnia ściana krateru wydawała się zupełnie dziką, a przytem patrzeć na nią było trudno z powodu silnego blasku słońca, panującego jeszcze na wschodzie.

— Widocznie tam jest prawdziwa pustynia — mówił Cavor, spoglądając na wschód przymrużonemi oczyma, zasłoniwszy wzrok od słońca ręką — dzika i bezpłodna.

— Przecież i tutaj widać te tylko rośliny — do rzuciłem — bez najmniejszych śladów życia zwierzęcego.

— Gdyby istniało nawet, to cóżby z niem stało się w nocy? — ciągnął — nie, bezwarunkowo zwierząt tu niema.

Zacząłem patrzeć z pod dłoni na wschód:

— Wszystko jakby we śnie. Patrz tam! Zupełnie jakaś niby skamieniała jaszczurka. A co światła!

— Przytem to jeszcze tylko wczesny ranek — zauważył Cavor. Nie, człowiek nie mógłby żyć tutaj. A zresztą, kto wie... dodał.

Milczał chwilę, potem zaczął sapać.

Nagle poczułem lekkie dotknięcie na lewej nodze; spojrzawszy w dół, dostrzegłem czerwony mech, wspinający się po trzewiku. Straciłem go, przyczem rozsypał się na pyłki, z których każdy zaczynał szybko wzrastać.

W tejże chwili Cavor krzyknął. Okazało się, że zadrasnął się kolcem obok rosnącego krzaka. Zaczął oglądać się na okoliczne skały, a ja tymczasem przyspadywałem się czemuś czerwonemu i błyszczącemu, co wspinało się na kamień sąsiedni.

— Patrz, patrz — rzekłem, zwracając się do towarzysza — jednak... okazało się, że go niema.

Zrazu oniemiałem ze zdziwienia, wnet jednak szybko postąpiłem na brzeg skały, żeby zairzeć, czy niema Cavora u jej stóp. Jednakże krocząc, znów zapomniałem, że jesteśmy na księżycu. Wysilek, któryby na ziemi posunął mnie zaledwie o jard naprzód, na księżycu spowodował skok sześćojardowy; poleciałem daleko za kres tego punktu, gdzie miałem stanąć. Wrażenia moje w czasie tego lotu podobne były do tych, jakich doznaje człowiek we śnie, gdy mu się roi, że pada. Samo spadanie na księżycu odbywa się ośm razy wolniej niż na ziemi, to też spadałem co najmniej sześć sekund i ostatecznie znalazłem się w śniegu, napelniającym szczelinę szarobłękitnej z białymi prążkami skały.

— Cavorze! — wołałem, oglądając się naokoło; ale Cavora nigdzie nie było widać. — Cavorze! — powtórzyłem głośniej, ale tylko echo mi odpowiedziało. Wtedy wdrapałem się znów na skałę i zacząłem stamtąd wołać Cavora. W głosie moim slychać było rozpacz zgubionego jagnięcia. Cavor znikł, naszej kuli ze skały nie było widać, i doprawdy dość miałem powodu do rozpacz.

Ludzie, zaginieni na Księżycu.

Nareszcie go ujrzałem; stojąc na nagiej skale w odległości dwudziestu albo trzydziestu sążni ode mnie, śmiał się i gestykułował, chcąc widocznie zwrócić na siebie moją uwagę. Głosu nie słyszałem, lecz ruchami wzywał mnie do skoku i złączenia się z nim. Odstęp wydawał się olbrzymim; zrazu nie miałem odwagi, lecz zmiarkowawszy, że Cavorowi udało się przeskoczyć, a przecież ja byłem silniejszy, postanowiłem spróbować.

W tym celu odstałem dwa kroki, rozpędziłem się i z całej siły skoczyłem. Rezultat był niezwykły. Poleciałem w prostej linii, jak gdybym wcale nie miał się już opuścić.

I strasznie i przyjemnie zarazem było mknąć w ten sposób w powietrzu, jak we śnie. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie należało tak silnie skakać. Przeleciawszy nad głową Cavora zacząłem spadać w żleb pełen roślin kolących, ale dzięki napięciu mięśni upadłem cokolwiek dalej na ogromny grzyb, który mnie od stóp do głowy osypał swą pomarańczową miazgą. W pierwszej chwili, leżąc na ziemi w gęstawej kaszy zgniecionego grzyba, nie mogłem powstrzymać śmiechu ze swej przygody,

lecz wnet odczułem silne znużenie. Nie było jednak czasu do rozmyślań nad swemi wrażeniami, bo wnet pośród gałęzi roślin kolących pojawiło się okrągłe i podniecone oblicze Cavora, spieszącego z pomocą.

— No i co? — wołał z oddali.

Chciałem odpowiedzieć, ale temu mi zabrakło.

— Tu trzeba być ostrożnym — rzekł, podchodząc bliżej — zwyczajnie ziemi na księżycu na nic się nie przydadzą. W taki sposób można na śmierć się rozbić.

Mileżałem, nie mogąc temu złapać. Cavor pomógł mi wstać i rękawem ścierał ze mnie żółtą, grzybową miazgę.

— Nie trzeba wykonywać zbyt silnych ruchów — ciągnął — jeszcze nie oswoiliśmy się ani z rozrzedzonym powietrzem, ani z siłą przyciągania na powierzchni księżyca. Nasze mięśnie nie przywykły do tego. Trzeba je trenować. Rozumie się, najprzód musi pan wypocząć.

Wyrwawszy kilka koleców, tkwiących w ręce, siadłem na kamieniu. Całe moje ciało drżało ze zmęczenia. Dusza była pełna rozczarowania podobnego do uczuć człowieka, który po raz pierwszy jechał rowerem i upadł.

Cavor zauważył, że siedząc w wilgotnym i zimnym żlebie, mogę się przeziębic; pospieszyliśmy tedy wydobyć się na miejsce zalane słońcem i zajęliśmy się oględzinami uszkodzeń, jakie poniosłem. Prócz kilku draśnięć byłem zdrow i cały. Zmęczenie minęło równie szybko, jak się pojawiło, to też wnet przystąpiliśmy do trenowania mięśni.

Cavor stał się w tem mistrzem moim i wybrałszy dogodne miejsce, zaproponował skok na kamien-

na platformę w odległości dziesięciu jardów od nas, za krzewem oliwkowo zielonych, kolących roślin.

— Skocz tak, jak gdybyś miał spaść tu — mówił, wskazując punkt odległy o cztery stopy ode mnie. Ten skok istotnie udał się doskonale, natomiast sam Cavor skoczył za słabo i upadł na kolącą gęstwinę, co mi, przyznając, sprawiło pewną przyjemność.

Powyrrywawszy kolce ze swoich rąk, pozbył się od razu mentorskiej miny i stał się znowu dobrym towarzyszem.

— Tak, trzeba być oględniejszym, jak widzisz — mówił.

Zaczęliśmy się dalej trenować, wybierając zrazu skoki łatwiejsze i stopniowo przechodząc do trudnych. Nie spróbowawszy, nigdybym nie uwierzył, że ćwiczenie pójdzie tak łatwo. Po wykonaniu trzydziestu do czterdziestu mniej więcej skoków, tak przyzwyczailiśmy się już do wysiłków na księżycu, że czuliśmy się tak dobrze jak na ziemi.

Tymczasem roślinność dookoła nas szybko wra-
stała, coraz wyżej i gęściej. Kolące rośliny, kaktusy, grzyby, jakieś dziwne, promieniste, splecione tworzyki wylały się jedne z drugimi, tworząc gęstwiny trudne do przehyścia. Zajęci nowym sportem przez pewien czas nie zwracaliśmy na to uwagi.

Wogóle ovladnęła nami jakaś dziwna rzeźkość, nie licząca z wiekiem. Pochodziła ona, mojem zdaniem, po części z poprzedniej długiej niewoli w aparacie, po części zaś z podniecającego działania powietrza, które na księżycu zawiera prawdopodobnie większy procent tlenu niż na ziemi. Mimo niezwykłych warunków czuliśmy się zupełnie swobodni; otoczeni ze wszech stron czemś, nieznanem nie odczu-

waliśmy lęku. Z każdą chwilą stawaliśmy się bardziej odporni, przedsiębiorczy.

Wybrawszy, na przykład, pokrytą mchami terasę w odległości piętnastu jardów z okrzykiem: „ot tak!“ „doskonale!“ — jeden za drugim wskoczyliśmy na nią. Potem Cavor, nabrawszy rozpędu, skoczył na dwadzieścia jardów w zaspę śnieżną. Zrazu śmiałem się, patrząc na jego maleńką figurkę z krzywymi nóżkami, odzianą w zbrudzony za szeroki nieco kostjum, majestatycznie bujającą w powietrzu, potem sam wykonałem skok taki i opuściłem się tuż obok niego.

Słowem rozbrykaliśmy się jak sztubaki szkolne w czasie pauzy; zmęczeni trochę, usiedliśmy na obrosłym mchem glazie, aby odetchnąć. Cavor z uśmiechem spoglądając na mnie, zwierzał się, że odczuwa „dziwną rozkosz“. Ja również byłem w różowym nastroju. Wtem przyszyła mi do głowy myśl całkiem prosta i pozornie nie w sobie straszniejszego nie mająca.

— A propos — spytałem — gdzieby mógł być teraz nasz aparat?

— Jak? — zawołał Cavor, jakby obudzony ze snu; wyraz jego twarzy w jednej chwili zmienił się.

Ujrawszy tę zmianę zaszła w obliczu mego towarzysza, rozumiałem całe znaczenie prawie bezwiednie rzuconego pytania.

W rzeczy samej, jak teraz znajdziemy kulę?

Cavor wstał i zaczął się niespokojnie oglądać. Obrosła mchami terasa, na którą skakaliśmy, widniała nieopodal. Dostrzegłszy ją, Cavor jakby ożył.

— Aparat powinien się gdzieś tam znajdować,

ko pewność jego stopniała. — Trudno — mówił — twierdzić na pewno, przecież poszukać nie zawadzi.

Stojąc razem, przeszukiwaliśmy wzrokiem miejscowość, oczywiście nie mogąc stanowczo zorientować się wśród niezwykle, szybko zmieniającej się przyrody. Podczas naszej zabawy wszystko dookoła zmieniło się do niepoznania.

Wokoło nas na zalanych słonecznym światłem zboczach, literalnie buszowała przepyszna roślinność. Na północy, południu, wschodzie i zachodzie wzrok tonął w nieprzejranej gęstwie kaktusów, koleczastych krzaków i grzybów, które zdołały osiągnąć olbrzymich rozmiarów. Jakże tu znaleźć nasz aparat, nasz dom, jedyny skład żywności i jedyny środek powrotu na ziemię?

— Zdaje mi się, że tam leży — niespodzianie zawołał Cavor, wskazując na południe.

— Nie — zaprzeczyłem — przecież nie szliśmy prosto, lecz krążyliśmy. Tutaj moje ślady. Widzisz? Jasne, że aparat leży więcej na wschód. Ale gdzieby mógł być?

— Mnie się wydaje, że słońce miałem wtedy z prawej strony.

— A ja doskonale przypominam sobie, że świeciło z tyłu, — twierdziłem — cień mój zawsze biegł przede mną.

W milczeniu spoglądaliśmy na siebie. Płaszczyzna dna krateru okazała się bardzo obszerną, a prócz tego zdążyła już porość nieprzejrzanym lasem.

— Mój Boże, co za głupota nie do przebaczenia! — powtarzałem.

— Musimy ją za wszelką cenę naprawić — oświadczył Cavor — i to jak najszybciej. Upał

wzmaga się, dawno już stracilibyśmy siły, gdyby nie suchość powietrza. Przytem czuję już głód.

W samej rzeczy możemy przecież umrzeć z głodu. Myśl ta z dziwną wyrazistością utkwiała mi w mózgu tak, że nie mogłem powstrzymać okrzyku: „Tak, ja również jestem straszliwie głodny!”

— Przedewszystkiem musimy odnaleźć aparat — stanowczo rzekł Cavor.

Z trudem utrzymując spokój, zbadaliśmy wierzech skały, kamienie i zarośla najbliższe, przypuszczając możliwość znalezienia aparatu obok nich.

— Gdzieś tutaj na pewno; najwyżej w odległości pięćdziesięciu jardów od nas — mówił Cavor — musimy zataczać koła, póki nań się nie natkniemy.

— Tak, niema innego wyboru — odrzekłem, nie spiesząc się z szukaniem — szkoda tylko, że te przekłete rośliny tak się porozrastały.

— Cóż robić! Musimy bądź co bądź przedrzeć się przez nie. Aparat leżał na śniegu.

Oglądałem się bezustannie, pragnąc dojrzeć jakiś krzak lub kamień, któryby wydał mi się znanym, jednak napróżno — otoczenie tak się zmieniło, że nie można było niczego poznać ani dopatrzeć w tym wirze nieznanych, dziwnych, skłębionych kształtów.

Wtem nagle, oglądając się z beznadziejną trwogą wśród grożącej nam pochłonięciem obcej przyrody, po raz pierwszy na księżycu usłyszeliśmy dźwięk, przypominający nam ojczystą ziemię, dźwięk różny zupełnie od głosów martwej czy roślinnej przyrody...

Bumm! Bumm! Bumm! Rozlegało się gdzieś, jak gdyby wychodząc z pod ziemi. Słyszeliśmy ten odgłos, przygłuszony nietylko oddaleniem ale i warstwą złych przewodników głosu, u siebie pod nogami. Słyszeliśmy go nietylko uszami, ale całym cia-

tem — ziemia drżała od uderzeń, jednakowych, miarowych i dźwięcznych!

Bumm! Bumm! Bumm!

Dźwięk ten przypomniał nam kościelne mury, bezsenne noce w wielkim mieście, świąteczne ranki, słowem — życie, otoczone aureolą rozumu i idealnych uczuć. Był to, niewątpliwie, dźwięk wielkiego dzwonu.

Bumm! Bumm! Bumm!

Pobledli, szeroko rozwartemi oczyma spoglądaliśmy nawzajem na siebie.

— Co to — dzwon? — spytał Cavor szeptem.

— Jakby dzwon.

— Cóżby to mogło znaczyć?

— Nie wiem.

— Licz uderzenia — rzekł Cavor, jednak było już późno — dzwonienie ustało.

Cisza oddziaływała na nas dręcząco. Żał było rozstać się z tak żywym wrażeniem czegoś tajemniczego, a widocznie pochodzącego od istot rozumnych. Słyszeliśmy rzeczywiście dźwięk dzwonu, czy też to była tylko halucynacja?

Cavor wstrząsnął mi rękę i szeptem, jakby obawiając się kogoś zbudzić, rzekł.

— Pójdziemy szukać aparatu. Musimy, koniecznie musimy go znaleźć. Ten dzwon... ten dźwięk niepojęty. To nad mój rozum. •

— A dokądże pójdziemy? Gdzież mamy szukać kuli? — pytałem szeptem.

Cavor wahał się. Świadomość, że istnieje w pobliżu coś dla nas niewidzialnego i niepojętego odbierała nam możliwość spokojnego zastanawiania się. Kto dzwonił? Gdzie dzwonił? Czyż ta pustynia, raz paląca się słońcem, to znów marznąca do tempe-

ratury absolutnego zera, jest tylko maską, ukrywającą bujne, podziemne życie? I co to za życie? Z kim możemy się za chwilę spotkać?

Nagle głuchą ciszę przerwał niespodziewany huk, niby szczyk olbrzymich wrót żelaznych, otwieranych gdzieś nieopodal.

Stanęliśmy jak wryci.

— To niepojęte — szepnął Cavor, ledwie dosłyszalnym głosem, skłaniając się do mego ucha; — trzeba się gdzieś ukryć... Kto wie z kim...

Nie dokończył.

Byłem tego samego zdania. Wśląd za Cavorem ruszyłem w gęstwę krzaków. Nie szliśmy właściwie, lecz skradaliśmy się, usiłując nie budzić najmniejszego szelestu. Ten dziwny huk, jakby uderzeń młota w żelazny kocioł, działał na nas podniecająco.

— Musimy pełznąć — szepnął mi Cavor.

Dolne liście koleczastych roślin, ocienione górnemi, zaczynały już więdnąć i opadać, torowaliśmy więc sobie przez nie drogę bez wielkiego trudu i uszkodzeń. W środku gęstwiny stanąłem, patrząc na Cavora.

— Pod ziemią — szepnął — w dole.

— Tak, mogą przecież wyjść.

— Musimy znaleźć aparat.

— Tylko jak? — pytałem.

— Podpełzniemy, aż natrafimy nań.

— A jeśli nie trafimy?

— Skryjemy się. Zobaczymy, jak wyglądają.

— Nie trzeba tylko rozchodzić się; w którą stronę pójdziemy?

— Trzeba iść na ślepo.

Tak też zrobiliśmy, stawając przy najlżejszym, podejrzanym szeleście, uważnie śledząc, czy nie po-

każe się gdzieś tak lekkomyślnie zgubiony aparat. Z pod ziemi dobywały się dźwięki i szумы, jakieś tajemnicze pobijania metalem o metal, uderzenia młotów... Raz do nas doleciał jakby gwar oddalonego tłumy; jednak nie mogliśmy się odważyć aby wejść gdzieś wyżej i zbadać przyczyny. Wogóle, gdyby nie te wszystkie dźwięki, gdyby nie głód i ogarniające nas zmęczenie, pełzanie to wydawałoby się nam fantastycznym majaczeniem o cudownych barwach.

Wyobraźcie sobie tylko: nad głową — splecione i nieruchome sklepienie kolezastych gałęzi; pod nami — gruby i miękki kobierzec jaskrawo czerwonych mechów, usłiany blaskami słonecznych promieni, falujący szybkością ciągłego wzrostu; co raz napotykalismy się na korzenie olbrzymich grzybów, najdziwniejszych kształtów, często pękających i osypujących nas pyłem; gdzie niegdzie pojawiają się nowe, cudownie barwne rośliny, których same kielichy wielkości palca — istne cacka ze szkła kolorowego. A wszystkie te cuda zalane jaskrawem światłem słońca, nad nimi zaś miejscami widnieje ciemno siny przestwór nieba, na którym mimo dnia lśnią rozślane gwiazdy! Zdziwiająca! Nawet kształty i rodzaj gładów inny niż na ziemi. Nawet wrażenia fizyczne nowe i niezwykłe!

A szum jakichś maszyn, huk uderzeń młotów — objawy rozumnej pracy — bezustannie się rozlegają. W chwilę potem dołączył się do nich ryk jakichś olbrzymich zwierząt!

XI.

Pastwisko krów księżycowych.

A my, dwaj nieszczęśni zbiegowie z ziemi, zbląkani w zaroślach księżycowej przyrody czołgamy się, drżąc przed najłżejszym szelestem. Pelzaliśmy dość długo, zanim ujrzelśmy selenitów i księżycowe krowy, choć ryk ich ustawicznie się ku nam zbliżał. Pelzaliśmy po kamieniach, po mechowym kobiercu, po śniegu i łąkach jakichś miękkich, kulistych roślin, w rodzaju deszczowych grzybów, a aparatu naszego ani śladu. Poryk krów księżycowych to stawał się podobnym do ryku ziemskich, to znów zmieniał się w jakieś wycie gniewne, zupełnie jak gdyby te niewidoczne dla nas stworzenia raz znajdowały paszę, innym razem gniewały się, że jej niema.

Po raz pierwszy ujrzelśmy je tylko pobieżnie i mimo to przestraszyliśmy się ogromnie. Cavor dostrzegł je pierwszy, stanął jak w ziemię wrosły, przyzwajając innie znakiem.

Trzask łamanych gałęzi szybko zbliżał się ku nam i kiedyśmy starali się wymiarkować, z której strony go słyszeć, poza nami i to tak blisko, że aż rośliny najbliższe zakolysały się, rozległ się ryk straszliwy, jakiego w życiu nie słyszałem. Szybko obróciwszy się, niecałkiem jasno, przez zarośla ujrzelśmy błysz-

czące boki i strasznie długie cielska olbrzymich jaszczurowatych potworów.

Przez tę pierwszą chwilę znajomości z nimi, bardzo niewiele szczegółów zauważyłem, opiszę je według późniejszego wrażenia. Olbrzymie rozmiary krów księżycowych przerażały poprostu od pierwszego wejrzenia. Obwód ich cielska wynosił jakich ośmdziesiąt stóp, długość — dwieście mniej więcej. Podczas oddechu boki ciężko się podnosiły i opuszczały. Miękkie, jakby bezkostne ciało, pokryte brudno białą skórą z czarną pręgą na grzbiecie, wlekło się po ziemi. Nóg nie było widać. Zupełnie płaska, jakby pozbawiona mózgu głowa, osadzona na grubej i tłustej szyi prawie cała składała się z olbrzymiej gardzieli, uzbrojonej nierównymi rzędami wielkich, płaskich zębów, opatrzona też była maleńkimi nozdrzami i oczami, które szczelnie zamykały powieki (w słońcu księżycowe krowy stale oczy zamykają). Kiedy taki potwór otworzył paszczę, by zaryczeć, gardziel jego wydała się nam jakąś czerwoną przepaścią. Mimo pozornego braku nóg niezdarne zwierzę całkiem szybko przesunęło obok nas swe cielsko, żłobiąc szeroką brudę między krzewami. Wśląd za nim zjawilo się drugie, potem trzecie, a równocześnie jakby w roli pastucha, pędzącego stado na pastwisko, ukazał się wreszcie i selenit. Na jego widok konwulsyjnie uchwyciłem nogę Cavora i długo jeszcze nie śmieliśmy się ruszyć.

Wobec krów księżycowych selenit wydał się nam pigmejem, jakąś mrówką pięciostopowej wysokości, stojącą na tylnych nóżkach. Cały był pokryty jakimś skórzaniem płachtami, tak, że o prawdziwym wyglądzie jego ciała nie można było zyskać żadnego pojęcia. Rzeczywiście podobny był do mrówki, nawet

głowa jego, pokryta hełmem, była biczowatemi szczypcami uzbrojona, a z pod błyszczących płacht wystawały cieniuchne, suche rączki, dzierzące coś w rodzaju dzidy. Hełm zasłaniający głowę selenita był pokryty długimi cierniami (jak potem stwierdziliśmy, służącemi do karania krów nieposłusznych), a po jego bokach umieszczone były dwa wielkie, okrągłe, ciemne szkła w rodzaju tych, jakich się używa do rowerowych latarek. Snał się przy pomocy dwóch cieniutkich nóżek, o krótkich biodrach i bardzo długich gołeniach. Nóżki te, również owinięte w jakieś ciepłe, grube onucze, wydawały się nam niestychanie cienkie i słabe.

Mimo ciężaru skórzanego pancerza, selenit posuwał się bardzo szybko. Z chodu i ruchów jego wogóle można było wnosić, że spieszy się i jest czemś rozdrażniony. Straciwszy go z oczu, wkrótce usłyszeliśmy, że przeciągły ryk jednej z krów nagle zastąpił krótki, ostry świst, po którym całe stado zaczęło pędzić szybciej. Wkrótce wszystkie krowy przeszły i całkiem przestały ryczeć, być może, dosięgły pastwiska i zajęły się paszą.

Choć wszystko ucichło, długo jeszcze nadśluchiwaliśmy, zanim podjęliśmy na nowo poszukiwania kuli.

Gdy wkrótce potem znów ujrzeliśmy księżycowe krowy, znajdowały się one w niejakiem oddaleniu od poprzedniego miejsca, pośród kotlinki usianej rozrzuconemi kamieniami, których powierzchnia, podobnie jak cała kotlina, gęsto była porośła grubym kościercem jakiejś zielonej trawki, chciwie przez potwory pożeranej. Staliśmy w zaroślach na brzegu pastwiska, śledząc powyższą scenę i szukając wzrokiem selenitów. Krowy leżały naksztalt kłód ol-

brzymich, całych gór tłuszczu, i żarły trawę, sapiąc i głośno siorbając. Wydawały się tak nieruchome i obżarte, że dobrze utuczona świnia byłaby między nimi obrazem zęczności i gracji. Ich ohydne żarcie, jeśli tak można się wyrazić, z zakrytymi oczynna, z zapomnieniem całego otoczenia, ze sapieniem i ciamkaniem, odrażające dla każdej sytej, rozumnej istoty, na nas, silnie zgłodniałych, oddziaływało wprost przeciwnie, pobudzało apetyt i nawet zawiść.

— Tfe, pogańskie bydła! — z dziwną złością syknął Cavor, czołgając się wśród krzaków na prawo. Pośpieszyłem za nim, ale dopiero przekonawszy się, że trawa, którą żarły krowy, nie mogła być pożywieniem człowieka. Mimo to pełzałem z kępką trawy w zębach.

Bliskość selenita znowu zmusiła nas stanąć. Tym razem mogliśmy dokładniej mu się przyjrzeć, i upewniliśmy się, że pancierz jego był rzeczywiście tylko odzieżą, nie zaś chitonową skorupą jak u chrabąszczy lub raków. Na pierwszy rzut oka zupełnie był podobny do tego, któregośmy przedtem widzieli, z tą tylko różnicą, że szyję miał opatrzoną łuskowatemi cierniami. Stał na wzniesieniu i kręcił głową na wszystkie strony, jakby oglądając krater. Bojąc się zwrócić na siebie jego uwagę, leżeliśmy zupełnie cicho, dopóki nie odwrócił się i nie poszedł.

Pełznąc dalej, natknęliśmy się na nowe stado krów, pasących się na zboczu wzgórza i przytem stanęliśmy w miejscu, z pod którego dochodziła usilna praca maszyn, jakby gdzieś, bardzo płytko pod ziemią, znajdowała się wielka fabryka. Niedaleko od tego miejsca podpełzliśmy nad brzeg obszernej,

pustej, nagiej i zupełnie równej przestrzeni, mającej ze dwieście jardów przekroju. Prócz małej ilości mechów, rosnących po krajacli, pokrywał ją jakiś pył brudnożółtawy. Baliśmy się naprzód puścić, a ponieważ brzegiem zarośli lżej było posuwać się, zaczęliśmy okrążyć pustą przestrzeń, pełznąć krajem.

Odgłosy podziemne nagle ustały, zapanowała głucha cisza. I znowu zaczął się tak straszny i bliiski nas grzechot, że instynktownie przylegliśmy ku ziemi, gotowi skoczyć w krzaki przy pierwszej sposobności. Grzechot szedł z pod ziemi i silnie nią wstrząsał, z każdą chwilą potężniejąc. Wydawało się, że cały księżyc drży i pulsuje.

— Skacz! — szepnął Cavor, i obaj skierowaliśmy się ku zaroślom.

W teje chwili usłyszałem jakby armatni wystrzał a potem stało się coś, co jeszcze dziś straszy mnie po nocach. Obejrawszy się, by spojrzeć na Cavora, leżącego za mną, wyciągnąłem przed siebie rękę, chcąc oprzeć się na niej i zacząłgać dalej, ręka moja jednak nie znalazła gruntu.

Tylko piersią opierałem się na czemś twardem, głowa już wisiała nad niezmiernie głęboką i ciemną przepaścią! Okazało się, że cała ta równa płaszczyna, po której brzegu czołgaliśmy się, była tylko platformą wielkiego, okrągłego szybu a teraz powoli zsunęła się z niej na bok.

Gdyby nie Cavor na pewno runąłbym w przepaść lub też straciłaby mnie w nią platforma, nad której brzeg nieogłędnie przypelzłem. Cavor jednak nie będąc tak rozstrojonym jak ja, zachował przytomność umysłu i schwyciwszy mnie za nogi, odciągnął wtył. Przyszedszy trochę do siebie, wstałem i razem z Cavorem, ile sił starczyło, zaczęliśmy

biec, po chwiejącej się pod stopami i metalicznie grzmiącej płaszczyźnie, która coraz szybciej i szybciej chowała się w jamę.

Ledwie zdążyliśmy zeskoczyć z niej i schronić się między krzaki, skryła się cała pod ziemią w otworze widocznie na to przeznaczonym. Stanąwszy na twardej ziemi runęliśmy zmęczeni, długo nie mogąc ruszyć się z miejsca, a powstawszy nie śmieliśmy zbliżyć się do brzegu przepaści.

Nareszcie odważnie i ostrożnie zajrzeliśmy w głąb. Dał stamtąd tak silny wiatr, że krzewy kołysały się koło nas. Zrazu nie rozróżnialiśmy nic prócz gładkich, równych ścian, biegnących kędyś w otchłań, gdzie panował zmrok głęboki. Zwołną atoli zaczęliśmy rozpoznawać w tym mroku, w głębinie mnóstwo maleńkich, poruszających się w różne strony świetlnych punkcików. To dziwne zjawisko tak nas zajęło, żeśmy nawet zapomnieli o naszej kuli. Oczy, nawykając do ciemności, nauczyły się prócz punktów światła rozróżniać jakieś nieokreślone, drobniutkie i ruchliwe cienie. Nie mogliśmy tego wszystkiego zrozumieć i tylkośmy usilnie wlepiali oczy, szukając objaśnienia cudów, jakich staliśmy się świadkami.

— Coby to mogło być — spytałem pocichu.

— Roboty inżynierskie — odpowiedział Cavor.

— Nocą widocznie żyją pod ziemią, w dzień wychodzą na świat boży.

— Czy to możliwe, żeby to byli ludzie?

— Nie wydaje mi się.

— Nie powinniśmy się narażać na spotkanie z nimi.

— Myśmy nic nie powinni robić, dopóki nie znajdziemy kuli.

— Nic nawet nie możemy zrobić do tego czasu. Cavor znakiem wyraził swoją zgodę, westchnął, obejrzał się i wskazał kierunek, w jakim iść mamy.

Zrazu pełzaliśmy prędko i stanowczo, lecz zaczęliśmy się szybko męczyć, zwłaszcza, że niepodobna było się narażać, gdyż gdzieś nieopodal usłyszeliśmy odgłos kroków i hałas jakiś. Nie widząc nic, przypadliśmy do ziemi w milczeniu. Głód i pragnienie z każdą chwilą nękały nas coraz bardziej.

— Cavorze, — szepnąłem spiekłemi wargami, — umieram z głodu.

— Skądże wezmę pokarmu? — wyrzekł niechętnie.

— Ależ trzeba cokolwiek spożyć, spójrz na moje wargi.

— Moje nie lepsze od twoich.

— Żeby przynajmniej śnieg gdzieś znaleźć.

— Wszystek znikł! Tak jakbyśmy pędzili od bieguna do równika z szybkością jednego stopnia na minutę.

— Kula! Jedyna nadzieja w kuli! — zawołałem w rozpacz.

Znowu zaczęliśmy pełzać. Myśl moja uparcie krążyła około rzeczy jadalnych i napojów, osobliwie około piwa, tej beczulki, która naprózno teraz leży w mej piwnicy w Lympe, obok zapasu pasztetu z wątróbek, sera i innych smacznych rzeczy.

Aż mnie porwały mdłości z głodu.

W tej chwili podpełzaliśmy do polanki, pokrytej jakimiś potwornie wielkimi, mięsistymi i soczystymi roślinami w rodzaju grzybów. Rośliny te łatwo łamały się, opływając różowym sokiem, z pozoru bardzo smacznym. Ułamałem kawałek jednego grzyba i zacząłem ssać.

— Bzik — rzekł Cavor, widząc co robię.

— Dlaczego?

— Otrujesz się.

Przez chwilę pełzliśmy milcząc.

— A jednak spróbuję — rzekłem, napychając usta grzybami.

Cavor chciał mi przeszkodzić, ale nie tylko nie zdążył, lecz z wyrazu jego twarzy widać było, że mi zazdrości, i sam gotów mnie naśladować.

— Bardzo smaczne — rzekłem.

Zrazu Cavor wahał się, lecz nagle stanowczo poszedł za moim przykładem. Kilka chwil jedliśmy łakomie. Smak grzybów podobny był do smaku naszych muchomorów, lecz o wiele delikatniejszy i słodszy.

Z początku doznawaliśmy tylko fizycznego nasyceńca, lecz wnet krew nasza zaczęła krążyć szybciej, po całym ciele rozeszło się przyjemne ciepło, ręce i nogi odmówiły posłuszeństwa a w głowie zaczęły krążyć chaotyczne myśli.

— Djabelnie smaczne! — rzekłem. — Jak pięknym schronieniem jest księżyc dla nadmiaru naszej ludności, dla naszych nieszczęsnych proletarijuszów. — Dusza mi się roztkliwiła na widok obfitego i doskonałego pokarmu na księżycu. Od stanu duchowego, ucisku wywołanego głodem, wprost przeszedłem do bujnej radości. Zapomniałem o lęku i brakach przecierpianych przed chwilą, a Księżyc wydał mi się nie samoistną planetą, z której najszczerzej pragnęliśmy umknąć, lecz zapasową częścią Ziemi, przygotowaną na przyjęcie nadmiaru jej ludności. O selenitach, krowach księżycowych, szybie i zagadkowych dźwiękach, zupełnie zapomniałem. To samo zapewne stało się z Cavorem, gdyż zaczął dobrotli-

wie potakiwać moim marzeniom o przyszłym nadmiarze zaludnienia. Zwolna w głowie poczęło mi się macić, a język zaczął kolowacieć.

— Śśliczny wynallazek! Cześć i sława ci, Cavorze! Zuppelnie podobny do karr-rr-toffli!

— Co mów-wisz? Od-krzy-cie Kssiężzyca można porr-równać z karr-toflem?

Spojrzałem na niego przerażony nagłą zmianą jego głosu i niepewnością wymowy. Przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie otrul się grzybami. Jednak natychmiast zastąpiła ją inna. Wydało mi się, że Cavor ludzi się, sądząc, że odkrył księżyc. On go tylko pierwszy posiadał i to z wydatną moją pomocą. Staralem się, przyjaźnie rękę położywszy mu na ramieniu objaśnić to, jednak myśl moja widocznie była dlań niezrozumiała. Dziwnie trudno było mi ją wyrazić. Po krótkich wysiłkach, by mię zrozumieć, przyczem oczy jego przybrały błędny, rybi wyraz, zaczął na własną rękę czynić rozmaite spostrzeżenia.

— Zup-pelnie zależy-my... całkiem zależy-my od naszego poży-wienia! Tak..., od nąszszego po...poży-wienia! Człow-wiek ty-tyle wart, ile zje! — przekonywał uroczystym głosem, przerywanym czkawką.

Powtórzył to raz jeszcze, a ponieważ trafił właśnie u mnie na wojownicze usposobienie, postanowiłem, chociaż nie widząc słusznej przyczyny, zaprzeczyć jego twierdzeniom. Cavor nie pojmował z tego, co mówiłem, ani słowa; słuchał jednak uważnie. Potem z wysiłkiem wstał, oparłszy się bezceremonjalnie ręką na mej głowie i zaczął oglądać się bezmyślnie na wszystkie strony. Strachu przed selenitami widocznie nie odczuwał.

Nie odczuwałem i ja obawy, opanowany duchem przekory. Obszernie zacząłem udowadniać bezmyślność słów mego towarzysza i byłbym może udowodnił, gdyby nie to, że w żaden sposób nie udało mi się wymówić słowa „bezmyślność“. Przekonawszy się o bezskuteczności usiłowań w tym kierunku, poczułem potrzebę natychmiastowego wyjaśnienia różnicy między Księżycem a kartoflem, wbrnąłem jednak w długą rozprawę o znaczeniu ścisłej definicji w debacie. Potem zaś, sam już nie wiem w jaki sposób wróciłem do projektu kolonizacji księżycyca.

— Musimy za wszelką cenę go anektować! — upierałem się. — To stanowi obecnie zadanie bardzo doniosłej wagi dla cyliwizo... cywizilo... cywili-zowanego świa... Cavor — staniemy się — hik — satap — nie, satrapami! O takim państwie i Cezar nie marzył. We wszystkich gazetach! Cavorezia. Bedfordizia — hik!

Niewątpliwie — upiłem się.

Wobec takich rozmyślań wyłoniła się konieczność zatknięcia na księżycu flagi angielskiej, zacząłem tedy rozvodzić się nad nieoględnością, wskutek której nie zabraliśmy flagi ze sobą, potem zaś przeszedłem na temat nieprawidłowego rozłożenia pasów na fladze, twierdząc, że właściwie nie jest angielską, ale królewską. W krótkich, lecz dosadnych słowach starałem się wyjaśnić Cavorowi tę różnicę.

— Już to prawda! — mówiłem; — angielska, czysto angielska nosi czerwony krzyż na białym polu. A Union-Shack... Union-Chack... Union-Jack¹⁾ zawiera w sobie idee... znacznie szerszą... To już

1) Union Jack — flaga W. Brytanji.

nie angielska, nie szkocka, nie irlandzka flaga, ale ogólna! Pojmujesz! Ogólna! — Potem zamilkłem, prawdopodobnie zagubiwszy wątek myśli.

Ściśle mówiąc mało pamiętam, co zaszło od tej chwili, gdym spożył przeklętego grzyba. Byliśmy obaj pijani i rozmawialiśmy, nie rozumiejąc się nawzajem. Zgodziliśmy się, pamiętam, tylko na to, że Ziemia mimo wszystko potężniejsza niż jakiś tam księżyc, który może być tylko jej towarzyszem i sługą, nie zniesiemy więc nieprzyzwoitego postępowania z nami ze strony selenitów. Zaczęliśmy się tedy objadać kęsami grzyba, nie wiem już w jakim celu, i śmiało wyszliśmy na odsłoniętą, jaskrawo oświetloną słońcem przestrzeń.

Odrazu natknęliśmy się na selenitów. Sześciu tych panów szło w jednej linii, wydając jakieś płaczliwe wycie. Dostrzegłszy nas stanęli i umilkli natychmiast.

Wytrzeźwiałem na chwilkę; Cavora zaś chmiel widocznie silniej jeszcze rozebrał.

— Robaki! — krzyczał — nędzne robaki, wyobrażają sobie, że będą przed nimi pełzał na brzuchu! Na moim... własnym, jedynym brzuchu!

Rozwścieczony skoczył ku nim, jednak tak niezgrabnie, że wyróciwszy kilka kozłów w powietrzu przeleciał przez selenitów i wpadł gdzieś w krzaki. Za kogo oni nas wzięli — nie wiem; tyle tylko pamiętam, że rozbiegli się. Co potem zaszło — nie pomnę. Wydaje mi się, że próbowałem naśladować Cavora, potem biłem się z kimś, uczułem ból... i to wszystko. •

Ocknąłem się gdzieś pod ziemią, w ciemności — zbity i podrapany; głowa ciążyła mi dotkliwie a z oddali dochodziły jakieś niezwykle odgłosy.

XII.

Oblicze selenitów.

Ocknąłem się w siedzącej pozycji, długo nie mogąc pojąć, gdzie się znajduję i co się ze mną dzieje. Przyszła mi na myśl szafa, w której zamykali mnie, gdym był dzieckiem za karę, potem zupełnie ciemny pokój, w którym leżałem podczas tyfusu. Tylko odgłosy, dochodzące z zewnątrz nie przypominały tamtych miejsc, a prócz tego nie było w nich zapachu stajni czy chlewu, jaki panował tutaj. Potem przyszedłem do przekonania, że nie skończyliśmy jeszcze kuli i zapewne przypadkiem zasnąłem w piwnicy domu Cavora. Lecz nie! Kulę skończyliśmy, przecież wyjechaliśmy w niej na Księżyc... A! już wiem... widocznie jeszcze lecimy...

— Cavor — rzekłem — nie możnaby zapalić lampy?

Odpowiedzi nie było.

— Cavor! — powtórzyłem głośniejszym głosem.

Tym razem usłyszałem jęk i słaby głos Cavora, skarżącego się na ból głowy.

Mnie również głowa bolała. Chcąc dotknąć jej ręką, zauważyłem, że ręce mam związane. Zdziwiło mnie to bardzo, tem więcej, że związane były nie sznurem, lecz kajdanami metalowymi, co stwier-

dziłem podniósłszy je ku twarzy. Przy bliższem badaniu okazało się, że nogi również były zakute, a ciało przymocowane grubym łańcuchem do ziemi.

Przeraziłem się, jak nigdy w życiu i zrazu, całkiem bezmyślnie, począłem ciągnąć kajdany, usiłując je rozerwać.

— Cavor! — ryknąłem wściekle — cóż to ma znaczyć? Czemu mi zakuleś ręce i nogi?

— Nie zakuwałem cię wcale — brzmiała cicha odpowiedź — to selenici.

— Selenici! Co za selenici! — Z minutę nie mogłem pojąć znaczenia tych słów. Potem pamięć zaczęła pracować. Przypominałem sobie śnieżną pustynię, tajanie powietrza, księżycowe pejzaże, nasze pełzanie wśród kolczastych krzaków, zaginięcie kuli, szyb, słowem wszystko, cośmy przeszli od czasu wylądowania na Księżycu, prócz ostatnich przygód po zatruciu grzybami. Tego prognozę pamięć moja w żaden sposób zwyciężyć nie mogła, być może dlatego, że głowa z każdą chwilą bolała mnie coraz silniej.

— Cavor!

— No?

— Gdzież teraz jesteśmy?

— Skądże mogę wiedzieć?

— Możemy pomarli?

— Także głupstwo!

— To widocznie ujęli nas!

Zamiast odpowiedzi Cavor zgrzytnął. Działanie chmielu rozdrażniło nas obu.

— Cóż teraz myślisz robić?

— A cóż u diabła tu można zrobić!

— Ładna historia! — syknąłem, coraz bardziej wściekły. — Przestańże, na rany Chrystusa, sapać!

Nastąpiło milczenie. Siedzieliśmy, uważnie wsłuchani w dochodzący z zewnątrz hałas, niby szum ulicznego zgielku, niby łoskot wielkiej fabryki.

Bezmyślnie wyszukiwałem rytmu w tym szumie, przyczem szybko wydzieliłem zeń jakiś nowy dźwięk, odrębny, bardzo słaby, jakby tarcie gałązki o ramę okna, albo skakanie ptaszka w klatce. Mimo usiłowań nie mogliśmy dojść, co to za dźwięk i skąd się bierze. Otaczała nas nieprzejrzana ciemność.

Po chwili rozległ się niby szcęk otwieranego zamka i na tle zupełnej ciemności ukazała się jakby wisząca w powietrzu, wąska linja światła.

— Patrz, patrz! — szepnął Cavor.

— Co to jest?

— Nie wiem.

Czekaliśmy w milczeniu.

Biała linja stawała się coraz szerszą i bledszą. Wyglądała jak błękitne światełko, padające na białą ścianę. Po jednej stronie widniały głębokie wręby. Odwróciwszy się, by zakomunikować to Cavorowi, ze zdumieniem ujrzałem, że jedno jego ucho jaskrawo było oświetlone, kiedy całe ciało tonęło w ciemności. Wykręciłem głowę jeszcze bardziej, o ile pozwoliły na to więzy.

Nagle szpara, wpuszczająca światło, rozszerzyła się, ukazując ramy otwieranych drzwi, z poza których bił blask jasnobłękitny. Na progu stała jakaś małańka, śmieszna figurka.

Konwulsyjnie staraliśmy się odwrócić — na próżno. Siedzieliśmy więc, odwróciwszy głowy ku drzwiom.

Figurka, stojąca na progu, wydała mi się zrazu jakimś krępym czworonogiem ze spuszczoną wdół głową. Przyjrzawszy się uważniej, dostrzegłem cie-

niutkie nóżki, cylindrowaty korpus i wrośniętą między ramiona głowę selenita. Był bez hełmu i pancerza, które widocznie wkładał przed wyjściem z pod ziemi.

Na jasnym tle zarysowywał się ciemną sylwetą, instynktownie jednak w wyobraźni dopełniliśmy ludzkich kształtów jego figury. Wydał mi się trochę garbatym o wysokim czole i nieproporcjonalnie długich rysach.

Milcząc, bez najmniejszego szelestu posunął się trzy kroki naprzód, potem stanął i znów zbliżył się nieco. Szedł jak ptak, stawiając nogi jedną przed drugą naprzemian. Postawszy chwilę zwrócony tyłem ku drzwom, widocznie zamierzając nas obejść, znikł całkiem w cieniu. Długo, napróżno szukałem go oczyma, nagle zjawił się przede mną w pełnym świetle.

Teraz dopiero przekonałem się, czego zresztą należało się spodziewać, że całkiem do człowieka był niepodobny. Przeraziłem się, ujrawszy twarz jego zbliżoną. Nie była to twarz, ale jakaś maska, straszdyło, mające pokrywać ludzkie rysy.

Nie potrafię dokładnie go opisać! Widzieliście kiedy silnie powiększoną głowę żuka lub mrówki? Nie można na niej rozpoznać nosa, ust ani uszu — widać tylko wjelkie, wypukłe oczy; twarda, sucha, niezmienna, błyszcząca. Najstraszniejsze zaś, że nie ma żadnego, a raczej nigdy nie zmienia stale, raz na zawsze danego jej wyrazu! Wyobraźcie sobie choćby ludzkie oblicze za życia skamieniałe na wieki, niezmiennie! Taka to postać stała przed nami i patrzyła na nas.

Mówiąc, że twarz jego nie miała żadnego wyrazu, porównywałem ją z twarzą ludzką; właściwie

miała wyraz rzeczy bezdusznych — parowozu, wentylatora, kamienia... Była straszną dzięki niezmiernie wypukłym oczom i ustom o zagiętych wdół kątach warg.

Szyja jego opatrzona była trzema stawami, w tym rodzaju jak stawy na nodze raka. Nie mogłem ich dokładnie obejrzeć, gdyż były owinięte jakimiś zawojami, widocznie jedyną odzieżą, jaką selenici noszą w domu.

W dziwnem na pewno znajdował się położeniu! W każdym razie, my wiedzieliśmy, cośmy za jedni. Skąd i dokąd przyszliśmy. Wyobraźcie sobie mieszkańca Londynu, któryby nagle spotkał w Hyde-Parku dwa wielkie, nigdzie na ziemi niewidziane stworzenia, mało niewidziane, niepomyślane nawet! Pierwsze pytanie nasuwałoby się, co za jedni? Skąd się tu wzięli?

To samo musiał odczuwać selenit.

Wyobraźcie sobie teraz nasz wygląd! Byliśmy związani na rękach i nogach, zmęczeni i brudni; niegolone brody dwucalowej długości, twarze podrapane i okrwawione. Cavor w spodniach porozrywanych kolcami krzaków, w koszuli myśliwskiej i starej kriketowej czapeczce; poplątane włosy wicherzyły się w różnych kierunkach. W bładoniebieskim świetle twarz jego wydawała się nie czerwona, lecz czarna, jak również wargi i zaschnięta krew na rękach. Bardzo możliwe, że wygląd mój był jeszcze straszniejszy, bo powalany byłem żółtą miazgą grzyba. Odzież nasza rozpięta, ściągnięte buty wały się po ziemi. Siedzieliśmy plecami zwróceni ku dziwnym, niebieskim blaskom, oczekując czegoś strasznego, czegoś co mogło zrodzić się tylko w fantazji Albrechta Dürera.

Cavor pierwszy usiłował przerwać ciszę, jednak zachrypiał tylko, odcharknął i splunął. W tej chwili z zewnątrz rozległ się straszliwy ryk krów, przerywany gwałtownym świstem. Nastąpiła znów głucha cisza.

Postawszy jeszcze chwilę, selenit odwrócił się, znikł w cieniu, pojawił się jeszcze raz na progu drzwi i wyszedł, zamknawszy je za sobą. Znowu opanowała nas tajemnicza ciemność, w której obudziliśmy się.

XIII.

Przypuszczenia Mr. Cavora.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Mimo usiłowań nie mogłem w żaden sposób zastanowić się nad naszym położeniem.

— Najwidoczniej nas uwięzili — rzekłem wreszcie.

— A wszystko przez te przekłete grzyby.

— Tak, naturalnie, lecz gdyby nie było tych grzybów, pomarlibyśmy chyba z głodu.

— Trzeba było znaleźć aparat.

Widząc u Cavora chęć przypisania mi całej winy, zacząłem się bronić. Była chwila milczenia, w której na pewno nienawidziliśmy się nawzajem. Bębniłem palcami po podłodze i podzwaniałem kajdanami, wreszcie znów zdecydowałem się przemówić.

— Co właściwie teraz poczniemy? — spytałem niecierpliwym tonem.

— A no, zobaczymy... Oni, inteligentne stworzenia, mogą maszyny budować, światło sobie wynaleźli...

Przerwał, widocznie nie zdając sobie sprawy, co z tego wszystkiego wynika.

— Prawdopodobnie znajdujemy się pod ziemią — ciągnął — jakich tysiąc, dwa tysiące stóp w głąb.

— Skąd wnosisz?

— Po pierwsze tu chłodniej; potem głos rozlega się głośniejsze, w uszach nie dzwoni i w gardle nie zasycha.

Nie zauważyłem tego dotychczas, teraz jednak odrazu uznałem słusność słów Cavora.

— Powietrze gęstsze — mówił — być może, że znajdujemy się w głębokości mili od powierzchni.

— A nawet nie przypuszczaliśmy istnienia życia w głębi księżyca.

— Przyznaję, nie myślałem o tem... A powinienem był wpaść na to... No cóż, myśl niezwykła... do głowy nie przyszła...

Chwilę zastanawiał się.

— Teraz wydaje mi się to tak naturalnem...! Oczywiście! Księżyc na pewno poorany olbrzymimi pieczarami wypełnionymi atmosferą, a centrum ich stanowi morze... Dawno już wiedzieliśmy, że księżyc posiada znacznie mniejszy ciężar gatunkowy aniżeli ziemia; wiedzieliśmy, że na powierzchni jego mało jest wody i powietrza; wiedzieliśmy również, że skład jego podobny do składu ziemi, że nie może się bardzo różnić. Wniosek, że księżyc jest wewnątrz pustym, jasny jak słońce. A przecież nie wpadliśmy na to. Naturalnie, Keppler...

W głosie Cavora brzmiała pewność człowieka, który znalazł wreszcie odpowiedni kierunek dla swych myśli.

— Miał słusność, dowodząc istnienia podziemnego życia na księżycu.

— Szkoda, żeś o tem przed podróżą nie pomyślał — wtrąciłem.

Nie odpowiedział, lecz zaczął cicho pomrukiwać, jakby idąc wślad za swemi myślami.

Straciłem cierpliwość.

— Jak myślisz, co stało się z naszym aparatem?
— pytałem, hamując wściekłość.

— Przepadł — odrzekł tonem człowieka, który musi odpowiedzieć na całkiem nie interesujące go pytanie.

— Leży między grzybami?

— Tak, jeśli go nie znaleźli.

— A wówczas co?

— Skądże mogę wiedzieć.

— Słuchaj, Cavor — rzekłem z histeryczną goryczą w głosie — przed wyjazdem o tem mi nie mówiłeś. Wtedy przedstawiałeś wszystko w różowym świetle. Mój Boże! Pomyśleć tylko o trudach i kłopotach, jakieśmy przebyli, by dostać się w tę przekłętą dziurę! Poco nam było tu wędrować? Co nas obchodził księżyc, a my jego? Za wiele chcieliśmy, za wiele też ryzykowaliśmy! Trzeba było od małych rzeczy zacząć. Księżyc podbijać! Ach! te żaluzje keworytowe! Jestem pewny, że mogliśmy je zastosować do ziemskich celów. Na pewno! Czyś zrozumiał mój projekt wtedy? Stalowy cylinder...

— Głupstwo!

Rozmowa przerwała się, gdyż mógłbym ją prowadzić tylko z pomocą więcej lub mniej energicznych gestów, a ręce miałem związane.

Po chwili Cavor z własnej woli podjął przerwany przeze mnie monolog.

— Jeśli go znajdą — mówił — co mogą z nim zrobić? To pytanie, jeśli wogóle można o to pytać. Z pewnością nie zrozumieją jego zadania. Bo gdyby mogli zrozumieć, dawnoby go wynaleźli i przylecieli ku nam na ziemię. Oczywiście nie zrozumieją! Ale zaczną go badać. Bo przecież widać, że inteligentni

sa i ciekawi. Zaczna ogladać aparat, wejdą do wnętrza, popróbuja zasunąć żaluzje i... jazda! To znaczy dla nas tyle, co: pozostać do końca życia na księżycu! Dziwny los, ciekawa przyszłość...

— Djabliby wzięli twoją ciekawą przyszłość! — zawołałem; zabrakło mi słów.

— Słuchaj, Bedford — mówił. — Zgodziłeś się dobrowolnie wziąć udział w wyprawie.

— Aleś mi przedstawiał różne widoki.

— Przy takich widokach ryzykuje się zawsze.

— Zwłaszcza, jeśli się je podejmuje bezbronnym i nie obliczywszy wszelkich ewentualności.

— Trudno. Tak byłem zajęty pracą nad aparatem. Wszystko tak przyszło niespodziewanie.

— Zwłaszcza dla mnie, myślisz.

— Nie, głównie dla mnie. Skądże mogłem przypuszczać, zajmując się molekularną fizyką, że znajdzie się tutaj ni stąd ni zowąd.

— Ach, ta przekłeta przyroda — krzyczałem. — To prawdziwy szatan. Mieli słusność średniowieczni kapłani i prześladowcy. Głupie są wszystkie badania dzisiejsze. Ludzie zagłębiają się w nie po uszy, szukając zdobyczy. A ona obdarzonych niemi w miarę druzgocze. Stare rany i nowa broń — to rzuca ludziom nową religię, to nowe socjalne idee nato, by wnet puścić wszystko z dymem i wzamian dać im nędzę!...

— W każdym razie kłótnia ze mną nic ci nie pomoże. Te stworzenia, ci selenici albo jak ich tam nazwać można — powiazali nam ręce i nogi. Gniewaj się, nie gniewaj, ale z tem musisz się liczyć... Mamy przed sobą wypadki, wymagające całego spokoju i krwi zimnej.

Zamilkł, jak gdyby oczekując potwierdzenia z mojej strony, ale ja siedziałem, wrząc gniewem:

— Na hak z całą twoją wiedzą! — mruczałem.

— Cała kwestja teraz w tem, aby nawiązać z nimi rozmowę — rzekł Cavor. Obawiam się, że gestów naszych nie rozumieją. Naprzykład wskazywanie. Prócz ludzi i małp nie wskazują żadne stworzenia.

Mojem zdaniem uwaga ta była niesłuszną, rzuciłem tedy gniewnie:

— Prawie wszystkie zwierzęta wskazują nosem lub oczami.

— Tak, — rzekł Cavor po chwili namysłu — tylko, że my wskazujemy palcem. Wielka to, ogromna różnica.

— Dajmy na to — ciągnął dalej — oni wydają jakieś dźwięki, piszczą czy gwizdzą. Być może, że to ich rozmowa, ale jakże ja się będę z nimi porozumiewał? Mogą mieć całkiem inne myśli, inne sposoby ich wypowiedania. Oczywiście mają dusze, my również; musimy mieć więc coś wspólnego. Kto wie, jak daleko moglibyśmy porozumienie z nimi doprowadzić?

— Te stworzenia całkiem są od nas odrębne — wtrąciłem — bardziej niż najdziwniejsze zwierzęta ziemskie. Z zupełnie innej gliny stworzone. Co nam pomoże taka rozmowa?

Cavor zaprzeczył: — W tem racji nie widzę — mówił. Gdzie duch jest, muszą być jakieś wspólne cechy — nawet jeśli te duchy wychowane są na innych planetach, w innem środowisku. Naturalnie może być mowa o instynkcie, jeśli jedni z nas nie są zwierzętami...?

— Czyż oni mogą być czem innym? Wyglądają raczej na mrówki, chodzące na tylnych nogach, niż na ludzi, a któż zdoła porozumieć się z mrówkami?

— Ale te maszyny i odzienie. Nie, nie zgadzam się z tobą, Bedford. Różnica za wielka...

— Tak, nie do przebycia.

Znów zamilkł. Po chwili odezwał się:

— Przecież mimo wszystko to są rozumne stworzenia. Niemożliwe, by nie mieli nic wspólnego z nami. Porozumiemy się jakoś. Pamiętam, czytałem rozprawę zmarłego profesora Galtona o możliwości międzyplanetarnego porozumienia. Niestety wydawało mi się to wtedy tak nieprawdopodobnym, że kiedyś przynieść może mi korzyść. Nie zwróciłem nawet na nią uwagi. A trzeba było. Ale mimo wszystko coś niecoś przypominam sobie...

Jego zdaniem należało rozpoczynać od prawd, które muszą być wspólnymi wszystkim myślącym istotom i na nich budować podstawę porozumienia. Najpierw więc od głównych zagadnień geometrii. Wziąć jakieś zagadnienie i wykazać, że jest nam znane. Naprzykład udowodnić równość kątów leżących u podstawy równoramiennej trójkąta lub też twierdzenie Pitagorasa, że kwadrat wystawiony na przeciw prostokątnej równa się sumie kwadratów wystawionych na przyprostokątnej. Udowodniwszy, że znamy te twierdzenia, wykażemy posiadanie rozumu. Dajmy na to będąc kreślił zwilżonym palcem geometryczne figury na ścianie, albo też choćby tylko w powietrzu...

Skończywszy, pogrążył się w milczeniu, sapiąc bez przerwy, ja zaś siedziałem, zastanawiając się nad jego projektem. Zrazu opanowała mnie dzika radość na widok możliwości porozumienia, potem je-

dnak znów wzięty górę liczne wątpliwości, płynące może z wyczerpania i fizycznej nędzy. Ujrzałem znowu z przerażającą jasnością, jak głupiem było wszystko, co zrobiłem.

— Jakiż osioł ze mnie! Jaki osioł skończony! — mówiłem gorzko — przez całe życie popełniam szaleństwa. Dlaczegośmy oddalali się od aparatu?... Myśleć o patentach i koncesjach, włóczyć się po księżycowych kraterach! Gdybyśmy przynajmniej na tyle mieli rozsądku, by wystawić na tyczce chustkę, wskazującą, gdzie leży kula!

Gniewnie umilkłem.

Cavor tymczasem ciągnął swoje przypuszczenia:

— Na pewno posiadają pewną inteligencję, a jeśli tak jest, możemy znaleźć nic porozumienia z nimi. Można pewne dane ustalić. Jeśli nas nie zabili, odczuwać muszą coś w rodzaju litości, a choćby tylko opanowania siebie. Na pewno chcą wejść z nami w jakieś porozumienie. Przytem co za majстры: spójrz tylko na kajdany...! Jaka robota! To wszystko wskazuje wysoki stopień ich inteligencji...!

— Co mi do tego, u diabła! — zawołałem — można było wcześniej o tem myśleć, zamiast tego skalkaliśmy z jednej jamy w drugą. Djabli wiedzą, pocoośmy tu przylecieli, na coośmy odeszli od kuli! A wszystko dzięki temu, że m za bardzo w ciebie wierzył... Dlaczego m rzucił swoją sztukę! W niej było moje życie, była moja przyszłość. Urodziłem się na pisarza. Skończyłbym sztukę, wyszłaby całkiem możliwie. Scenariusz już miałem wykończony. I tak ni stąd ni zowąd polecieć na Księżyc! Całe życie zmarnowane! Miała rację ta stara z zajazdu w Canterbury...

Przerwałem w środku zdania, bo znowu błysło błękitnawe światło, w otwartych drzwiach bez najmniejszego szelestu zjawilo się kilku selenitów. Zamilkliśmy patrząc w ich niemile, jakby z chytonowych tarcz złożone oblicza.

Niezadowolone, gorycz i żal mój zastąpiła nagle dziwna ciekawość. Zauważyłem, że dwaj pierwsi niosą jakieś wielkie czasze, czy garnki widocznie napełnione jedzeniem. Więc nasze elementarne potrzeby im są znane! Garnuszki wykonane były z tego samego metalu co i kajdany; w błękitnym świetle wydawały się szarawe. Wewnątrz leżały białawe kęsy. Całe moralne cierpienie i gniew przybrało postać dotkliwego głodu. Chciwie patrzyłem na pożywienie, ledwie zwróciwszy uwagę na ręce, które mi ją podawały, podobne trąbie słonia, miękkie i giętkie, opatrzone rodzajem wielkiego palca.

Kęsy w garnuszkach przed nami stojących były bardzo delikatne w rodzaju zimnego soufflé o woni grzybów. Kostki nasuwały przypuszczenie, że było to mięso krów księżycowych.

Ręce miałem tak silnie związane, że z trudem udało mi się dosięgnąć garnuszka; ujrawszy moje usiłowania, dwaj selenici zręcznie rozluźnili mi więzy na rękach. Natychmiast zabrałem się do jedzenia. Mięso było całkiem smaczne, przypominało nieco rybę. Wziąłem dwa dalsze kęsy. — Muszę jeść — pomyślałem, odrywając większy kawałek...

Przez pewien czas jadłem, nie zwracając uwagi na otoczenie, jak podróżny w garkuchni. Jadłem chciwie, prawie bezwiednie. Ani przedtem, ani potem nie byłem nigdy do tego stopnia głodny. Nie mógłbym też uwierzyć, że znajdując się na ćwierć miliona mil od Ziemi, wśród tak dziwnych okoliczno-

ci, i stworzeń, podobnych raczej do tworów dziko rozkiełznanej wyobraźni niż do ludzi, mogłem jeść z takim szalonym apetytem. Selenici stali wokół nas, dotykali naszej odzieży, śledzili ruchy, od czasu do czasu porozumiewając się jakby czkawką, zastępującą im rozmowę. Nawet nie wzdrygałem się przy dotknięciach ich rąk chłodnych. A zaspokoivszy pierwszy głód mogłem zauważyć, że Cavor z takim samym oddaniem pogrążył się w jedzeniu.

XIV.

Próby porozumienia.

Gdyśmy wreszcie skończyli posiłek, selenici związali nam znowu ręce, lecz zato osłabili kajdany na nogach, jakby chcąc dać nam możliwość chodzenia. Następnie zdjęli zupełnie więzy przykuwające nas do ściany. Podczas tej roboty musieli dotykać nas i podchodzić bardzo blisko, mogłem więc dowolnie przyjrzeć się ich dziwnym głowom oraz miękkim rękom suwającym się koło mej twarzy i szyi. Nie powiem, bym uczuwał wobec nich jakiś lęk lub wstręt; nieuleczalny antropomorfizm kazał mi dopatrywać się w nich ludzkich kształtów. Skóra ich sinawa, jak wszystko dookoła, dzięki sinemu światłu, wydawała się suchą, twardą, błyszczącą jak skrzydła żuków, tem bardziej że zupełnie pozbawioną była włosów.

Głowę uzbrajał rząd krótkich, białawych koleców, biegnących od czoła w tył; nad oczami rozgałęział się w dwa znacznie większe grzebienie, sterczące jak brwi. Selenit, rozwiązujący mi nogi, posługiwał się przy pracy rękami i ustami.

— Rozwiązują nas — szepnął Cavor — pamiętaj, żeśmy na księżycu, nie rób gwałtownych ruchów.

— Czy będziesz próbował geometriji?

— Zależy od sposobności. Może pierwsi zrobią jakieś kroki.

Ukończywszy przygotowania, selenici odstąpili, w milczeniu na nas spoglądając; przynajmniej mnie się tak wydawało. Mieli bowiem oczy rozmieszczone po bokach głowy, jak u ryby lub raków, trudno więc było osądzić, w jakim patrzą kierunku. Siedzieliśmy bez ruchu. Oni zaś rozinawiali swoim piskiem, którego nie umiałbym określić ani tem bardziej naśladować.

Po chwili drzwi otworzyły się szerzej, obejrzawszy się, ujrzałem za nimi obszerną, jasną przestrzeń, na której zebrała się garstka selenitów.

— Czy będziemy starali się naśladować ich głosy? — pytałem Cavora.

— Nie sądzę — odrzekł.

— Wydaje mi się, że chcą nam coś dać do zrozumienia.

— Nie nie mogę pojąć z ich gestów; widzisz tego, co kręci głową jak człowiek, mający niewygodny, wąski kołnierzyk?

— Poczekaj, spróbuję mu kiwnąć głową.

Przekonawszy się, że nie wywołuje to żadnych skutków, zaczęliśmy naśladować ich ruchy. Widocznie ich to zainteresowało. Powtarzali je dobrze, jednak widząc, że to do niczego nie doprowadzi, prób zaprzestaliśmy. Oni również. Rozpoczęli znów świszczącą debatę. Wreszcie zdecydowali się na coś. Nagle jeden z nich, znacznie krótszy i grubszy niż inni, o szerszych ustach, podszedł do Cavora i przybrawszy podobną jemu postawę, podniósł się zręcznym ruchem.

— Cavor — szepnąłem — chcą, żebyśmy wstali.

— Oczywiście! — odrzekł, zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi.

Z trudem i wielkim wysiłkiem, gdyż mieliśmy związane ręce, udało nam się stanąć na nogach. Selenici nie tylko nie przeszkadzali nam, ale usunąwszy się dyskretnie, zaczęli znów swoją rozmowę, widocznie zadowoleni. Gdyśmy wstali wreszcie, gruby selenit zbliżył się, dotknął naszych policzków i podszedł ku drzwiom, jakby wskazując drogę. Znak ten był dość wyraźny, bez wahania udaliśmy się za nim. U samych drzwi spotkaliśmy czterech innych, znacznie wyższych, odzianych jak ci, których widzieliśmy w kraterze, pędzących księżycowe krowy w cylindrowatych koleczastych hełmach i pancerzach. Każdy z nich trzymał dzidę z ostrzem zrobionym z tego samego, co garnuszki i kajdany, szarego metalu. Otoczyli nas po dwóch z każdego boku, niby konwój. W takim towarzystwie wyszliśmy z naszego więzienia na obszerną, jasno oświetloną przestrzeń.

Nie odrazu mogliśmy ją obejrzeć. Z początku uwagę naszą przykuwały ruchy i zamiary otaczających nas selenitów oraz konieczność trzymania na wodzy mięśni, aby ich zbyt nagłymi ruchami nie niepokoić i nie przestraszać, a tem samem nie stać się w nieprzyjemne położenie. Gruby selenit szedł naprzód, całkiem zrozumieliśmy znakami zachęcając nas do naśladowania go. Jego dzióbowate oblicze szybko zwracało się ku jednemu lub drugiemu z nas, jakby pytając, czy rozumiemy jego chęci. Jakiś czas, jak rzekłem, zwracaliśmy tylko na nich uwagę.

Tak ułożywszy z nimi stosunki, zaczęliśmy oglądać się naokoło. Okazało się, że tu było źródło tego

zgiełku tonów, napelniających nam uszy od czasu ocknienia się z oszołomienia grzybami. Ujrzelismy olbrzymią masę różnorodnych maszyn w ruchu, których części mogliśmy dostrzec nad głowami i między postaciami, otaczających nas selenitów. I nie tylko zgiełk tonów, dźwięczących w powietrzu, szedł od nich, ale i owo błękitnawe światło, rozjaśniające przestrzeń. Braliśmy za rzecz całkiem naturalną, że ta podziemna jaskinia jest sztucznie oświetlaną i nawet teraz mając przed oczyma przyczynę światła, nie mogłem pojąć jej znaczenia, póki znów nie wstąpiłem w ciemności. Nie mogłem zrozumieć konstrukcji i zastosowania tego olbrzymiego aparatu. Raz po raz wybiegały ciężkie, metalowe tłoki ze środka, głowice ich zataczały paraboliczną krzywiznę, każda z nich wyrzucała coś w rodzaju ruchomych ramion, doszedłszy do pewnej wysokości, i ginęła w cylindrowatym otworze, który je natychmiast wypychał napowrót. Dookoła maszyn kręciły się postaci stróżów, małe figurki podobne do naszych znajomych. W chwili zanurzania się jednego z trzech ramion rozlegał się szum rytmiczny, o jakim może mieć pojęcie ten, kto długo przebywał na wielkich stacjach kolejowych. Miejscami pracowały pompy, z których wydobywała się jak mleko płynna masa, świecąca sinawym blaskiem. Ona też oświetlała podziemie. Z pomp przelewała się w wielkie baseny, kanałami rozprowadzające ją we wszystkich kierunkach. Światło jej było chłodne, spokojne, sinawe w rodzaju jaszkrawej fosforescencji. Ramiona tych niepojętych maszyn huczały, a świetlna substancja sycząc płynęła. Nadzwyczajna sprawność ich i rozmiary, stanowiące dziwny kontrast z rozmiarami, wyglądem i pozorną słabością selenitów, zmuszały nas do pe-

wnego, mimowolnego szacunku dla nich. Stanęliśmy zdumieni ogromem pieczary i mechanicznych urządzeń.

— To niepojęte — mówiłem. — Do czego to może służyć?

Błado oświetlone oblicze Cavora tchnęło myślącą zadumą i uznaniem. — Nie, nie śpię! — rzekł. — Oczywiście te stworzenia... Przecież ludzie nie mogliby nic podobnego wymyślić. Patrz na tę dźwignię, zdaje się opisuje parabolę?

Gruby selenit tymczasem uszedł kilka kroków naprzód, a przekonawszy się, że nie postępujemy za nim, wrócił się i stanął przed nami. Spojrzałem nań, przewidując, że chce, abyśmy szli dalej. Przypuszczenie okazało się słusznem. Przeszedłszy kilka kroków naprzód, jakby chcąc nas skłonić do dalszej drogi, stanął znów obok nas i zaczął dotykać naszych twarzy rękami.

Spojrzeliśmy porozumiewająco na siebie.

— Czy nie należałoby mu okazać, że interesujemy się maszynami? — spytałem Cavora.

— Można spróbować — odrzekł i zwróciwszy się do przewodnika, z uśmiechem począł wskazywać to na maszyny, to na swoją głowę, a widząc, że nie pomaga zaczął tłumaczyć gesty łamanym angielskim językiem, jak gdyby sądząc, że język angielski będzie łatwiej zrozumiałym dla selenitów.

— Ja mam ochotę patrzeć na nie! Ja się niemi bardzo interesuję! — mówił widocznie bezmyślnie.

Jego ruchy wstrzymały na chwilę selenitów. Patrzeli na siebie, ruszając głowami i gwizdali z ożywieniem. Wreszcie jeden z nich, wysoki i chudy, odziany jakimś płaszczem objął Cavora swą giętą ręką w pól i łagodnie pociągnął go naprzód ku gru-

hemu przewodnikowi, który znowu zaczął nas zachęcać do dalszej drogi.

Cavor sprzeciwił się. — Musimy porozumieć się teraz z nimi — mówił — mogliby myśleć, że jesteśmy jakimś nowym gatunkiem zwierząt, na przykład krów księżycowych! Bardzo ważną jest rzeczą okazać im intelektualne zainteresowanie.

Zaczął stanowczo kiwać głową: — Nie, nie! Mnie nie pójdzie, jeśli nie zechce! — Mnie trzeba patrzeć.

— Czy nie dobrzeby było zastosować geometryczne figury, jak mówiłeś? — spytałem, podczas gdy selenici znowu poczęli naradzać się.

— Możeby parabolę... — krzyknął nagle i odskoczył ze sześć stóp w górę. — Jeden z uzbrojonych selenitów ukłół go dzidą!

Natychmiast instynktownie odwróciłem się ku śmiałkowi z groźnym gestem; odskoczył przerażony, reszta zaś ze strachem przyjąwszy okrzyk i skok Cavora uciekła, patrząc na nas zdaleka z całkiem głupim wyrazem nie w twarzach zakamieniałych, lecz w oczach. Prawie minutę staliśmy tak, stanowiąc dziwny a interesujący żywy obraz niezadowolonia z jednej strony, a przerażenia i zdumienia z drugiej.

— Ukłół mnie — rzekł Cavor półgłosem.

— Tak widziałem! Djabliby was wzięli, pogańskie syny! — zakląłem, zwracając się ku selenitom. — całkiem mi się to nie podoba! Za kogo właściwie nas bierzecie?

Obejrzawszy się naokół, dostrzegłem, że ze wszystkich kątów pieczary, oświeconej sinym blaskiem, zbiegają się ku nam gromady selenitów; byli chudzi i grubi, niejeden niósł znacznie większą niż

inni głowę. Pieczara ciągnęła się szeroko, dość nisko we wszystkich kierunkach, ginąc w tajemniczych ciemnościach. Powąła ciężyla jak niezmiernej grubości warstwa skalna. Żadnej nadziei, żadnej drogi odwrotu. Otoczeni ze wszech stron czemś nieznanem, wśród tłumu dziwnych, nieziemskich istot, wymachujących rękami i bronią, staliśmy dwaj nieszczęśliwi, bezbronni zbiegowie z dalekiej planety, nie mogąc znikąd spodziewać się pomocy. —

Zawrotny mostek.

Żywy obraz dwóch wrogich obozów trwał z minutę. Przez tę chwilę bardzo wiele różnorodnych myśli musiało się przemknąć przez nasze głowy oraz podobne do głów organa selenitów. Pamiętam, że niepokoiła mnie wówczas bardzo niemożność zaslonienia się czemś z tyłu: sądziłem, że otoczą nas i zabiją. Cavor zbliżył się do mnie i złapał mnie za rękę. Jego blada, przerażona twarz była straszną.

— Nie da się nic zrobić — rzekł — to szaleństwo: nie zrozumieli nas zupełnie. Trzeba chyba iść za nimi.

— Ach, gdybym miał tylko ręce wolne! — odrzekłem, patrząc to na niego, to na chmurę zbiegających się ciągle selenitów.

— To na nic — zajęczał.

— Na nic.

— Chodźmy za nimi.

Odwrócił się i poszedł w kierunku nam wskazywanym. Pospieszyłem za nim, starając się okazać jak najbardziej pokornym i równocześnie próbując wytrzymałości kajdanów na rękach. Krew we mnie wrzała. Nie zwracałem uwagi na otoczenie ani pieczę, przez którą szliśmy dość długo. Jeśli

zauważył coś wówczas, to wyleciało mi z pamięci; myśli moje krążyły przy kajdanach i selenitach, zwłaszcza tych czterech, którzy nas otaczali. Zrazu szli razem z nami w pewnym oddaleniu, potem zastąpiło ich trzech innych, a oni zbliżyli się ku nam na odległość ręki. Wzdragąłem się jak koń przed uderzeniem bata, gdy szli obok nas. Gruby selenit z początku idący po prawej stronie, poszedł znów na przód.

Obraz tego pochodu dziwnie jasno utkwił mi w pamięci. Przede mną — sylwetka Cavora, postępującego z pochyloną głową i zgiętymi plecami; poza nim to z jednej, to z drugiej strony ukazywała się figurka bezustannie oglądającego się grubasa, po bokach — ślepiaste głowy strażników, uzbrojone kolcami, a wszystko to zalane fantastycznym, sinym blaskiem. Mimo wielu wrażeń, jakie odnosiłem, przypominam sobie, że szliśmy w dół wąskiego rowu czy żlebu, napełnionego tą samą siną, fosforyzującą materią, płynącą z wielkiej maszyny. Szedłem właśnie brzegiem rowu i mogę zapewnić, że ciecz ta mimo bijącego od niej jasnego światła, nie wydawała ze siebie najmniejszego ciepła.

Klang, klang, klang! — znowu przechodzimy pod rozbujanemi dźwigniami jakiejś innej, olbrzymiej maszyny, wreszcie wstępujemy w szeroki tunel, głucho oddający głos naszych kroków. Gdyby nie świetlny potok, w tunelu byłoby całkiem ciemno. Gigantyczne cienie biegają po nierównych jego ścianach i suficie. Gdzie niegdzie skrzą się stalaktytowe kryształki, gdzie niegdzie rozszerza się w pieczary, rozgałęziające się w ramiona, niknące w ciemnościach.

Tunel powoli zniża się w dół; idziemy nim, zasłuchani w echowaty odgłos kroków. Myśli moje wra-

cają znów do kajdan. Gdyby się udało je zrzucić? Czy dostrzegą selenici usiłowania moje, a jeśli dostrzegą, co zrobią?

— Bedford — rzekł Cavor — schodzimy coraz niżej, tunel coraz więcej spada.

Jego uwaga wyrwała mnie z zadumy.

— Gdyby zamierzali nas zabić — ciągnął, przystając, by zrównać się ze mną — dawnoby już mogli to uskutecznić.

— Oczywiście.

— Nie rozumieją nas — mówił — wzięli nas na pewno za jakieś dzikie zwierzęta, w rodzaju krów tutejszych. Bliżej przyjrząwszy się nam, dojdą do przekonania, że nie pozbawieni jesteśmy rozumu.

— Popróbowalbyś geometrycznych problemów...

— Być może — odrzekł, po chwili zaś dodał: —

Tylko możliwe, że to selenici niższego rzędu, ledwie coś nie coś pojmą.

— Błazny przekłete! — syknąłem gniewnie, patrząc na ich nieme oblicza.

— Trzeba znosić...

— Cóż nam innego pozostaje?! —

— Może spotkamy się z bardziej pojętymi. To są zdaje się, krańce ich cywilizowanego świata. Poprowadzą nas coraz głębiej i głębiej, do samego środka, do morza — setkę mil w głąb.

Słowa te przypomniały mi, że nad nami wznosi się skała grubości wielu mil. Miałem wrażenie, że całym swoim ciężarem oparła mi się na plecach.

— Tak daleko od słonecznych promieni i powietrza. W szybach pół mili głębokich duszno.

— W każdym razie tutaj tego nie odczuwamy. Prawdopodobnie — dobra wentylacja! Powietrze

spływa na pewno z ocienionej strony w jasną i przenikając przez pieczary i tunele, wynosi z nich kwas węglowy na powierzchnię księżycą, gdzie karmi nim rośliny, któreśmy widzieli. Teraz przecież idziemy pod wiatr dość silny. Jakże tam muszą być cuda! Choćby te same pieczary i maszyny...

— I dzidy — dorzuciłem.

Szedł chwilę milcząc przede mną.

— A choćby i dzidy... — rzekł.

— No?

— Z początku byłem wściekły, ale może to i lepiej, żeśmy poszli. Może ich organizm i system nerwowy inny niż u nas, może nie pojmują naszych wrażeń. Nie posiadają naprzykład zmysłu węchu, czego dowodem u nich brak nosa... A co się tyczy geometrii, zdaje się, że jej nie trzeba. Oni i tak przecież dążą prostą drogą do wzajemnego porozumienia, tylko, że zaczynają od elementów życia, nie zaś myślenia. Pożywienie. Przymus. Ból. Szukają na pewno podstawowych pojęć. I zdaje się lepszą obrali drogę.

— Niewątpliwie — przyznałem.

Mówił długo o dziwnym i pełnym cudów świecie, jaki się przed nami otwierał, a w głosie jego nie było troski o przyszłość, tylko żądza poznania tych wszystkich cudów. Myśl jego krążyła koło maszyn i wynalazków, wykluczając tysiące czarnych przeczuć dręczących mnie nieustannie — i to nie z celem wyzyskania ich dorobku, ale jedynie dla prostej ciekawości.

— Koniec końców — mówił — to nadzwyczajna sposobność. Zetknięcie się dwóch światów! Pomyśleć tylko, ile rzeczy nowych zobaczymy! Wyobrazić sobie, co tam jest pod nami.

— Niewiele zobaczymy przy takim świetle. — zauważyłem.

— To tylko powłoka zewnętrzna. Tam w głębi, przy takim stopniowaniu..., tam musi być wszystko. Zwróć tylko uwagę na różnorodność ich postaci! My stąd całą historję nowej cywilizacji wyniesiemy!

— Tak — byk, wiedziony do rzeźni, albo rzadkie zwierzę do zoologicznego ogrodu, może się podobnie pocieszać... cuda zobaczy...! Z tego wcale nie wynika, że nam będą wszystko pokazywać.

— Poczóż te wątpliwości! — zawołał — jeśli przekonają się, żeśmy rozumne stworzenia, będą starali się dowiedzieć czegoś o ziemi. Gdyby nawet byli pozbawieni wszelkich altruistycznych uczuć, będą zaspokajali naszą ciekawość, chcąc swoją zaspokoić. Co za rzeczy znać muszą! Jakie niezwykłe rzeczy!

I nie zważając na ranę, zadaną uderzeniem dzidy, zaczął rozwodzić się na temat cudów, o jakich nie mógł mieć pojęcia, żyjąc na Ziemi, a które teraz ujrzy. Niewiele pamiętam z tego, co mówił, gdyż uwaga moja zwrócona była na fakt, że tunel, którym szliśmy, rozkwierał się coraz szerzej, wreszcie przeszedł w pieczarę, której rozmiarów z powodu ciemności nie mogliśmy ocenić. Nasz mały strumyczek świetlny ciągnął się prosto, coraz węższą linią, ginąc gdzieś w dali. Z żadnej strony ścian widać nie było. W ciemności błyszczała tylko jasna smuga strumyka, a na tle brzegów czerniły się sylwetki idących. Przede mną sunęły się postaci Cavora i grubego przewodnika, oświetlone z jednej strony blaskiem światła, z drugiej zlewały się w głębokim mroku.

Wtem zauważyłem, że zbliżamy się do nagłego spadu, bo strumień kilka jardów przed nami znikł nagle.

W chwilę później dosięgliśmy brzegu, z którego w nagłym zakręcie spadał świetlany potok w taką głębinę, że odgłos jego padania nie dochodził naszych uszu. Gdzieś w nieskończonej głębi widzieliśmy błękitny, mgławcy odblask. Szerokości parowu nie mogliśmy ocenić, gdyż drugi brzeg tonął w absolutnych ciemnościach. Widzieliśmy tylko zrab przepaści naokoło strumienia i występującą zeń cieniutką, wąską deszczułkę, stanowiącą rodzaj kładki, przerzuconej na drugi brzeg.

Chwilę staliśmy z Cavorem nad bezdenną otchłanią, patrząc w błękitną głębię. Przewodnik jednak targnął mnie za rękę, wszedł na mostek i postąpiwszy kilka kroków, stanął, oglądając się na nas. Widząc, że idziemy za nim, odwrócił się i poszedł dalej pewnie i bezpiecznie jak po ziemi. Chwilę jeszcze rysowała się jego ciemna sylwetka wyraźnie, potem kontury zacierały się coraz bardziej... znikł w ciemności. Za sobą dostrzegłem drugą ciemną postać.

— Ładna historia — mruknął Cavor.

Jeden z selenitów przeszedł parę kroków po kładce, oglądał się bez troski o nas. Inni przygotowywali się do przejścia. Oczekująca nas postać przewodnika ukazała się znowu. Wracał, aby zobaczyć, czemu nie idziemy za nim.

— Cóż tam dalej...? — pytałem.

— Nic nie widzę.

— Za żadną cenę nie przejdę.

— Ja również trzech kroków dalej nie zrobię — rzekł Cavor — nawet mając wolne ręce.

Spojrzeliśmy na siebie w zwątpieniu.

— Oni widocznie nie doznają zupełnie zawrotu głowy — mówił.

— W takiej ciemności, po tak wąskiej kładce przejść jest niepodobieństwem.

— Zdaje mi się, że oni inaczej wszystko widzą. Obserwowałem ich. Chciałbym wiedzieć, czy zdają sobie sprawę, że dla nas tu za ciemno. Jak to im dać do poznania?

— Za wszelką cenę musimy.

Wydaje mi się, że prowadziliśmy tę rozmowę w smutnej nadziei, że selenicy w jakiś sposób nas rozumieją. Zdawałem sobie sprawę, że wyjaśnienie jest konieczne; spojrzawszy na ich twarze straciłem nadzieję. Porozumieć się ze sobą bezwarunkowo nie mogliśmy. W żaden sposób nie chciałem przechodzić kładki. Instynktownie na pół świadomie zacząłem uwalniać ręce z okow, wykręcając je w różne strony. Stałem właśnie na brzegu mostka, gdy dwaj najbliżsi selenicy poczęli mnie lekko naprzód popychać.

W odpowiedzi na zaproszenie przecząco pokiwalem głową. — Nie pójdę — mówiłem — nic nie pomoże. Nie zrozumiecie mnie i tak.

Do dwóch moich strażników szybko przystąpił trzeci, starając się popchnąć mnie naprzód. Byłem zmuszony ruszyć się.

— Mam myśl — zawołał Cavor; znałem już jego myśli.

— Słuchaj! — krzyknąłem do selenity — uspokój się! Taki most dobry dla was, ale my po nim nie pójdziemy.

Nie zdołałem dokończyć zdania, uczuwszy uderzenie jakby grubej palki w plecy — jeden ze strażników użył swojej broni.

To mnie doprowadziło do wściekłości. Zrzucając z pleców swoich ręce jego towarzyszy, odwróciłem się gotów do obrony.

— Djabliby was wzięli! — krzyczałem. Ja wam ludzkim językiem mówię, że nie przejdę tego mostku! Czego się rzucacie? Jeśli jeszcze raz się ośmielicie...

Zamiast odpowiedzi dźgnął mnie znowu.

Widocznie i z Cavorem postąpili nielepiej, gdyż w tejsze chwili usłyszałem jego krzyk i prośby, choć dotychczas, jak mi się zdaje, ciągle próbował porozumieć się z nimi.

— Słuchaj Bedford — wołał — wpadłem na pomysł!

Długo bronilibym się jeszcze, jednak drugie uderzenie wyprowadziło mnie z równowagi, oswabadzając energię dotychczas wstrzymywaną. Wszelkie chęci i próby tłumaczenia opuściły mnie natychmiast; wściekły od gniewu i strachu nie myślałem o następstwach. Ostatnim strasznym wysiłkiem rozerwałem więzy, które zadzierżgnęły się^o około mej ręki i ze wszystkich sił uderzyłem napastnika w twarz. Nastąpiła jedna z tych straszliwych niespodzianek, jakich jest pełen świat księżycowy.

Uzbrojona kajdanami pięść jakby przebiła jego głowę; trzasnęła jak bańka, lub bomba napełniona likierem. Roztrzaskane ciało odleciało na jakich dwanaście jardów i spadło na ziemię niby kupa błota. Byłem zdumiony. Nie mogłem uwierzyć, że żyjące stworzenie może być do tego stopnia kruchem. Przez chwilę wydawało mi się to wszystko snem dziwnym.

W sekundę jednak stwierdziłem, że wszystko to prawda, i że nam grozi straszne niebezpieczeństwo. Ani Cavor, ani selenici nie zdążyli ruszyć się z miejsca w chwili, gdy rozprawiałem się ze swoim nastnikiem i dopiero wówczas, gdy trup jego gruchnął na ziemię, odskoczyli od nas na pewną przestrzeń, nie mogąc pojąć, co się stało. Nawet ja sam, stojąc z wyciągniętą przed siebie ręką nie mogłem w pełni uzmysłwić sobie swego położenia. — Co dalej? — brzmiało mi w uszach — co dalej robić? —

W chwilę potem wróciłem do przytomności. Przedewszystkiem zrozumiałem, że musimy oswobodzić się z więzów, trzeba jednak było przedtem przestraszyć selenitów, aby nam nie przeszkadzali. Podbiegłszy ku najbliższej ich grupie, już gotowałem się, aby na nich uderzyć, wtém jeden ze straży cisnął na mnie swoją dzidą. Przeleciawszy nad moją głową, wpadła gdzieś w przepaść, ja zaś jednym sussem dogoniwszy śmiałka, rzucającego się do ucieczki, wpadłem na niego i przewróciwszy rozgniotłem go, jak karalucha. Zdawało mi się, że pod nogą skręcił mi się, jak wąż.

Selenici zaczęli uciekać, widziałem tylko oblane sinem światłem ich barki. Siedząc na ziemi, dość szybko rozerwałem kajdany na nogach, przeszkadzające mi wstać. W tejże chwili koło mej twarzy świsnęła jeszcze raz dzida, rzucona z ciemności. Chciałem gonić lotra, ale rozmyśliłem się i wróciłem do Cavora, który, jak przedtem stał nad brzegiem, konwulsyjnie starając się oswobodzić swe ręce.

— Uciekajmy — krzyknąłem mu.

— Moje ręce! — jęknął i domyśliwszy się, że nie spieszę ku niemu, bojąc się przepaści, sam podszedł do mnie, wyciągając ręce.

Natychmiast zająłem się oswobodzeniem go z kajdan.

— Gdzie selenici? — szepnął.

— Uciekli. Wróć zaraz, tylko ich nie widać. Rzucają dzidami. Dokąd pójdziemy?

— Wzdłuż światła, tunelem. Tak myślę.

— Nigdzie indziej.

Rozwiązawszy mu ręce, klęknąłem, by rozwiązać nogi. Nagle — bęc! — przeleciało coś obok nas, do dziś nie wiem co, i wpadło w strumień, rozbryzgując sine błyszczące perły wokoło nas. W tejsze chwili zdala po prawej stronie rozległ się świst i głośny syk.

Zerwawszy więzy z nóg Cavora, podałem mu je mówiąc:

— Bij tem — i nie czekając odpowiedzi, wielkimi krokami wpadłem na ścieżkę, którąśmy przeszli. Miałem straszne uczucia, że te potwory mogą mi z ciemności skoczyć na plecy. Zdawało mi się, że tuż, tuż za sobą, słyszę pościg ich kroków.

Biegliśmy wielkimi krokami. Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że bieg ten z gruntu różnił się od biegu po ziemi. Tam po skoku spada się zaraz na ziemię, na księżycu zaś unosić się trzeba parę sekund w powietrzu przed upadkiem. Skutkiem wielkiego naszego pośpiechu bieg miał pozór długich pauz, podczas których z łatwością mogłem liczyć do siedmiu i ośmiu. — Skoczysz! i długo musisz czekać na skok następny.

Tymczasem różne myśli błąkały mi się po głowie: — Gdzie selenici? Co zrobią? Czy dojdziemy do tunelu? Czy Cavor daleko jest ode mnie? Czy nie zatrzymali go przypadkiem? — Potem skok się skończy i następuje nowy.

Raz ujrzałem selenita, biegnącego przede mną zupełnie jak człowiek; obejrzawszy się ujrzał mnie, krzyknął, rzucił się w bok z drogi i przepadł w ciemnościach. Wydawało mi się, że był to nasz gruby przewodnik, nie mogłem jednak mu się dobrze przyrzec. Po pewnym czasie dobiegłem do miejsca, gdzie ściany pieczary zaczęły się zbliżać ku sobie i stały się widoczne. Jeszcze dwa kroki, jeden i znalazłem się w tunelu. Musiałem teraz stosować skoki do wysokości powały. Biegłem aż do zakrętu, tam stanąłem i obejrzałem się za siebie. Dzięki Bogu, Cavor biegł tuż za mną, nagle przy niezręcznym skoku upadł prosto w świetlny strumień i pograżył się w nim po kolana. Po chwili był w moich objęciach. Przynajmniej teraz straciliśmy nieprzyjaciół z oczu, byliśmy sami.

Zadyszeliśmy się podczas szybkiego biegu. Rozmowa więc nasza toczyła się urywanemi, krótkimi zdaniami.

— Wszystkoś popsuł — jęczał Cavor.

— Głupstwo! — zawołałem, — Tylko to, albo śmierć!

— Cóż teraz poczniemy?

— Trzeba się schować.

— Gdzie?

— W jednej z bocznych jaskiń.

— A potem?

— Potem — pomyślimy.

— Dobrze, więc jazda.

Pobiegliśmy znów; wkrótce znaleźliśmy się w ciemnym przejściu, rozgałęziającem się w długie galery. Cavor biegł przodem. Po krótkim wahanu wybrał jedną z ciemnych grot, schronił się w niej i stanął.

— Bardzo ciemno, — rzekł szeptem.

— Twoje nogi i stopy będą nam przyświecały. Przecież zanurzyłeś się w tym świetlnym strumieniu.

— Ale...

Rozległ się zgiełk dźwięków i dziwny brzęk w rodzaju grzmiącego gonga, od strony głównego tunelu. Dziki pościg zbliżał się z każdą chwilą. Schroniliśmy się w najciemniejszy kąt jaskini. Drogę oświetlało promieniowanie nóg Cavora.

— Szczęście — szepnąłem — że zdjęli nam obuwie, stukot od razu zdradziłby naszą kryjówkę.

Powoli posuwaliśmy się drobnymi kroczkami, aby nie obijać się o sklepienie. Po pewnym czasie uniknęliśmy zdaje się pościgu. Hałas przygłuszony cichł i zamierał...

Zatrzymałem się, widząc wracającego Cavora. Podszedłszy ku mnie, stanął i szepnął:

— Bedford, przed nami jakieś światło.

Zrazu nie mogłem dostrzec światła. Wkrótce jednak wydało mi się, że głowa jego i nogi zarysowują się na tle cokolwiek jaśniejszem. Zauważyłem też, że jasność ta nie miała błękitnych tonów światła księżycowego, lecz bladą bardzo nieokreśloną szarość światła dziennego. Cavor zauważył tę różnicę równie szybko, może nawet szybciej niż ja, i jestem pewny, że zrodziła się w nim ta sama dzika nadzieja.

— Bedford — szepnął drżącym głosem. — Bedford, to światło... może...

Nie miał odwagi dokończyć. Nastąpiła przerwa. Nagle poznałem po odgłosie jego kroków, że idzie naprzód. Szedłem za nim z bijącym sercem...

XVI.

Plany.

W miarę zbliżania się światło rosło. W ciągu kilku minut stało się tak jasnym jak fosforescencja nóg Cavora. Tymczasem galerja rozszerzyła się w niewielką pieczarę, z której końca bił blask wspomniany. Nagle ujrzałem coś, co mi dodało radosnej otuchy.

— Cavor — wołałem — światło płynie z góry! Jak Boga kocham, z góry!

Bez odpowiedzi pobiegł naprzód.

Niewątpliwie było to blade, srebrzyste światło.

Po chwili staliśmy skapani w jego blasku. Przechodziło się przez szczelinę w ścianie pieczary; gdym podniósł głowę, kropla wody z lekkim szelestem spadła mi na twarz, odstałem w bok, druga kropla plusnęła o skałę.

— Cavor, jeśli jeden z nas stanie drugiemu na plecach, dosięgniemy szczeliny.

— Wyłaż, podniosę cię — odrzekł i nie czekając odpowiedzi, wziął mnie na plecy, jak dziecko. Wsunawszy rękę w szczelinę, uchwyciłem się jej brzegu i pomału zdołałem się wdrapać w otwór. Okazało się, że szczelina głęboka, a poszarpane jej ściany roz-

szerzają się ku górze. Światło było bardzo silne, zupełnie białe.

— Można się wdrapać — rzekłem do Cavora — podskocz do mojej ręki, wyciągnę cię.

Uchwyciwszy się brzegu szczeliny, podałem mu rękę. Nie widziałem go, ale słyszałem szelest jego ruchów. Po kilku nieudanych próbach zdołał uchwycić się mej ręki, nie był cięższym od małego kotka, bez trudu wciągnąłem go na górę.

— Naprawdę — zawołałem wstając — na księżycu każdy mógłby być gimnastykiem — poczem zacząłem drapać się dalej. Po kilku minutach energicznych wysiłków doszliśmy do miejsca, gdzie szczelina rozszerzyła się, światło błyszczało silniej...

Tylko... światło to nie było dziennem, słonecznem...!

W chwilę później ujrzeliśmy jego przyczynę. Rozczarowany chciałem głową walić o ścianę. Przed nami roztwierała się szeroka, wolna przestrzeń, na której nierównem podłożu wyrastał las maczugowatych grzybów, siejących jaskrawy, srebrzysty blask. Chwilę stałem jak oszołomiony i splunąwszy, rzuciłem się ku nim, zerwałem ich garść, rzuciłem o ziemię i siadłszy na kamieniu, gorzko roześmiałem się. W szczelinie ukazało się czerwone oblicze Cavora.

— Znowu ta przekłeta fosforescencja! — wołałem. — Niepotrzebny pośpiech. Siadaj, jak u siebie w domu; — i gdy rozwodził się nad nowem rozczarowaniem, bez myśli zrywałem grzyby.

— A ja byłem pewny, że to dzienne światło — mówił.

— No, a jakże?! — krzyczałem. — Obłoki, wiatr, niebo, etc. etc.! Czy też ujrzymy jeszcze kiedy to wszystko?

Przy tych słowach przed oczami mej duszy zjawiał się mały obrazek naszego świata, jak w perspektywie starego, włoskiego pejzażu: ciągle zmienne niebo, szumiące morze, wzgórza zarosłe drzewami, zielonejące łąki, wreszcie miasta i wioski z kopułami kościołów, błyszczącemi w słońcu. — Przypomnij sobie moją chatkę, Cavor; przypomnij sobie okna, pałace się wschodem.

Cavor milczał.

— A tutaj grzebiemy się w jakichś norach... Djabliby wzięli cały księżyc, z jego czarnym oceanem w środku, z martwą ciszą na powierzchni, z nieznośnemi upałami i jeszcze gorszym chłodem! A te ohydne potwory, ścigające nas bez spoczynku, straszni i wstrętni ludzie ze skóry, ludzie-robaki, twory jakiegoś snu okropnego. Ostatecznie mają rację. Jakim prawem mordujemy ich, zakłócając im spokój? W każdej chwili możemy usłyszeć groźbę ich gongów. Co mamy robić? Dokąd uciekać?

— To twoja wina! — rzekł Cavor.

— Moja wina! Wielki Boże!

— Miałem ideę!

— Na hak z twojemi ideami!

— Gdybyśmy się wzbraniali przejść...

— Pośród dzid...

— Tak. Musieliby nas ponieść.

— Przez most?

— Tak. — Musieliby nas stamtąd ruszyć!

Zacząłem znowu niszczyć grzyby, wtem nagle uwagę moją zajęły kajdany, zwisające jeszcze z mej ręki.

— Cavor — rzekłem, pokazując je — te łańcuchy są złote.

Siedział w głębokiej zadumie, sapiąc i ręką targając łaki. Długo nie mógł zrozumieć, o czym mówię, potem zaś spojrział przelotnie na łańcuch i widocznie nie myśląc o nim, rzucił:

— Prawda, prawda...

Twarz jego nie objawiała najmniejszego zainteresowania odkryciem; po chwili pograżył się znów w swoich myślach. Ja zaś zamyśliłem się również nad tem, dlaczego teraz dopiero przyszło mi do głowy pytanie, z jakiego metalu sporządzone są więzy?

Nietrudno znaleźć było odpowiedź: sine oświetlenie nadawało wszystkiemu blado szary odcień, kryjący prawdziwą barwę metalu, dopiero teraz przy białem świetle — odzyskał kolor istotny. Od tego odkrycia przeszedłem do innych myśli, daleko idących. Zapomniałem, że przed chwilą jeszcze pytałem, czego szukamy na księżycu. Złoto...

Cavor pierwszy przerwał milczenie.

— Zdaje mi się, że mamy dwie drogi wyjścia.

— Tak?

— Albo przebić się przez chmury selenitów, znaleźć wyjście na powierzchnię i odszukać aparat, jeśli tylko zapadająca noc nas nie zabije, albo też..

Zamilkł.

— Albo? — pytałem, wiedząc co powie.

— Albo możemy jeszcze raz spróbować porozumienia z ludźmi księżycowymi.

— Według mnie pierwsza droga jest lepsza.

— Pytanie.

— Ja zaś nie mam wątpliwości.

— Widzisz — mówił — nie wierzę, abyśmy mogli oceniać selenitów, według tego, cośmy widzieli. Ich centrum, świat cywilizowany, musi leżeć znacznie głębiej, nad morzem. Ten poziom, na którym się znaj-

dujemy, jest na pewno tylko zamkniętym okręgiem, krajem pasterzy. W każdym razie tak sądzę: Ci selenicy, których widzieliśmy, mogą być prawdopodobnie czemś w rodzaju cow-boyów¹⁾ lub palaczy przy maszynach. Używanie dzid, pewno przeznaczonych na krowy, brak fantazji, gdy czekają, abyśmy zrobili to co chcą, ich niezaprzeczone brutalność, wszystko to wskazuje, do jakiej zaliczyć ich kategorii. Jeśli zaś wytrzymamy...

— Żaden z nas nie wytrzyma przejścia przez sześciocalowy mostek nad bezdenną przepaścią — wtrąciłem.

— Tak — odrzekł Cavor — masz rację.

Pomyślawszy chwilę, zaczął rozwijać nową linię możliwości:

— Dobrze — mówił — przypuśćmy, że znajdziemy jakiś kącik, w którym moglibyśmy odeprzeć napad całego tłumu pastuchów. W ciągu tygodnia słuch o nas dojdzie do bardziej inteligentnych i cywilizowanych stron księżycy....

— Jeśli takie istnieją.

— Muszą istnieć, w przeciwnym razie skądżeby się wzięły te olbrzymie maszyny, któreśmy widzieli?

— To możliwa, ale bezwarunkowo to wszystko gorsze od drugiej ewentualności.

— Możemy robić napisy na ścianach...

— Skądże masz pewność, że oczy ich rozróżnią znaki, jakie zrobimy?

— Jeśli je wytniemy.

— Naturalnie, to możliwa.

Powoli przekonywając się do jego myśli, pytałem:

¹⁾ Cow-boys — pasterze w Ameryce zachodniej

— Ostatecznie przypuszczam, że nie uważasz ich za tak nieskończenie mądrzejszych od ludzi?

— Jakby ci tu wytłumaczyć... Muszą znacznie więcej wiedzieć, oczywiście, w innych niż my kierunkach...

— Tak, no, ale musisz przyznać, Cavor, że jesteś całkiem wyjątkowym człowiekiem.

— Dlaczego?

— Zawsze byłeś samotnikiem, nie żeniłeś się.

— Nie miałem ochoty; i cóż z tego?

— I nigdy nie starałeś się zbożać?

— Nigdy.

— Całe życie poświęciłeś tylko nauce?

— Pewna żądza wiedzy jest całkiem naturalną...

— Tak sądzisz. Dlatego ci się wydaje, że wszyscy powinni dążyć tylko do tego. Wiedza! Przypominam sobie, pytałem się pewnego razu, czemu zajmujesz się temi wszystkimi badaniami, odpowiedziałeś, że chcesz zostać członkiem akademii królewskiej, wynalazłszy nową materję nazwać ją keworytem i tak dalej. Doskonale zdawałeś sobie sprawę, że kierowały tobą nie te dążenia, a tłumaczyłeś w ten sposób tylko dlatego, żem cię pytaniem zaskoczył — trzeba więc było naprędce wyszukać jakiś wszystkim zrozumiały, ludzki motyw. Naprawdę, zajmujesz się nauką i badaniami tylko dlatego, że nie mógłbyś żyć inaczej. Taki już z ciebie człowiek.

— Być może.

— Ale takich ludzi niema więcej niż jeden na milion. Większość powoduje się całkiem innymi dążeniami. Bardzo niewielu kocha naukę dla nauki. Ja na przykład całkiem nie rwę się do wiedzy. Ot, ci senlenci — widocznie bardzo pracowite i mądre istoty, czy jednak możemy z tego wnosić, że nawet najbar-

dziej inteligentni z nich, bez żadnego dla siebie pożytku zainteresują się ziemią i tem, co się na niej znajduje? Bardzo możliwa, że nawet nie wiedzą o istnieniu we wszechświecie innych planet prócz swojej. Oni przecież nocą nie wychodzą na powierzchnię księżyca, bo gdyby nawet wyszli, nie mogliby znieść mrozu. Na pewno nigdy nie widzieli innego niebieskiego światła prócz słońca. Skądże mogą coś wiedzieć o istnieniu innych światów? Cóżby im z tego zresztą przyszło? Chociażby im zdarzyło się kiedyś zobaczyć gwiazdy lub ziemię, to cóż im do tego? Czy naród, zamieszkujący wewnątrz planety, będzie interesował się tem, co się dzieje poza nią? Przecież ludzie zajmują się księżycem tylko podczas pogody i w czasie żeglugi; dlaczegóżby selenici...? Dajmy na to znajdzie się między nimi kilku filozofów w twoim rodzaju, przecież oni nigdy o naszym istnieniu się nie dowiedzą. Wyobraź sobie, że jesteś w Lympe i na ziemię ni stąd ni zowąd spada selenit. Byłbyś na pewno jednym z ostatnich, którzyby się o tem dowiedzieli! Czyli, że wszystkie szanse są przeciwko nam! A my mimo to siedzimy tu, tracąc czas drogi. Mówię ci, wpadliśmy w pułapkę. Zjawiliśmy się nagle bezbronni, zgubiliśmy aparat, pokazaliśmy się selenitom i napędziwszy im strachu, skłoniliśmy ich do przypuszczeń, że mają do czynienia z niewidzianymi, dzikimi i strasznymi zwierzętami. I jeśli ci selenici nie są skończonymi głupcami, będą nas ścigali aż do skutku, postarają się nas uwięzić, a jeśli im się nie uda, zabiją nas. Oto przypuszczalny koniec całej historii. A uwięzionych prawdopodobnie zabiliby z zemsty. Po śmierci zaś może zajmą się nami ich uczeni, ale z tego poaciechy dla nas będzie niewiele.

— No, co dalej...?

— Z drugiej strony — złota tu tyle, co u nas żelaza. Jeśliby nam udało się zabrać go trochę i znalazłszy nasz aparat, opuścić Księżyc cało i zdrowo...

— No?

— Moglibyśmy inaczej postawić kwestję — zorganizować prawidłową ekspedycję i powrócić tu w większych aparatach, z armatami...

— Wielki Boże! — zawołał Cavor — tylko tego brakowało!

Zgniotłem w ręce kilka świecących grzybów i rzuciłem je w szczelinę, po chwili zaś, uspokoiwszy się ciągnąłem dalej.

— Słuchaj, Cavor, w każdym razie mam połowę głosu w tej kwestji, tak ważnej dla człowieka, posiadającego zmysł praktyczny. Ja jestem praktyczny — ty nie. Przyjechałem tu nie poto, by uczyć selektów geometrii. Pamiętaj o tem.

Cavor zamyślił się.

— Trzeba było samemu przyjechać na księżyc — rzekł wreszcie.

— Zapóźno zastanawiać się nad tem — odrzekłem — teraz chodzi o to, by znaleźć kulę.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, pocierając kolana. Wtem Cavor zaczął jakby skłaniać się ku memu zdaniu.

— Wydaje mi się — mówił — że trzebaby było zebrać pewne dane. Jasną jest rzeczą, że dopóki słońce oświeca jeden bok księżycy, powietrze przedziera się przez jego pieczary z ciemnej strony na oświeconą ze środka planety ku jej powierzchni. Dobrze. Jak teraz widzimy wieje z wewnątrz ku górze.

— Tak.

— Z tego wynika, że znajdujemy się po stronie oświeconej. Bardzo łatwo być może, a nawet na pe-

wno tak jest, że ta szczelina ciągnie się gdzieś ku górze i wychodzi na powierzchnię. Wiatr wieje w tym kierunku, wskazując nam drogę. Gdyby się nam udało znaleźć dalszy ciąg szczeliny, bardzo możliwa, że nietylko wydostalibyśmy się z tej dziury, gdzie na nas tak polują, ale nawet...

— A jeśli rysa będzie za wąska?

— To wrócimy.

— Tss! — szepnąłem nagle; co to jest?!

Zaczęliśmy nadśłuchiwać. Znowu dolatywał nas tylko niewyraźny szum, potem rozróżniliśmy w nim dźwięk gongu.

— Zdaje im się, że przerażą nas swoją muzyką jak krowy — rzekłem.

— Idą tunelem, jednak na szczelinę, na pewno nie zwróca uwagi, przejdą mimo.

Znowu zaczęliśmy nadśłuchiwać.

— Tym razem, prawdopodobnie, mają broń jakąś — szepnąłem. Nagle zerwałem się na nogi pod wpływem nagle zbudzonej myśli:

— Boże mój, Cavor! Przecież na pewno przyjdą tutaj! Dostrzegą błyszczące grzyby, które rzuciłem w szczelinę! Oni...

Nie dokończyłem zdania. Odwróciwszy się, skończyłem poprzez grzyby na drugi koniec jaskini. Wznosił się w górę, kończąc się znów nieprzejrzanie ciemną rysą. Zrazu chciałem natychmiast wdrapać się po bokach szczeliny, jednak po chwili namysłu wróciłem napowrót.

— Co robisz? — spytał Cavor.

— Chodź tylko prędzej! — zawołałem, zawracając, i zerwawszy dwa świecące grzyby, włożyłem jeden do bocznej kieszeni mego flanelowego surduta,

tak że wystając z niej oświecał mi drogę; drugi oddał Cavorowi.

Zgiełk tłumu selenitów wzrósł tak, że wydawał się tuż, tuż pod szczeliną. Widocznie stanęli, może nie wiedząc, jak się w nią dostać, albo też z obawy przed możliwym naszym oporem. W każdym razie posiadaliśmy teraz uspakajającą świadomość olbrzymiej przewagi naszych mięśni, daru naszej planety. W minutę później gramoliłem się wślaz za Cavorem i jego świecącymi podeszwami po skale.

XVII.

Walka w piwnicy księżycowej rzeźni.

Nie wiem, jak wysoko drapaliśmy się, zanim dosięgliśmy zamkniętego kratą otworu. Nie było chyba więcej nad kilkaset stóp, a wydawało mi się, że najmniej uszliśmy milę. Ile razy wspomnę o tej eskapadzie, słyszę brzęk złotych kajdan, wiszących nam u rąk i nóg; stopy i kolana poranione o skałę, krwawiły silnie. Po pewnym czasie zwohiliśmy pośpiech, ruchy nasze stały się wolniejsze i ostrożniejsze. Zgiełk tłumu ścigających nas selenitów szybko zamarł w oddali. Zdawało się, że nie weszli w szczelinę, nie zwróciwszy nawet uwagi na wyrzuconę przeze mnie grzyby. Komin, którym szliśmy, raz zwężał się tak, że trudno było się przecisnąć, to znowu rozszerzał się w niewielkie pieczary porośłe stalaktytami i świecąciami grzybami. Innym razem zakręcał się horyzontalnie. Zdawało mi się czasami, że wokół nas biegają jakieś żyjątka, którym nie mogłem się przyjrzeć. Prawdopodobnie były to jakieś jadowite stworzenia, nie jednak nie czyniły nam złego, a przytem nie mogliśmy na nie zwracać obecnie uwagi. Wreszcie, daleko gdzieś w górze ukazał się sinawy, znany nam blask, płynący przez zamknięty kratą otwór, zagrazdający drogę.

Zwróciwszy sobie szeptem na to uwagę, ostrożniejszliśmy naprzód. Dotarłszy do kraty, starałem się dojrzeć, co poza nią jest. Nie mogłem jednak nie zobaczyć prócz oświetlonej sinym blaskiem pieczary, ujście bowiem otworu znajdowało się w zagłębieniu ziemi. Gdzieś w pobliżu mej twarzy kapły krople wody.

Nie mając możności obejrzeć dokładnie pieczary, zacząłem przysłuchiwać się dźwiękom, dochodzącym z niej i przyglądać się ceniom, które ruchliwie snuły się po powale.

Nie ulegało wątpliwości, że znajdowało się w niej bardzo wielu selenitów. Doskonale słyszeliśmy ich świergot i lekki szelest kroków. Prócz tego do uszu naszych dolatywały jakieś miarowe odgłosy; — t-szuk, t-szuk, t-szuk — brzmiało, jakby rozrąbywanie nożem lub toporem czegoś miękkiego. Wślad za tem dał się słyszeć brzęk łańcuchów, gwizdanie, skrzyp bloków i turkot wózka po twardej ziemi, potem znów: t-szuk, t-szuk, t-szuk. Cienie dźwigały się rytmicznie razem z dźwiękiem, stawały, gdy cichnął.

Zbliżyliśmy się do siebie i szeptem poczęliśmy rozmawiać.

— Widocznie czemś bardzo zajęci — rzekłem.

— Tak się zdaje.

— Nie szukają, ani nie myślą o nas.

— Możliwa, że nawet o nas nie słyszeli.

— Prawdopodobnie. Zato tamci gonią za nami.

A gdyby tak nagle wyskoczyć...

Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu.

— Możeby udało nam się z nimi porozumieć — rzekł Cavor.

— Krata, zdaje się, nie tak bardzo silna, wyjąć kilka prętów i przeleźć do pieczary...

Naradziwszy się chwilę jeszcze z Cavorem, obie-
ma rękami uchwyciłem jeden z pretów i lekko od-
giałem go w bok, przyczem o mało nie upadłem. Od-
giałwszy drugi w drugą stronę, wyrzuciłem z kieszeni
surduta świecący grzyb, przygotowując się prze-
leźć przez kratę.

— Ostrożnie, nie spiesz się — szepnął Cavor,
gdym się weisnął w rozszerzony otwór. Zawisnąwszy
na łokciach, wysunąłem głowę, obrzuciłem wzrokiem
całą pieczarę, zalaną selenitami i znowu skryłem się,
aby mnie nie dostrzegli. Przelazłszy przez kratę, po-
łożyłem się, a gdy Cavor po chwili znalazł się obok
mnie, ostrożnie wyjrzeliliśmy z zagłębienia.

Pieczara okazała się znacznie większą niż nam
się na pierwszy rzut oka zdawało, otwór zaś znajdo-
wał się w najniższym miejscu jej falistego dna. Roz-
szerzała się w miarę oddalenia, a sufit obniżał się,
zasłaniając nam zupełnie jej krańce. Całą jej długość
w linii średnicy zajmował rząd nieruchomych, wiel-
kich białawych postaci, przy których pracowali se-
lenici. Zrazu wydało mi się, że są to jakieś cylindry
maszyn, przy bliższem jednak przyjrzeniu się ich gło-
wom zwróconym w naszą stronę, doszedłem do prze-
konania, że mamy przed sobą szerog trupów księży-
cowych krów, obdartych ze skóry, tak, jak u nas ob-
dzierają wieloryby. Selenici zdejmowali z nich mięso,
a tam gdzie już je zdarli, białaty kości szkieletów.
Dźwięk: t-szuk, t-szuk, któryśmy słyszeli, powstawał
przy rozrąbывaniu mięsa przez tych rzeźników ma-
lemi toporkami. Nieopodal od nas znajdował się ro-
dzaj dźwigni, windującej je na wagoniki, któremi wy-
wożono je w głąb pieczary. Ta niezliczona ilość cielsk,
służących za pożywienie, nasuwała myśl o olbrzym-
niem zaludnieniu księżycowego świata, zwłaszcza

w zestawieniu z wrażeniem odniesionem przy pierwszym spojrzeniu w głąb szybu.

Z początku zdawało mi się, że selenicy stoją na drewnianych podstawach z nóżkami w kształcie koźłów, potem jednak przekonałem się, że i podstawy te i toporki ich sporządzone są z tego samego metalu co nasze kajdany¹⁾. Na ziemi leżały sześć stóp długie i bardzo grube drągi, służące do przewracania na bok zabitych tułowiów krowich; mogłyby doskonale służyć za broń. Całą przestrzeń oświetlały trzy strumienie światłane.

Długo leżeliśmy; w milczeniu przyglądając się tej scenie.

— No? — przerwał ciszę Cavor.

— Prawdopodobnie znajdujemy się gdzieś niedaleko od powierzchni księżyca — odrzekłem, przysunąwszy się bliżej ku niemu — jeśli tylko księżycowe krowy nie skaczą lub nie latają.

— Dlaczego?

— Nie mogą ich przecież podnosić, ani spuszczać zbyt głęboko.

— Chciałbym wiedzieć... — zaczął Cavor, wyjrzawszy na pracowników.

Pociągnąłem go za rękaw, nakazując milczenie.

W dole rozległ się jakiś hałas. Przysunąwszy się ku sobie, leżeliśmy jak martwi, nie przestając nasłuchiwać. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ostrożnie drapie się kominem. Szepnąłem Cavorowi, aby śledził to, co się dzieje w pieczarze; z kajdanami w ręku przygotowywałem się na spotkanie nieoczekiwanego gościa.

¹⁾ Nie przypominam sobie, bym widział na Księżycu coś zrobionego z drzewa. Drzwi, stoły, wogóle wszystko co na ziemi wykonywają stolarze, tam sporządzone było z metalu, prawdopodobnie ze złota, jako matorjału dającego się łatwo obrabiać, ciągliwego etc.

— Bądź spokojny, niczego nie zauważyli — szepnął Cavor.

Uchwyciwszy się jedną ręką za kratę, czekałem. Słysząc było wyraźnie gwar selenitów, podchodzących zdołu, drapanie ich rąk o skałę i szelest kamieni usuwających się pod nogami.

Wreszcie dojrzałem ich niewyraźne sylwetki, dźwigające się powoli. Nagle — dżżik! — coś przecięło obok mnie. Skoczyłem na równe nogi i schwyciłem spadającą dzidę. W tejże chwili druga wpadła przez kratę, jak żądło żmii, jednak mnie nie dosięgła. Trudno im było, widocznie, dobrze celować w wąskim przejściu.

Owładnąwszy dzidę, wsunąłem ją przez kratę i zacząłem dźgać, gdzie się dało. Cavor poszedł za moim przykładem i zdaje się nie na darmo, bo w dole rozległy się świsty. W tejże chwili koło mej głowy świsnął jeden z toporków, którymi selenicy obdzierali ze skóry krowy. Przypomniało mi to, że mamy i ztyłu nieprzyjaciół. Obejrzawszy się, ujrzałem całą ich chmarę w szyku bojowym, zbliżającą się ku nam z toporkami w rękach. Jeśli przedtem nic nie słyszeli o nas, w każdym razie szybko zorientowali się w sytuacji.

— Broń kraty — Cavor! — krzyknąłem i rzuciłem się na nieprzyjaciół.

Dwóch z nich rzuciło w mnie toporkami i nie trafiwszy, rozbiegło się w różne strony. Inni pobiegli w głąb pieczary. Pierwszy raz zobaczyłem, że biegną z pochyloną głową i założonymi rękami, zupełnie inaczej niż ludzie.

Stwierdziwszy, że dzida selenitów, którą miałem w rękach, zanadto jest cienka i lekka, by mogła służyć jako broń godna syna Ziemi, gonilem ich tylko

do pierwszego cielska księżycowej krowy, przy którym stanąwszy, podniosłem jeden z drągów, walających się na ziemi. Okazał się całkiem odpowiednim i dostatecznie ciężkim, by zmiażdżyć kilku selenitów odrazu. Oni zaś stanęli w pewnem oddaleniu ode mnie. Pogroziwszy im drągiem, obejrzałem się na Cavora.

Skakał przy otworze, raz wraz dźgając piką tych, którzy ośmielali się podejść pod kratę. Wszystko szło doskonale. Ztyłu selenici na nas napaść nie mogli, z przodu nie odważali się. Ale co dalej począć?

Mimo wszystko byliśmy schwytni w pułapkę. Cofać się niepodobna, nie byłoby celu, a zresztą czekali tam na nas uzbrojeni pikami selenici. Iść naprzód znaczyło wpaść na cały tłum selenitów, prawda przerażonych i licho zbrojnych, ale mogących zyskać posiłki i niewiadomo jaką broń, znaną księżycowcom. Kto wie, jakimi armatami, bombami, pociskami i kartaczami mogą nas przyjąć księżycowi obywatele, mieszkańcy świata, któregośmy tylko kresy poznali?

Zdawało mi się, że najlepiej będzie, nie tracąc czasu, przebić się naprzód, tem bardziej, że tłum rzeźników wzrastał z każdą chwilą. Nie warto było zajmować się tymi selenitami, którzy znajdowali się w otworze poza kratą; nieprędko jeszcze wyjdą, a i nie dogonią nas przy naszej umiejętności skakania.

— Bedford! — zawołał nagle Cavor, rzucając się do ucieczki.

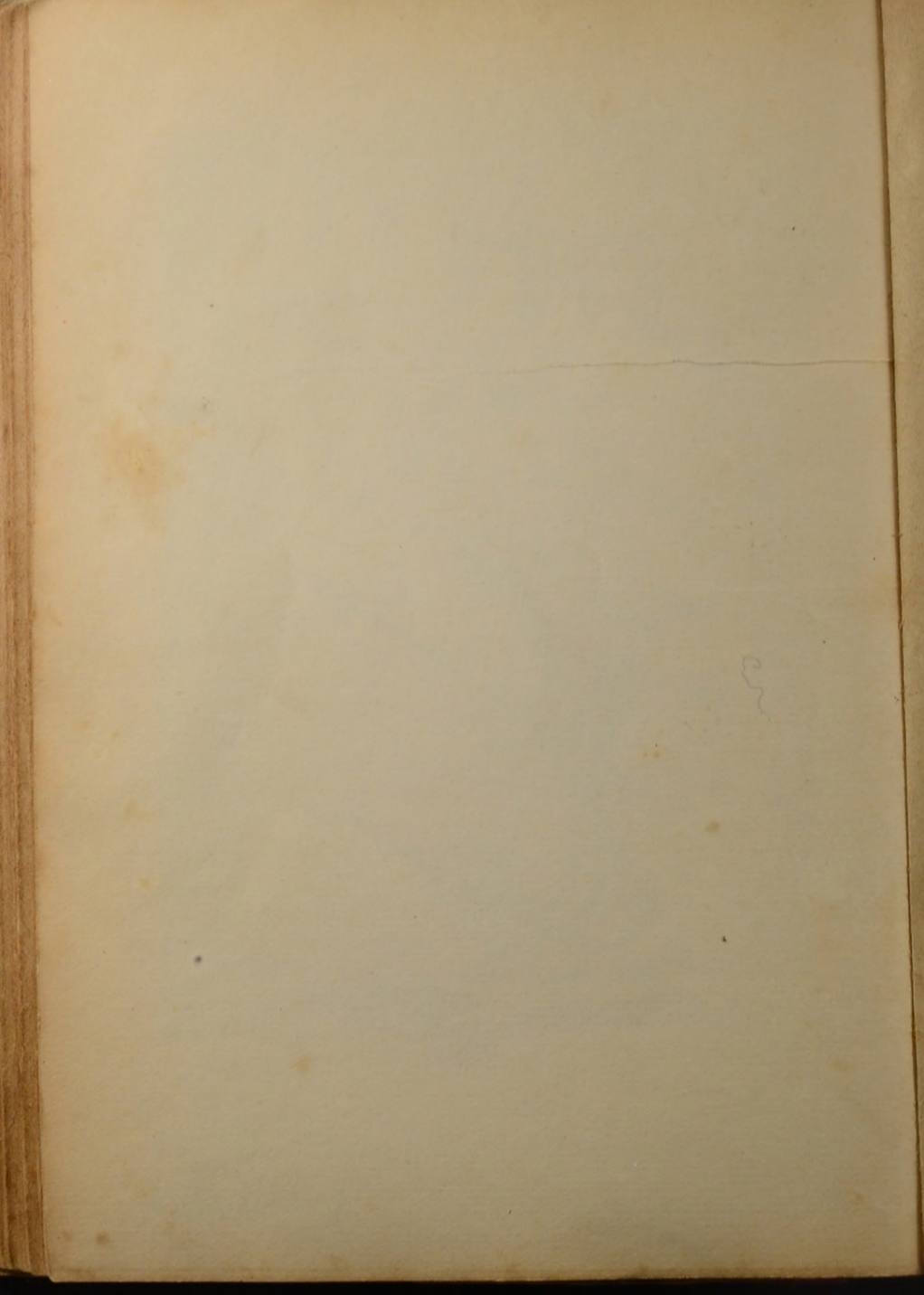
— Co robisz! — krzyknąłem — wracaj natychmiast do kraty.

— Oni dźwigają broń jakąś.



...ujrzałem całą ich chmarę w szyku bojowym... Str. 135.

(Pierwsi ludzie na księżycu)



Nad kratą rzeczywiście ukazał się selenit z jakimś złożonym aparatem w rękach.

Cavor najwidoczniej stehórzył. Po chwili namysłu, rozmachując drągiem, podbiegłem do otworu. Selenit przyłożył aparat do piersi i — dżżik! — coś uderzyło mnie w lewą łopatkę. Był to dziuryt, który utkwiał w mięśniach ręki, puszczonego w każdym razie nie ręką, ale jakimś samostrzałem dziwnego kształtu.

Nie zwróciwszy uwagi na ranę, rzuciłem się na strzelca i jednym uderzeniem rozbiłem go na miazgę. Wogóle selenici rozbijali się z trzaskiem podobnym do łamania suchych łodyg słoneczników.

Odrzuciłem drąg i wyciągnawszy dzidę z pleców, zacząłem dźgać nią przez kratę. Przeciągly świst był odpowiedzią. Selenici, widocznie, odskoczyli od otworu. Wówczas z całym rozmachem wypuściłem pikę w dół i uchwyciwszy drąg znowu pobiegłem w głąb pieczary.

— Bedford, Bedford! — darł się Cavor, gdym obok niego przebiegał. Nie zatrzymałem się, a on, o ile pamiętam, pośpieszył za mną.

Im dalej posuwaliśmy się, tem większe widzieliśmy gromady selenitów, rozbiegających się w różne strony, jak mrówki we wzburzonym mrowisku. Niektórzy próbowali zająć mi drogę, wymachując swojemi toporkami, wkrótce jednak tracili odwagę i chłonili się to w bocznych przejściach, to za trupami krów. W pieczarze stawało się coraz ciemniej. — Dżżik! — przeleciało coś nad moją głową. — Dżżik! — długa dzida utkwiała w krowiem cielsku na lewo ode mnie. — Dżżik! Dżżik! — Pociski zewsząd posypały się gradem.

Stanąłem.

Pamiętam, przestałem się wówczas zastanawiać, w umyśle moim krążyło tylko jedno, niezmiennie wrażenie: — Pas ognia; trzeba szukać schronienia. — Nieświadomie powodując się instynktem, wtoczyłem się między dwa cielska krów i stanąłem tam, chwytając oddech.

Cavora nie widziałem, prawdopodobnie padł gdzieś na ziemię. Po długiej chwili dostrzegłem jego zaczerwienione, potem ociekające oblicze, wynurzające się tuż obok mnie z ciemności.

— Gdzie się włóczysz? — zawołałem — biegnijmy naprzód! — Chciał, widocznie coś rzec, nie słyszałem go jednak i począłem znów biec w głąb pieczary, która zwązła się coraz bardziej i wiła, co z jednej strony utrudniało nam szybki bieg, z drugiej jednak chroniło nas od ciosów dzid, których selenici nie mogli z tyłu ciskać. Czulem, że za chwilę natkniemy się na wielką gromadę selenitów, która wprawdzie nie byłaby dla nas straszniejszą od wielkiego roju mrówek, jednak mogłaby nas zasypać gradem pocisków, a z tem musieliśmy się liczyć. Zacząłem w biegu zdejmować flanelowy surdut.

— Bedford! — krzyknął nagle Cavor.

— Co się stało? — spytałem, oglądając się.

— Białe światło! — wołał, wskazując daleki koniec pieczary, nad cielskami błyszczący.

Rzeczywiście w pieczarze stawało się jaśniej, światło zaś nie miało sinawego odcienia, ale raczej szarawy. Siły moje podwoiły się.

— Trzymaj się bliżej, nie zostawaj w tyle! — zawołałem na Cavora.

W tejże chwili skądś wyskoczył selenit, gwizdnął i skrył się znowu. Biorąc to za umówiony sygnał dla wrogów, natychmiast dałem nurka pod tru-

pa krowy i powlokłem za sobą Cavora. Potem nadszawszy swój surdut na drag, wystawiłem go z kryjówki na sekundę. — Dżżik! — strzała przeszyla odzienie.

Widocznie selenicy byli gdzieś blisko, ukryli się tłumnie, przygotowani strzelać, jak tylko się pokazemy. Za pierwszym strzałem posypały się inne, potem znów wszystko ucichło.

Spróbowałem wysunąć głowę; omal nie przyplącałem życiem śmiałości — przeszło dwanaście pik przeleciało nad nią. W teje chwili dało się słyszeć ożywione szczebiotanie selenitów. Znowu wysunąłem drag z surdudem i znów przeszyla go mnóstwo pocisków, wiele z nich utkwilo w krowiem cielsku.

Zrzuciwszy odzienie z dragą — pewnie do dziś tam jeszcze leży — w mgnieniu oka wyskoczyłem z za trupa i z krzykiem rzuciłem się na selenitów. Nie spodziewali się widać tego i nie mieli się czasu przygotować na moje przyjęcie, bo nie okazali żadnego oporu. Rozmaclując dragiem bieglem po nich, jak po wysokiej suchej trawie, tłukąc ich bez wyboru i kosząc na prawo i lewo. Chytonowate ciała selenitów trzeszczały pod memi nogami jak skorupy orzechów; z dragą kapala jakaś ciecz, prawdopodobnie krew; ziemia od niej zwilgotniała. Tłum selenitów rozbiegł się w różne strony i tylko z oddalenia leciały na mnie pociski i to rzucane na pewno trzęsacemi się rękami, bo z całego ich mnóstwa trafiły tylko trzy — w ucho, w rękę i skroń. Rany te zauważyłem dopiero później, gdy bitwa ucichła.

Co robił tymczasem Cavor, nie wiem; wydawało mi się, że utarczka nie skończy się nigdy, koniec jej jednak nastąpił szybciej, niż się spodziewałem. Nagle ujrzałem, że nie mam nikogo już przed sobą. W dali

tylko przemykały się plecy i głowy uciekających selenitów. Przebiegłszy jeszcze kilka kroków, stanąłem i zdumiałem się — ani jednego mieszkańca księżycy nie było widać na całej przestrzeni.

Wynik walki napełnił mnie dumą. Zamiast przyznać, że selenici są marnymi przeciwnikami, poczułem się sam niezwykle silnym i aż uśmiechnąłem się do siebie z głupiego zadowolenia! Cóż chcecie, takie już fantastyczne światelko — ten księżyc!

Przeskoczywszy przez rozmiążdżone zwłoki selenitów, zacząłem nawoływać Cavora.

XVIII.

W blasku słonecznym.

Doczekawszy się wreszcie towarzysza, puściłem się naprzód. Pieczara znowu rozszerzyła się, wiodąc nas w szeroką galerję, czy balkon, spiralnie okrążający wielki, okrągły szyb, który spadzisto ciągnął się w dół i w górę. Balkon, nieoparkaniony balustradą, wykonywał półtora obrotu spiralnej i kończył się w głębi otworem, przebitym w skale, prawdopodobnie prowadzącym w tunel. Wszystko to przypominało mi spiralne zakręty drogi żelaznej przez górę św. Gotharda w olbrzymim powiększeniu. Trudno wyobrazić sobie tytaniczną wielkość rozmiarów całego otoczenia. W górze, wysoko, wysoko gdzieś nad naszemi głowami, widniało zewnętrzne ujście komina w kształcie maleńkiego krążka usianego gwiazdami i z jednego boku oświetconego białym, słonecznym blaskiem.

Z piersi wydarł nam się okrzyk radości.

— Chodźmy prędzej! — zawolałem, kierując się w górę balkonu.

— Poczekaj, trzeba zobaczyć, co tam jest — odrzekł Cavor i przy tych słowach zbliżył się nad przepaścisty brzeg, aby spojrzeć w dół.

Poszedłem za jego przykładem i, położywszy się na skale, zacząłem patrzeć w głąb szybu, wysunawszy głowę poza brzeg. Oczy moje, oślepione słonecznym blaskiem, od którego zdążyłem już odwyknać, nie widziały nic prócz jakichś czerwonych i sinych, ruchliwych punktów. Mogłem zato słyszeć i słyszałem brzęczenie, jakby otwartego ula oraz gniewny zgiełk milionów żywych stworzeń, dolatujący z głębin z odległości jakich czterech mil.

Posłuchawszy chwilę, wstałem, wziąłem drąg i ruszyłem naprzód balkonem.

— Możliwa, że to ta sama szachta, którą widzieliśmy zgóry, pod otwartą zasłoną — rzekł Cavor.

— Tak, na pewno. I światełka są te same.

— Światełka! — powtórzył — tak, światełka kraju, którego nie staraliśmy się obejrzeć, jak należało, i którego już więcej nie ujrzymy.

— Dlaczegożby nie? Możemy wrócić tu jeszcze — zauważyłem.

Szczęśliwie uniknąwszy niebezpieczeństwa gotów już byłem myśleć o zawojowaniu księżyca. Cavor mruknął coś, czego nie dosłyszałem; w milczeniu poruszaliśmy się naprzód.

Spiralny balkon, po którym szliśmy, dzięki swojej krzywiźnie, ciągnął się prawdopodobnie, na przestrzeni czterech, pięciu mil tak kręto, że przy ziemskich warunkach niepodobienstwemby było się nań wdrapać. Tutaj szliśmy zupełnie swobodnie. Po drodze spotkaliśmy tylko dwóch selenitów, którzy, ujrawszy nas, co tchu zemknęli. Być może słyszeli już o naszej gwałtowności i sile.

Spiralny balkon przeszedł wreszcie w kręto wznoszący się ku górze tunel, na którego dnie widać było liczne ślady krów księżycowych. Tunel

ten tak był szeroki i wysoki, a przytem tak mało falisty, że światła w nim wszędzie było poddostatkiem. Po jednym, czy dwóch zakrętach w dali jasno zarysowywał się jaskrawo oświecony otwór, zarosły wysokimi krzakami kaktusów, których suche sylwety czerniły się na czystym tle nieba.

I dziwna rzecz, my ludzie z ziemi tak niedawno witający te rośliny odrazą i trwogą, dziś patrzeliśmy na nie ze wzruszeniem, jakie odczuwa bezdomny wygnaniec, który po przebyciu wielu trudów i niebezpieczeństw wraca do ukochanej ojczyzny. Miłą nam nawet była rzadkość powietrza, utrudniająca ruchy i przygłuszająca dźwięki.

Zalana blaskami słońca przestrzeń rosła z każdą chwilą przed naszemi oczyma, zacienione zaś boki tunelu pograżały się w głębokim mroku. Gałęzie kaktusa w czasie naszej nieobecności zdążyły wyschnąć i z soczystych, miękkich, zielonych stały się suchymi, twardymi, ciemno szaremi badyłami. Pod samym otworem tunelu grunt na wielkiej przestrzeni był udeptany przez krowy.

Wyszedszy na powierzchnię księżyca, z trudem poruszaliśmy się gnębieni palącym żarem. Słońce piekło nieznośnie. Ledwo zdołaliśmy dojść do miejsca, gdzie cień nawisu skalnego dawał trochę chłodu. Nawet i tam grunt parzył. Jakkolwiek upał dokuczał nam strasznie, byliśmy zadowoleni, że minęły potworne widziadła, na jakie wyglądały nasze przygody w pieczarach i podziemnych przejściach księżyca. Znalazłszy się pod niebem, od dzieciństwa znajomem, czuliśmy się jak w domu. Strach znikł, jakby zaczarowany. Szybkie wybawienie z rozlicznych niebezpieczeństw kazało nam ufać w swe siły, zwłaszcza w stosunku do selenitów. Cała gościna

u nich wydawała się nam snem i łatwo gotowibyśmy byli uwierzyć, że złudą było i to, żeśmy omal nie zginęli w walce z tymi potwornymi ludźmi księżycy, że biliśmy się z nimi i z wielkim trudem uciekli.

Przetarłem oczy, aby przekonać się, że nie śpię, i że wszystko to nie było wytworem snu, w który popadliśmy pod działaniem oszałamiających grzybów. Podniósłszy rękę, zauważyłem na niej krew i równocześnie uczułem ból w uchu, w skroni i plecach.

— Ach, żeby ich djabli wzięli! — krzyknąłem dotykając ran — przecież zranili, przekłęci zbóje! Jak myślisz Cavor, co oni teraz zrobią?

— Któż to może wiedzieć — odrzekł, w zamyśleniu spoglądając na wchód tunelu. — Zależy od tego, co sobie o nas myślą, za kogo nas biorą. A jakże się o tem przekonać?

— Zależy także od tego, jakimi jeszcze rozporządzają środkami. Miałeś rację, mówiąc, że poznaliśmy tylko kresy ich świata. Kto wie, jaką broń mają. Przecież prostemi dzidami mało nas nie zabili. Mimo wszystko — dodałem — nawet gdybyśmy nie znaleźli aparatu przed zapadnięciem nocy, możemy się jeszcze trzymać. Spróbujemy znowu spuścić się w głąb i tam doczekać następnego dnia, odpierając ich napady.

Obejrzawszy się uważnie wokół, nie poznałem miejscowości. Charakter pejzażu ustawicznie zmieniał się dzięki olbrzymiemu rozkwitowi roślin i szybkiemu ich usychaniu. Staliśmy na wysokiej skale; cała przestrzeń krateru pokryta była wyschniętą, dziwną roślinnością, morzem barw jesiennych. Rzędy wzgórz, pocięte dolinami, tak niedawno pokry-

temi bujną soczystą trawą, służącą za paszę księżycowym krowom, szarzały w oddali. Całe ich stado spoczywało nieopodal, rzucając wielkie cienie. Selenitów najmniejszego nie było śladu. Dotychczas nie wiem, czy uciekli ujrawszy nas, czy też wogóle przywykli zostawiać krowy pasące się same.

— A gdyby tak podpalić tę suchą trawę — rzekłem, gdyśmy usiedli dla wypoczynku — możnaby wówczas łatwiej odnaleźć aparat.

Cavor, widocznie, nie słyszał propozycji. Z pod ręki patrzył na gwiazdy, jasno świecące, nie uważając na silny blask słońca.

— Jak myślisz, długo tu jesteśmy? — spytałem go wreszcie.

— Gdzie?

— No, tutaj, na księżycu.

— Przypuszczam, dwa dni.

— Eh, z dziesięć chyba. Słońce już przeszło zenit i kłoni się ku zachodowi. Za jakieś cztery dni zapadnie noc.

— Jakże! Przecież raz tylko jedliśmy.

— Tylko raz, a mimo to... Spójrzyj na gwiazdy.

— Dlaczegoż więc na maleńkiej planecie czas tak szybko przechodzi?

— Nie wiem, a przecież tak jest.

— W jaki to można stwierdzić sposób?

— Według gwiazd i słońca. Inaczej nie uda się. Zmęczenie i głód inaczej się tu objawiają. Zupełnie wszystko tu inaczej. Mnie na przykład wydaje się, że od czasu naszego przybycia na księżyc upłynęło zaledwie kilka godzin.

— Całych dziesięć dni! — ciągnąłem, patrząc na słońce, stojące w pół drogi od zenitu ku zachodowi. — Zostają tylko cztery dni. Nie mamy czasu

na drzemkę, Cavor! Od czego nam zacząć, jak myślisz? — rzekłem wstając.

— Trzeba wybrać jakiś zdaleka widoczny punkt, zawiesić na nim flagę lub chustkę i rozdzieliwszy między siebie całą przestrzeń wokoło, staramie ją przeszukać.

To rzekłszy, powstał również.

— Tak — ciągnął dalej — powinniśmy się starać znaleźć aparat. Nie pozostaje nam nic innego. Musimy go odszukać; w przeciwnym razie...

— Dobrze — przerwałem jego dalsze myśli.

Obejrawszy się wokoło, Cavor wprawił mnie w zdumienie biadaniem:

— Ach, jak głupio postąpiliśmy! I trzebaż nam było podchodzić do tego nieszczęsnego mostku! Pomyśl tylko, co byśmy mogli zobaczyć i zrobić, nie kłócąc się z selenitami!

— No, możeby jeszcze naprawić wszystko.

— Nigdy! Wszystko już na nic. Pomyśl tylko, cośmy stracili! Jakiż to był nadzwyczajnie dziwny świat! Same maszyny tego dowodzą. A te tunele, korytarze, światło! Stworzenia, z którymi stoczyliśmy walkę, to tylko na pół dzikie pastuchy, pół-ludzie całkiem niecywilizowani. A tam, w głębi! Pieczary, tunele, drogi, przeróżne urządzenia.... Imi głębiej, tem bardziej zaludnione.... Napewno! A w środku — jezioro. Wyobraź sobie to wszystko... przy sztucznem świetle. Jeśli tylko ich oczy potrzebują światła. Wystaw sobie olbrzymie wodospady, zasycające jezioro, jego fale, przyływy i odpływy. Być może, posiadają okręty, a po brzegach stoja miasta, w których panuje porządek, o jakim nie śniło się ludziom na Ziemi. A my, prawdopodobnie, pomrzemy tu, nie ujrawszy tego wszystkiego, nie za-

znajomiwszy się z mieszkańcami tego księżycowego świata. Umrzemy, zamarzniemy, a ludzie ciała nasze może znajdą, tak jak i aparat. Znajdą i zrozumieją, po niewczasie, jaki zapas wiedzy i energii przepadł z nami nadarino!

— Ale przecież cóżbyśmy tu zrobili, nie mając potrzebnej siły i broni, używanej na Ziemi? Jeśli tam ciemno naprzykład, coabyśmy ujrzeni? — rzekłem.

— Już w jakiś sposób dalibyśmy sobie radę.

— Ale jak?

— Jakże mogę wiedzieć? Sporządzilibyśmy sobie, czegoby nam brakowało... lampy etc... Wreszcie porozumielibyśmy się jakoś z selenitami.

Zamilkł, beznadziejnie patrząc wokoło.

— Przecież możemy jeszcze wrócić — próbowałem go pbcieszyć.

— Przedewszystkiem trzeba myśleć, jak dostać się na Ziemię.

— No tak, potem znowu tu przyjedziemy, zabrawszy ze sobą lampy, drabiny i wszystko, co okaże się potrzebnem.

— Zobaczymy.

— Możemy być pewni pośpiechu w powrocie, choćby ze względu na moc złota tutaj — rzekłem, wskazując drogą, który trzymałem w ręku.

Cavor spojrział i nie odezwał się ani słowa. Stał, ręce założywszy wtył i patrzył na krater. Po chwili westchnął i rzekł:

— Odkryłem drogę na księżyc. Ale między odkryciem a zawładnięciem istnieje wielka różnica. Teraz powiozę swój sekret znowu na Ziemię. I co potem? Ukrywać tajemnicy dłużej nad rok nie zdołam. A wreszcie przecież inni mogą samodzielnie

to samo odkryć. I co wówczas? Całe gromady ludzi wtargną na księżyc i będą walczyli ze sobą i z selenitami, by nim owładnąć. Zrodzą się nowe powody do wojny. Z chwilą odkrycia tajemnicy inojej wszystkie pieczary i tunele księżycyca zapełnią się trupami ludzi. Wszystko wątpliwe, to tylko pewne. Właściwie księżyc ludziom jest niepotrzebny. Bo i na co? Cóż zrobili ze swej własnej planety? Pole walk wiecznych! Arenę nieskończonego szaleństwa! Jak małaby była Ziemia, jak długim czas, wymierzony dla życia ludzkiego, nie starczy go dla wypełnienia na Ziemi tego, co jej winni. A co człowiek dotychczas zrobił? Co zrobiła nauka? Wykuwała broń do walki nieustannej szaleńców. Najwyższy czas przestać się tem zajmować. Nie wydam swej tajemnicy nikomu. Niech odkrywają jeszcze tysiące lat!

— Możemy przecież trzymać język za zębami... Cavor spojrział na mnie i uśmiechnął się cicho.

— Koniec końców — rzekł wreszcie — naco mamy się tem martwić. Mało jest nadziei, byśmy znaleźli aparat, a czas płynie. Spodziewać się powrotu, to tylko z naszej strony łudzenie siebie, wrodzone każdemu człowiekowi, póki żyje. Biedy nasze zaczynają się dopiero. Złeśmy postąpili z obywatelami księżycyca; okazaliśmy im, czego się mogą od nas spodziewać. Teraz grozi nam to, co groziłoby tygrysowi, któryby wyrwał się z klatki i zagryzł człowieka w Hyde-Parku. Słuch o nas i o naszej krwiożerczości biegnie teraz z pieczary w pieczarę, z galerji w galerję, do samego środka.... Ani jedno rozumne stworzenie nie może pozwolić nam teraz odszukać aparatu i wrócić na Ziemię.

— Siedząc tutaj — rzekłem — w żaden sposób nie poprawimy położenia.

— Tak — przyznał Cavor — musimy się rozejść. Zawiesimy chustkę na najwyższym kaktusie i od niej jak od centralnego punktu zaczniemy obchodzić krater. Idź w kierunku zachodnim i przeszukaj zygzakami przestrzeń, leżącą ku słońcu. Z początku idź tak, abyś cień swój miał po prawej stronie, a gdy zetknie się pod kątem prostym z osią patrzenia, zwróconą ku żerdzi, wracaj napowrót, aby cień padał z lewej strony. Ja będę szukał w ten sam sposób po wschodniej stronie krateru. Będziemy badać każdą jamę, każdą grupę kaktusów, każdą rozpadlinę skalną dopóty, póki nie znajdziemy aparatu. Spotkawszy selenitów, będziemy się starali uciec przed nimi. Jeśli zachce się nam pić, będziemy śnieg spożywali; jeśli zachce się jeść, postaramy się zabić gdzie się da krowę. Każdy niech idzie swoją drogą.

— A jeśli który z nas znajdzie kulę?

— Wówczas ma wrócić tutaj do płachty i czekać na drugiego, dając mu sygnały.

— A jeśli żaden z nas nie znajdzie?

— Będziemy szukali dopóty, póki nie zamarnieemy — odrzekł, patrząc na słońce.

— Dajmy na to, selenicy odkryli aparat i zabrali go?

Cavor wzruszył ramionami.

— Albo jeśli gonią już za nami?

Nie odpowiedział.

— Powinienbyś uzbroić się czemś.

Pokiwał przecząco głową, spojrzawszy jeszcze raz na słońce i rzekł:

— Czas rozstać się.

Ale zamiast ruszyć odrazu, popatrzył uważnie ze smutkiem na mnie, a potem chwilę zawahawszy się, rzekł, nie wiem dlaczego po francusku: — au revoir — i silnie zeskoczył z góry.

Nieznaczną ta scena dziwnie mnie wzruszyła. Chciałem uścisnąć dłoń mego nierozłącznego dotychczas towarzysza, a nie zdążywszy, stałem, machinalnie śledząc jego skoki, póki nie zniknął mi z oczu. Potem, zwróciwszy się ku zachodowi, skoczyłem z takim uczuciem, z jakim ludzie skaczą w zimną wodę. Oddaliłem się wreszcie na taką odległość od źerdzi, że ledwie mogłem ją dojrzeć. Postanowiwszy ani na chwilę nie tracić jej z oczu, rozpocząłem swoje poszukiwania w zupełnem osamotnieniu.

XIX.

Mr. Bedford sam.

Po pewnym czasie zacząłem przywykać do samotności, jak gdybym był sam tylko na księżycu. Zrazu zająłem się poszukiwaniami z wielką uwagą i energią, wkrótce jednak zmęczony żarem i rzadkością powietrza oraz ciągłymi wysiłkami, dałem za wygraną. Wybrawszy niewielką jamę, porośłą wysokimi suchymi roślinami, szarawej barwy, rzucającymi cień i chłód, siadłem, ażeby odetchnąć; drąg złożyłem obok i odpoczywałem, wsparty na rękę. Obejrzałem się wokoło. Cała jama, w której siedziałem, literalnie wyłożona była złotem. Walało się oddzielnymi grudkami u mych stóp, połyskiwało w żyłach skały zlekka mchem porosłej. Cóż mogło teraz znaczyć dla mnie? Wszystkie muskuły spoczywały jak sparaliżowane. Wydaje mi się, że gdyby tak nagle pojawili się przede mną selenicy, ledwiebym może wówczas znalazł tyle energii, by ulec instynktowi samoobrony. Nadzieja odnalezienia aparatu znikła bez śladu. Dlaczegożbym miał bronić życia? Czyż poto, by w chwilę później umrzeć w bardziej męczeński sposób?

— I pociśmy przybyli na księżyc?

W żaden sposób nie mogłem rozwiązać zagadki; dlaczego człowiek tak często ucieka przed szczęściem, spokojem i beztrąską do trudów, nędzy i ryzykowania swego życia? Dopiero tutaj na księżycu przyszło mi na myśl, że ludzie nie na to są stworzeni, by jeść, pić, spać i rozkoszować się, że zadania naszego istnienia całkiem są inne i sami ustanowicznie przyznajemy to, jeśli nie słowem, to czynem. Siedząc między grudami bezwartościowego dla mnie złota, patrząc na niezwykley krajobraz obcego świata, w myśli zdawałem sobie rachunek z całego swego życia. Wiedząc o tem, że wkrótce mam zginać na księżycu, jako zapomniany przez wszystkich wygnaniec, w żaden sposób nie mogłem uzmysłowić sobie, dlaczego żyłem. Jasną mi się wydawało rzeczą, że życiem mojem nie ja kierowałem, nie swoim rozumem i nie dla swojej wygody. Służyłem jakimś celom, których nietylko nie rozumiałem, ale i nie rozumiem dotychczas. Byłem bezwonnem narzędziem w czyichś rękach, życie moje zawsze stało na drugim planie. A więc zamiast rozwodzić się nad tem, poco przyjechałem na księżyc, należałoby pytać, dlaczego się wogóle rodziłem? Naco potrzebne było komu moje życie, jeśli nic nie zrobiłem?

Tak rozmyślając, popadłem wkrótce w chaos; myśli zaczęły mi się mieszać, oczy przymknęły się same.... zasnąłem.

Sen znacznie mnie wzmocnił. Zbudzony jakimś dalekim zgiełkiem, uczułem się znowu pełnym energii i gotowości do walki, przetarłem oczy, przeciągnąłem się i wstałem.

Spałem, prawdopodobnie długo. Słońce stało o wiele niżej niż przedtem, powietrze ochłodziło się

znacznie. Lekki obłoczek mgły sunął nad brzegiem zachodniej ściany krateru. Ujawszy drąg w rękę, wyszedłem ze złotej jamy i wskoczyłem na najbliższe wzgórze, by rozejrzeć się nieco. Nigdzie nie było śladu krów, ani selenitów, ani Cavora, tylko chustka na żerdzi powiewała w dali. Zacząłem poszukiwania na nowo.

Trudno i uciążliwie było chodzić zygzakami, tem bardziej, że straciłem już wszelką nadzieję odnalezienia aparatu. Jeśli nie znajdziemy, musimy spieszyć się z ukryciem pod powierzchnię księżyca, póki zasłonki jeszcze nie zakryte, inaczej niewątpliwie zamrzniemy. Krowy widocznie już zagnano do środka, a słońce świeciło tuż nad grzebieniem skał, otaczających krater. Trzeba było mimo wszystko odszukać Cavora i porozumieć się z nim, inaczej wszystko przepadło. Chociażbyśmy stukali do drzwi, już nas nie wpuszczą.

O aparacie przestałem już myśleć; chciałem tylko znaleźć Cavora i już zwróciłem się z tym zamiarem ku żerdzi, gdy wtem....

Nagle ujrzałem aparat!

Raczej on znalazł mnie niż ja jego. Leżał znacznie dalej, a promienie zachodzącego słońca, odbijając się od szklanej powierzchni, zdaleka zwróciły moją uwagę. Zrazu myślałem, że to podstęp jakiś selenitów, pułapka zastawiona na nas, potem z okrzykiem radości zacząłem biec w kierunku świetlnych promieni. Jednak biegłem, jak ludzie biegną, przy jednym więc ze skoków upadłszy, zraniłem się w nogę; musiałem odtąd wlec się kulejąc, co było dla mnie bardzo nieprzyjemnem, bo drżałem i mało nie płakałem z niecierpliwości. Trzy, czy cztery

razy zmuszony byłem stawać, a nawet siedząc od-poczywać skutkiem bólu w nodze.

Mimo, że w powietrzu było coraz chłodniej, twarz miałem zlaną potem. O Cavorze zapomniałem zupełnie, myśląc tylko o tem, by jak najprędzej dostać się do aparatu.

Jeszcze skok i uderzyłem rękami o jego ścianki, przyczem z piersi instynktownie wyrwał mi się okrzyk:

— Cavor! Znalazłem aparat!

Na pierwszy rzut oka, przez szkło, wydało mi się, że wszystko tam poprzewracane, gdym jednak wsunął głowę przez otwór wchodowy, ujrzałem wszystkie rzeczy, leżące w takim porządku, w jakim je zostawiłszy. Aby uspokoić nieco swe wzburzenie, wszedłem do środka, pobieżnie wszystko przejrzałem, popróbowałem działania zasłonek, a potem siadłem i zabrałem się do jedzenia, nie aby głód zaspokoić, ale że przyjemnie mi było czuć się, jak u siebie w domu. Pora jednak była najwyższa szukać Cavora.

A więc kończyło się wszystko dobrze. Miałem jeszcze dość czasu, by zejść się z Cavorem, no i zabrać wielki zapas tego metalu, który daje władzę nad ludźmi. (Drag swój już zapakowałem do tłumoka.) Złoto było rozsypane wszędzie; pozostawało tylko napęlić niem aparat, abyśmy wrócili na ziemię znacznie bogatsi, niż przy odjeździe z niej... a wtedy....

Znowu myśl moja zaczęła pracować na temat przyszłego zawojowania całego świata. Bo i w rzeczy samej, jakiż władca, jakiż bogacz równać się może z człowiekiem, do którego należy księżyc?

Niedługo marzyłem o swej przyszłej wielkości, przypomniawszy sobie, że przedewszystkiem należy odszukać Cavora, który na pewno już zaczął wpaść w zwątpienie i rozpacz.

Wyszedłszy z aparatu, natychmiast poznałem miejscowość, jaką po raz pierwszy ujrzelśmy na księżycu. Zaczynała już przyjmować swój pierwotny charakter. Soczyste, zielone rośliny, zaledwie rozwijające się, gdyśmy opuszczali aparat, wyschły już i poszarzały. Małeńkie nasionka, pękające w naszych oczach znowu dojrzały, w oczekiwaniu wiosny i ożywiających promieni słońca, ażeby na nowo swem pękaniem ogłosić rozkwit nowego życia na księżycowej pustyni. Na widok tego wszystkiego zacząłem się znowu rozmarzać. Oto miejsce, gdzie wysiedli pierwsi ludzie — godne uwagi i wspomnienia. Kiedyś trzeba będzie wystawić na niem pomnik ze stosownym napisem. Jakiżby hałas podnieśliby panowie selenici, gdyby mogli zrozumieć całe znaczenie tego miejsca, gdyby mogli dowiedzieć się, co na niem zaszło! Szczęście, że pojąć tego nie są w stanie, cały krater wnetby się nimi zappełnił! Nie pozwoliliby nam odlecieć!

Czas był już rzucić marzenia i wziąć się do dzieła. Wybrawszy wysoką skałę, tę samą na którą Cavor po raz pierwszy wskoczył, obejrzałem z jej szczytu krater; przyznam się, straszno mi było z początku nawet na tak małeńką odległość oddalać się od kuli. Hen, gdzieś powiewała biała chorągiew; pod nią u podnóża ściany panował już zupełny mrok. Cavora nigdzie nie było widać.

Długo stałem, badając krater; próbowałem krzyczeć, ale słysząc głuche dźwięki swego głosu, zamierając natychmiast w oddaleniu paru kroków ode

mnie porzuciłem próby. Pozostawało mi już tylko ruszyć w kierunku żerdzi, oznaczywszy czemś przedtem położenie aparatu, jednak zwlekałem, bojąc się by selenicy nie zawładnęli nim przed naszym powrotem.

Kilka razy jeszcze obejrzałem krater. Panowała głucha cisza i pustka. Z pod ziemi, od selenitów nie dochodził szmer najłżejszy. Tylko suche gałęzie okolicznych krzaków, poruszane lekkim powiewem szemrały cicho, zlekka trącąc się o siebie. W powietrzu panowała dziwna świeżość, wiatr przynosił chłodne podmuchy.

Djabliby wzięli tego Cavora!

Ręce przyłożywszy do ust, w kształcie tuby, jeszcze raz krzyknąłem z całych sił, odgłos tak był słaby, że mnie samemu wydał się dochodzącym skądś zdaleka.

Spojrzałem na białą płachtę; cień pod nią rósł z każdą chwilą; słońce kłaniało się coraz niżej nad horyzontem; już, już miało się skryć za nim.

Za wszelką cenę trzeba było ratować Cavora. Szybko zdecydowawszy się, zdjąłem kamizelkę, powiesiłem ją jako sygnał na najwyższym krzaku obok aparatu, sam zaś ruszyłem w kierunku żerdzi, powiewającej w oddaleniu dwóch mil ode mnie.

Ażeby przejść tę przestrzeń, potrzebowałem kilkuset skoków — mówiłem już jakie to są skoki. Przy każdym z nich szukałem oczyma Cavora, dziwiąc się, gdzie mógł się podziać, możliwości jakiegoś wypadku nie przypuszczałem.

Wreszcie ostatni skok — stanąłem pod żerdzią, na tem wzniesieniu, gdzie po raz ostatni rozmawiał z Cavorem. Wokoło pusto, jak dawniej. W dali czernił się wchód tunelu, a cień mój padał tuż u stóp

jego. Zupełna cisza. Cavora ani śladu. Nagle jakby przecuciem tknięty, zacząłem drżeć na całym ciele.

Milczenie, głucha cisza naokół.

Po chwili wzrok mój napotkał coś maleńkiego — leżało na stosie połamanych gałęzi, na stoku wzgórza, w oddaleniu piętnastu jardów. Cóżby to mogło być? Wiedziałem już, niestety, co było i bałem się w przypuszczeniach utwierdzić.

Podszedłem bliżej. Była to sportowa czapeczka Cavora.

Wokoło niej na wielkiej przestrzeni, roślinność była podeptana, gałęzie kaktusów połamane leżały na ziemi.

Stałem chwilę, jak wryty, potem podniosłem czapkę i obejrzałem się. Na zgniecionej trawie widniały jakieś plamy ciemne; bałem się o nich myśleć. O dwanaście jardów ode mnie wiatr powoli przerzucał maleńką, białą karteczkę papieru.

Rzuciłem się za nią. Po chwili miałem ją w rękach: mały, pomięty świstek, poplamiony czerną czerwonem. Na jednej stronie były napisane ołówkiem jakieś słowa. Starannie wygładziłem go drżąca ręką, usiadłem i zacząłem czytać.

List brzmiał:

— „Zraniłem się w nogę; zdaje się, złamałem w kolanie. Nie mogę biegnąć, ani pełzać. Ścigają mnie, teraz to tylko kwestja...“ — zrazu napisał — „czasu“ — potem to słowo przekreślił i zastąpił jakimś innym, którego nie mogłem przeczytać — „zanim mnie schwycą“. — Tutaj pismo stawało się niewyraźnym, prawie konwulsyjnym. — „Już ich słyszę...“ — kilku słów niepodobna było zrozumieć, potem znów — „...całkiem inny to rodzaj selenitów; oni

widocznie tu rządzą...“ Znowu chaos niezrozumiałych znaków.

— „...Głowy ich znacznie większe, ciała smuklejsze o bardzo krótkich nogach; odziani w złote pancerze. Idą w zupełnym porządku, wydają lekki szelest. Chociaż ranny jestem i bezbronny, mimo wszystko ich przybycie daje mi nadzieję...“

Tak, tak, poznaję Cavora! —

— „...Nie strzelali do mnie i nie wyrządzali mi nic złego... Szkada... Myśle...“

Potem nagle szła ostra rysa ołówkiem przez całą kartkę, a na brzegach jej i z tyłu czerniła się — skrzepla krew!

Gdym wstał, oszołomiony tą dziwną relikwią Cavora, coś lekkiego jak puch musnęło mi rękę, jedną, potem drugą... Zwróciwszy uwagę, dostrzegłem, że był to śnieg, pierwsze płatki, zwiastuny nadchodzącej nocy.

Jak szybko zapadała! Gdym szukał Cavora, niebo pograżało się w ciemności; cały jego przestwór usiany był gwiazdami, rzucającymi blask chłodny. Spojrzałem na wschód zalany brązowym światłem zachodzącego słońca; na zachodzie — skrywało się już za grzebieniem skał krateru, wydając się ciemno czerwoną półkulą, przesłoniętą grubym tumanem. U podnóża zachodniej ściany tuman tak był gęsty, że tworzył zbitą nieprzejrzaną chmurę.

Chłodny wiatr szumiał między wyschłymi roślinami na całej powierzchni dna krateru. Jeszcze chwila i wokoło mnie rozszalała się śnieżycą, za krywająca całą okolicę przed moim wzrokiem. W tej sekundzie posłyszałem oddalone, słabe dźwięki dzwo-
nu: bum, bum, bum, zupełnie jak przy wschodzie słońca. Wiatr głużył ich brzmienie. Równocześ-

nie bez najmniejszego szelestu zawarło się zasłona wejście tunelu, widoczne z miejsca, na którym stałem. Teraz już byłem naprawdę sam jeden!

Nade mną, wokoło mnie i we mnie samym był tylko On jeden, Przedwieczny, początek i koniec wszechświata! Chłód i milczenie bezgranicznej, międzyplanetarnej pustyni, panującej nad światłem, nad ciepłem i życiem — sprzysięgły się na mnie, jakby chcąc mnie pochłonać.

— Nie! — krzyknąłem — nie dziś jeszcze! nie teraz! O! ja żyć chcę! Żyć chcę! — Z temi słowami, uważnie, gniewnie, prawie nieświadomie, drżąc od stóp do głowy z chłodu i strachu, rzuciłem się w kierunku niedawno porzuconego aparatu, nad którym powiewała wdali, ledwie widoczna już płachta.

Skok za skokiem — przyczem każdy, wydawało mi się, przedłużał się w nieskończoność — pochłaniałem przestrzeń. Słońce tymczasem, skrywało się w oczach, za grzebieniem góry, której cień szybko sunął się ku kuli, starając się ubiec mnie i zasłonić mi ją przed oczyma. Dwa razy przewróciłem się na śniegu; innym razem wpadłem w suchy krzak, który rozsypał się drobnym pyłem; to znowu wleciałem głową w jamę, z której wygrzebałem się cały zbity, pokrwapiony, całkiem zagubiwszy orientację. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z nieskończonymi przerwami pozornego spokoju w czasie lotu przy dalszych skokach.

— Czy zdążę schronić się? Boże mój! Czy zdążę jeszcze! — Po tysiąc razy przeniknęło mi się przez głowę to pytanie, jak jakaś modlitwa, zanim dostałem się wreszcie do aparatu właśnie w ostatniej chwili.

Zakrywał go już cień; wokół leżał śnieg, ręce marzły mi z chłodu. Mimo wszystko zdażyłem wreszcie i spiesźnie wszedłem do środka, razem z płatami śniegu, krążącymi jak białe, natrętnie, muchy dookoła. Jakoś zamknąwszy wchodowy otwór, zacząłem skostniałymi palcami zasuwać keworijowe żaluzje.

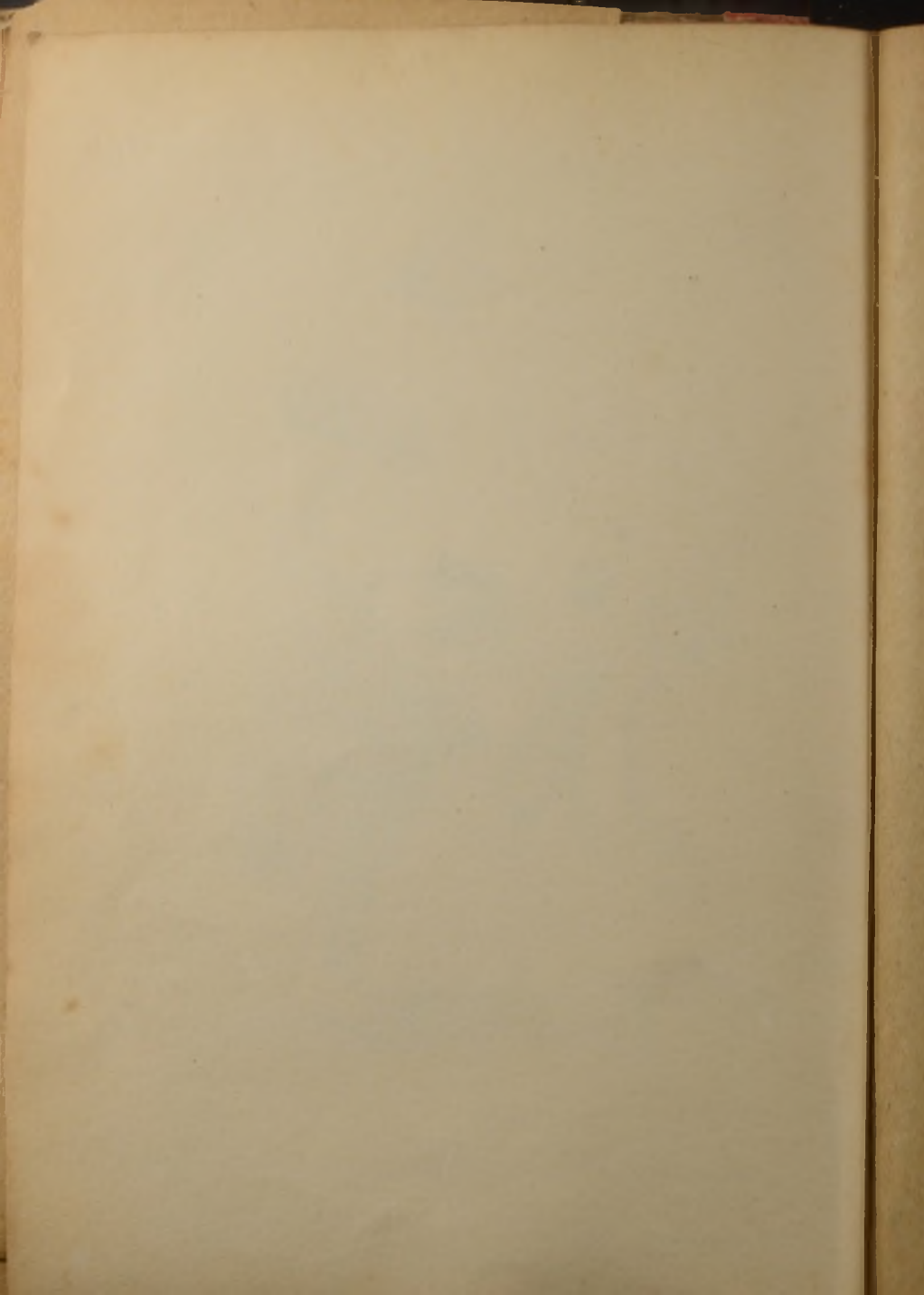
Wiele czasu upłynęło, zanim uporałem się z nimi; nigdy przedtem nie próbowałem ich zasuwać, czynił to zawsze Cavor. Szklaną powierzchnię aparatu zaczęła pokrywać gruba warstwa szronu, przez którą przesiewały się ostatnie, krwawe blaski słońca, przerywane czasami maleńkimi, ruchliwymi cięciami śnieżek i wielkimi sylwetami roślin. Śnieg walił coraz gęstsza chmurą. Co będzie, jeśli nie zdażyć zakryć żaluzji, nim śnieg grubą warstwą zagrząźnie aparat?

Nagle, coś szczyknęło pod memi rękami i świat księżycowy znikł z mych oczu — mrok i milczenie międzyplanetarnych przestrzeni ze wszystkich stron otoczyły kulę i mnie...



...Głowy ich znacznie większe, ciała smuklejsze... Str. 158.

(Pierwsi ludzie na księżycu.)



XX.

Mr. Bedford w przestworzach.

Miałem wrażenie śpiernici. Chyba ludzie nagle zabici mogą czuć to, co czułem. Moment śmiertelnego strachu i zupełnej bezsilności, potem — straszliwa ciemność, cisza, ani słońca, ani światła, ani życia, żadnych wrażeń — jedna tylko wieczność i nieskończoność... Mimo, że raz już, będąc z Cavorem odczuwałem ją, działała na mnie z dziwną siłą. Leżałem bez myśli, zdumiony, oszołomiony, pełen zwątpienia.

Nie wiem, jak długo przebyłem w tym stanie — w międzyplanetarnych przestworzach czas przechodzi jeszcze bardziej nieznacznie niż na księżycu — wreszcie palce moje dotknęły przypadkiem tłumoka, swobodnie unoszącego się po środku kuli. Dotknięcie to obudziło mnie z niemocy. Zrozumiałem odrazu, że muszę zebrać energię i uwagę. Przedewszystkiem musiałem zapalić światło, żeby obejrzeć wszystko, potem zaś ogrzać wewnątrz i przemienić powietrze, gdyż stawało się chłodno i duszno.

Pełzając po ziemi, odnalazłem taster elektrycznej lampki i zapaliłem ją. Dostrzegłem też urywek gazety, którą czytaliśmy z Cavorem. Roześmiałem się i przyszedłem całkiem do siebie; z jakiegoś międzyplanetarnego ciała znowu stałem się człowiekiem. Za-

cząłem pracować. Ogrzawszy wnętrze, odkryłem cylinder z tlenem i uważnie zacząłem się uczyć manewrowania żaluzjami keworytowemi.

Pierwszą, którą otworzyłem, musiałem natychmiast zamknąć oślepiony i oszołomiony blaskiem słońca. Przeszło kilka minut, zanim oczy moje nawykły do równomiernej ciemności, panującej we wnętrzu aparatu. Potem odsłoniłem żaluzję w 90° odległości od pierwszej. W jednej z nich ukazał się wielki, błyszczący sierp księżyca, w drugiej maleńka, biała tarcza ziemi. Zdziwiony byłem ogromem oddalenia od księżyca. Sądziłem, że siła odśrodkowa na jego powierzchni powinna być dwadzieścia jeden razy słabsza niż na powierzchni ziemi, a ponieważ i atmosfera księżycowa znacznie jest rzadsza od ziemskiej, powinna z mniejszą siłą wyrzucać ciała, niemające ciężaru: zdawało mi się, że znajduję się gdzieś w pobliżu księżyca, nad naszym kraterem, tymczasem... Gdzie to teraz może być Cavor?

Jeśli cały księżyc wydaje mi się teraz jednym, błyszczącym sierpem, to Cavor....

* Urywek gazety znowu zjawił mi się przed oczyma i wywiódł mnie z chaosu myśli w praktyczne życie. Powiniennem był wrócić na ziemię, tymczasem aparat leciał w kierunku wprost przeciwnym. Cokolwiekby się działo z Cavorem, nie mógłbym mu pomóc teraz. Żywy czy umarły, musi czekać, dopóki nie zdołam zainteresować jego wynalazkiem i dołą — rodzinnej planety. A więc po powrocie na ziemię albo sprzedam tajemnicę w ręce jakiegoś towarzysztwa, albo też sam w najgłębszym ukryciu pocznę robić przygotowania do drugiej ekspedycji, aby oswo-bodziwszy Cavora, jeśli żyje tylko, i zabrawszy zasoby złota utrwalić projekt zawojowania całem prze-

stworzem nieba. O oporze selenitów niema co myśleć — nietrudno ich będzie zwyciężyć, jeśli porozumienie z nimi się nie uda. Słowem — wszystko dobrze pójdzie, jeśli tylko szczęśliwie wyląduję na ziemi; nad tem trzeba było przedewszystkiem pomyśleć.

Niesiony w przestrzeni bez żadnego impetu, w kierunku przeciwnym ziemi, nie mogę liczyć na to, bym spadł na nią, i jeśli nie przyciągnie mnie słońce, łatwo zabłądzić mogę wśród niebieskich światów. Ażeby przed tem się ubezpieczyć, postanowiłem zawrócić ku księżycowi, ile możliwości blisko obok niego przelecieć i potem nabrawszy pędu, zwrócić się ku ziemi. Nie mogłem wówczas zaręczyć, czy mi się to uda, ponieważ wogóle ani matematyką, ani astronomją nigdy się nie zajmowałem — dziś widzę, że prowadziło mnie raczej szczęście, aniżeli umiejętność kierowania zasłonkami. Gdybym znał wszystkie matematyczne szanse, zwrócone przeciw mnie, jak dziś znam, prawdopodobnie nie zadawałbym sobie trudu manewrowania żaluzjami.

Mimo wszystko, długo i starannie obmyślałem swoje położenie, a potem energicznie wziąłem się do wypełnienia planu. Zrazu otworzyłem wszystkie zasłonki zwrócone w stronę księżyca i śledziłem szybkie i dostrzegalne zbliżanie się. Gdy powierzchnia jego jasno się zarysowała, a szybkość lotu znacznie wzrosła, wówczas odrazu zakryłem wszystkie żaluzje, czekając, aż przelecę mimo księżyca, aby potem odkryć zasłonki zwrócone ku ziemi.

W swoim czasie wszystko było zrobione; straciłem księżyc z oczu i całkiem uspokoiwszy się, przeżyłem wygodnie kilka dni, lecących szybko jak goździny, w maleńkiej komórce materji, płynącej wśród

nieskończonych przestrzeni światów. Dzięki kaloryferom, było mi zupełnie ciepło, dzięki lampie, dostatecznie widno, a powietrze, podsycone wodorem, służyło mi lepiej niż na księżycu. Cisza absolutna. Strachu nie odczuwałem najmniejszego. Nawet nie czułem samotności, chociaż mogłem wówczas uważać się jedynym, żywym stworzeniem w całym wszechświecie. Bez przesady mogę powiedzieć, że czas powrotu z księżycą na ziemię płynął mi spokojnie i przyjemnie. Tylko lampę zgasilem wkrótce, obawiając się, że w krytycznej chwili akumulatory się wyczerpią. Wystarczało mi zresztą światło gwiazd i ziemi.

Pamiętam, w czasie drogi myślałem o wszystkim — o naszym przedsięwzięciu, o swym życiu, o życiu ludzkim wogóle. Myśl moja pracowała dziwnie swobodnie. Nie mógłbym przypomnieć sobie dziś tego wszystkiego — niektóre jednak myśli jasno stoją mi w pamięci.

Główną ideą było zwątpienie o swojej identyczności, o tem, że jestem tym samym Bedfordem, którego znałem od dzieciństwa. Jakby z oddalenia, patrzyłem na tego gentlemana zgóry, jak na stworzenie drobne, nieznaczne, przypadkowe prawie, z którym musiałem się stykać. Wydawało mi się ono skończonym osłem i potomkiem kilku pokoleń oślich. Śledziłem jego szkolne dni, pierwszą młodość, pierwszą miłość, jak przyrodnik śledzący nurówki, rojące się w piasku. Z badań tych pozostało mi jedno tylko pytanie, czy też będę kiedy z siebie zadowolony? I dziwna rzecz, w niezadowoleniu tem nie było dla mnie nic przykrego, jak gdyby Bedford był sam dla siebie jedną istotą, ja zaś drugą — nie człowiekiem, ale raczej jakąś ideą, unoszącą się w bezobło-

cznej przestrzeni. Dlaczegożbym miał dręczyć się brakami Bedforda, jeśli nie myślę przyjmować za nie odpowiedzialności?

Przez pewien czas próbowałem walczyć z tą dziwną iluzją. Przypominałem sobie najbardziej ważne chwile z życia Bedforda, najbardziej silne jego wzruszenia, aby współczuć z nim i zlać się z nim w jedną całość. Wszystko to jednak nie udawało się zupełnie. Widziałem Bedforda, biegnącego po Chancery Lane, z czapką na bakier, z rozwianymi połamami surduta, na egzamin. Widziałem, jak w roztargnieniu wpada na inne dwunożne stworzenia idące ulicą, jak kłania się drugim. Czyż możliwe, żebym to ja był? Widziałem Bedforda, tegoż wieczoru w salonie pewnej lady, nieoczyszczony kapelusz leżał na stole, a on płakał. Czyżbym to ja był? Widziałem go wreszcie z różnemi damami, w różnych bardziej lub mniej tragicznych okolicznościach (nigdy przedtem nie byłem tak przenikliwym); widziałem go jak jechał do Lympe, by pisać sztukę, spotykającego Cavora, pracującego nad budową aparatu, biegnącego do Canterbury. To byłbym ja? Nie wierzę...

Aby rozwiać złudzenie, które przypisywałem samotności, zanikowi ciężaru, odczuwaniu oporu i tarcia, próbowałem pełzać po ściankach kuli, szczypać się w nogi, bić w dłonie. Znowu wzrok mój napotkał urywek gazety. Zapaliłem lampę i przeczytałem na nowo ultra-realne ogłoszenia o sprzedaży roweru, o gentlemanie, żyjącym z własnych środków i damie sprzedającej „widelce i łyżki“. Ci chyba na pewno istnieją, wmawiałem w siebie, tam jest mój świat, a ja jestem Bedfordem, mającym na nim przeżyć resztę życia. Jednak wątpliwości nie ustawały.

Przecież nie ja to czytam, ale Bedford; nie jestem Bedfordem — w tem całe nieporozumienie.

— Ach, niech djabli wezmą! — krzyknąłem wreszcie — kimże więc jestem do licha, jeśli nie Bedfordem?

W moim mózgu zaczęły snuć się tak smutne myśli, że pojąć je było trudno. Wydało mi się, że jestem czemś, stojącym nietylko poza Bedfordem, ale poza światem, poza materją, poza przestrzenią i czasem, że nieszczęsny Bedford jest tylko jakby otworem, przez który patrzę na życie.

Ale dosyć tego. Chciałem odtworzyć swoje myśli tylko dlatego, aby dać pojęcie o rozstroju, jaki opanovał człowieka samotnie unoszącego się w międzyplanetarnych bezkresach, którego wszystkie zmysły i organy znajdowały się w niezwykłym stanie, nie mogąc działać normalnie. Większą część drogi z księżycyca na ziemię przebyłem wśród takich transcendentnych rozmyślań, przyczem nietylko ziemski świat, w który wkraczałem, ale nawet lazurowe pieczary księżycyca, z olbrzymiami ich maszynami i do robaków podobnymi ludźmi, nawet los Cavora schodziły na plan dalszy, jak niegodne uwagi kwestje.

Tak szło wszystko do chwili, gdy przyciąganie ziemi nie zaczęło silnie oddziaływać na cały mój organizm. Znowu uczulem się Bedfordem, niepozabwionym jeszcze instynktu samozachowawczego i oddałem się z zapalem pracy nad zabezpieczeniem sobie szczęśliwego upadku na ziemię.

Mr. Bedford w Littlestone.

Wstąpiwszy w ziemską atmosferę, aparat leciał równoległe do powierzchni ziemi. Temperatura zaczęła się szybko podnosić dzięki tarcia o powietrze. Zrozumiałem, że powinienem jak najszybciej spadać, tem bardziej, że pode mną szeroko rozlewało się morze. Odkrywszy wszystkie zasłonki, zacząłem śledzić padanie. Ziemia wzrastała z każdą chwilą, zakrywając sobą niebo; z jaskrawego morza słonecznych promieni szybko wstępowałem w jej cień. Zrazu nastąpił mrok, potem noc zapadła. Ziemia straciła kształt kuli, przybrawszy postać płaskiej powierzchni, potem nieco wygiętej. Z planetarnego ciała, unoszącego się w przestworzach, znowu stawała się oddzielnym światem, siedliskiem człowieka. Spiesznie zakryłem wszystkie zasłonki, zostawiwszy jeden niewielki otwór; szybkość zmniejszyła się znacznie. Po pewnym czasie tak się zbliżyłem do fal, że mogłem dojrzeć błyski światła igrające na ich grzebieniach. Zakrywszy ostatnią żaluzję, skuliłem się w kabłąk, z bijącym sercem oczekując, co nastąpi. Aparat plusnął o fale, rozbijając je na wysokość kilku sążni w górę. Ruch ustawał coraz bardziej, wreszcie poczułem, że stopy moje opierają się o ziemię —

a więc podnosi się w górę z dna, jak bańka. Jeszcze minuta i zaczął miarowo podskakiwać na falach — ekskursja w bezkresy światów skończyła się.

Noc była ciemna. W dali widziałem światełka sunącego parowca; woda przyływała długimi, płaskimi falami. Na prawo czerniło się wybrzeże, zabudowane małymi chatkami i latarnia morska błyszczała czerwonym światłem. Wzdłuż lądu ciągnęła się płaszczyna piaskowa, poprzerzynana miejscami wodą. Ku północnemu wschodowi widać było odgraniczone miejsce do kąpieli i szereg domków, ciemnymi plamami rysujących się na coraz jaśniejszem tle nieba. — Wewnątrz aparatu mrok panował. Zapaliłbym lampkę, ale zapas elektrycznej energii w akumulatorach wyczerpał się zupełnie; musiałem siedzieć w ciemności, tłumiąc w sobie niecierpliwość wyjścia na ląd. Zrazu rwałem się z niezaspokojonej chęci, ale wytłumaczywszy sobie niepodobieństwo przedsięwzięcia czegokolwiek przed rozwidnieniem się, zacząłem patrzeć na światło latarni morskiej, siadłem w kącie i niewiadomo czemu uczuwszy się nagle śmiertelnie znużony, zasnąłem ukołyszany falami.

Rozbudziło mnie przerwanie rytmicznych ruchów, kołyszących aparatem. Wyrzawszy przez szklane okienko, spostrzegłem, że osiadłem na mieliznie, piaszczystym cyplem wchodzącej w morze. Wdali, z jednej strony widniały domy i drzewa, z drugiej, jakby wisząca między niebem a falami masa podługotanego okręciku.

Trzeba było wyjść z aparatu. Otwór wchodowy znajdował się nad moją głową. Jakoś dostałem się doń i z trudem, nadzwyczajnie powoli zacząłem odkręcać iluminator. Rozległ się znowu świst wdzierającego się do środka powietrza; tym razem jednak nie

czekałem, aż ciśnienie zrównoważy się, tak wielką płonąłem żądzą ujrzenia czem prędzej rodzinnego nieba i rzeczy, do których od dzieciństwa przywykłem.

Gdy ciężki iluminator został w mych rękach i prąd ziemskiego powietrza wdarł się w me płuca, omal nie zadusiłem się, krzyknąłem i schwyciwszy się rękami za piersi, stoczyłem się na dno aparatu. Po chwili wróciłem do siebie i odzyskałem możność ruchów, chociaż sprawiały mi ciągle wielką trudność.

Trzeba było wyjść nazewnątrz. Wygramoliłem się znowu do otworu i uchwyciwszy rękami za brzeg, wysunąłem głowę; aparat pod ciężarem mego ciała potoczył się, musiałem podać się wtył, nie chcąc, by głowa moja znalazła się w wodzie. Otwór wchodowy rzeczywiście do połowy pograżył się w falach. Długo w różne strony kołysałem aparat, zanim udało mi się jakoś wypełznąć na mokry piasek, co chwila zalewany falami.

Był wczesny poranek szarego dnia letniego. Po niebie snuły się ciężkie, grube obłoki, gdzie niegdzie poprzerywane wąskimi pasami zielonawo niebieskiego błękitu. Nieopodal brzegu stał na kotwicy niewielki statek. Morze falowało długimi zwałami wody. Po prawej stronie brzeg wyginał się w małą zatokę, obsadzoną rybaczymi chatkami, na samym jej krańcu widniała latarnia morska. Miejscowość dookoła była równą, gdzie niegdzie błyszczały jeziorzka i małe kałuże, a wdali, na milę od brzegu czerniła się linja jakichś krzaków. Na północnym wschodzie ciągnął się rząd wysokich, niezgrabnych budowli, widocznie hoteli, z plażą i kąpielowemi budkami szeroko rozstawionemi, prawdopodobnie było to drugorzędne jakieś miejsce kąpielowe, szare, biedne i smutne.

Długo siedziałem, ziewając i przecierając oczy, wreszcie zdecydowałem się wstać. Udało mi się to, choć z niemałym trudem.

Na widok zajazdów, po raz pierwszy od czasu dotkliwego głodu w kraterze, obudził się we mnie prawdziwy apetyt. — Szynki zjadłbym, parę jaj i szklankę kawy — szepnąłem do siebie — a potem dostać się wraz z bagażem do Lymgne.

Przedewszystkiem jednak trzeba się było dowiedzieć, gdzie jestem. W każdym razie jest to wschodni brzeg Anglii, tak przynajmniej zdawało mi się w czasie spadania.

Na piasku rozległ się szelest kroków; ujrzałem idącego przez plażę maleńkiego, okrągłego człowieczka o dobrodusznym wyrazie twarzy, w flanelowym kostjumie, z ręcznikiem na szyi i kąpielowym płaszczem w rękę, — nie ulegało wątpliwości, że Anglik. Uważnie spojrział na mnie i na aparat; nie zdaje mi się, żebyśmy się mu podobali, do tego stopnia byłem zabrudzony, oberwany i zaniedbany.

— Hej, wy! Coście za jedni? — wołał niecierpliwie, stanąwszy w odległości dwunastu jardów ode mnie.

— Człowiek, jak pan widzisz, — odrzekłem.

— A to co za sztuka? — pytał, podszedłszy bliżej, wskazując na aparat.

— Powiedz mi, pan, z łaski swojej, gdzie jestem?

— To Littlestone — odpowiedział, pokazując palcem zajazdy — a tamto Dungeness! Jak widać, pan dopiero co przybił do brzegu? Co to za aparat? Jakaś maszyna?

— Tak, maszyna.

— I pan na niej przyjechałeś? Rozbicie okrętu, czy co?

Nie spiesząc się z odpowiedzią, oceniałem i przy-
patrywałem się mu uważnie, on zaś podszedł jeszcze
bliżej.

— Ach, mój Boże! Toś się pan musiał naciерpieć!
A ja sądziłem... Tak, tak! Gdzież się panu to nie-
szczęście zdarzyło? A to widocznie, jakiś nowy apa-
rat ratunkowy...?

Nie zaprzeczałem wcale, owszem w niejasnych
słowach utwierdzałem go w tem przekonaniu, wkoń-
cu zaś rzekłem:

— Potrzebuję pomocy. Trzeba wyciągnąć na
brzeg kulę, nie może tutaj tak zostać.

W tej chwili nieopodal pojawiło się trzech sym-
patycznej powierzchowności młodych ludzi w słó-
mianych kapeluszach, z ręcznikami i prześcieradłami.
Wszyscy trzej skierowali się w naszą stronę. Widocz-
nie byli to kuracjusze z Littlestone.

— Pomocy? — powtórzył — naturalnie! Czego
pan potrzebujesz przedewszystkiem? — Z temi słó-
wy zwrócił się ku nadchodzącym młodzieńcom i za-
czął dawać im znaki; tamci przyspieszyli kroków,
a po minucie stali już obok mnie, ofiarowując na wy-
ścigi swoje usługi i zasypując mnie pytaniami, na któ-
re coprawda nie miałem ochoty odpowiadać.

— Potem wszystko panom objaśnię — rzekłem
— obecnie jestem strasznie zmęczony i głodny.

— Chodźmy do hotelu — zaproponował pierwszy
z moich nowych znajomych — aparatem zajmiemy
się później.

— Niepodobna — odrzekłem po chwili wahania
— tam leżą dwie wielkie sztaby złota.

Z niedowierzaniem spojrzeli na siebie, potem na
mnie. Podszedłem do aparatu, wlażłem do środka
i z wielkim trudem wydobyłem złote dragi i kajdany.

Gdyby nie zmęczenie, roześmiałbym się na widok ich zdziwienia. Patrzeli na złoto, jak kocięta na wielkiego żuka. Małeńki człowieczek starał się podnieść jedną sztabę za cieńszy koniec, jednak natychmiast wypuścił ją z rąk. Inni próbowali również z tym samym wynikiem.

— Ołów, albo złoto, — rzekł jeden.

— O, to na pewno złoto! — zawołał drugi.

— Najczystsze złoto — dodał trzeci.

Patrzyli to na mnie, to na statek stojący w zatoce.

— Skądże pan przecież to wziął? — spytał mały gentleman.

— Z księżycą — odrzekłem, zanadto zmęczony, by ukrywać prawdę.

Młodzieńcy całkiem wyraźnie spojrzeli na siebie.

— Słuchajcie, panowie — dodałem — nie mam chęci teraz do rozmowy. Pomóście mi to wszystko zanieść do hotelu. Po dwóch na każdą sztabę, przy odpoczynkach, wystarczy. Ja poniosę kajdany, i gdy wypocznę, wszystko wam wyjaśnię.

— A cóż będzie z tą maszyną?

— Nikomu tu nie zaszkodzi — rzekłem, — a zresztą niech ją djabli! Niech tam leży, póki czas przyływu nie nadejdzie.

Zdziwieni memi słowami mimo wszystko usłuchali. Wzięli łomy na plecy i zwrócili się całą procesją ku zajazdom; na samym końcu szedłem i ja, powłócząc nogami. W połowie drogi przyłączyły się do nas dwie małeńkie dziewczynki z łopatkami, potem zaś podjechał na rowerze jakiś malec, widocznie zainteresowany pochodem i zaczął pytać się, co i dokąd niesiemy. Nikt mu nie odpowiadał, on zaś odprowadziwszy nas o jakie sto jardów, zasmucił się

widocznie i odjechał wzdłuż brzegu w kierunku sterującego z wody aparatu.

Mimowoli obejrzałem się na niego.

— Uspokój się pan, niczego nie będzie ruszał, — przekonywująco rzekł wysoki młodzieniec, odgadnąwszy moje myśli.

W tejsze chwili słońce, wyrzawszy z poza obłoków, zalało swemi promieniami okolicę. Wszystko nagle poweselało. I mnie zrobiło się przyjemnie. Świadomość znaczenia wyniku mej podróży spłynęła w mą duszę wraz z promieniami słońca, oświecającemi ciało. Roześmiałem się głośno, gdy jeden z niosących potknął się pod ciężarem mojego złota. Jak się on zdziwi, gdy zajmę w świecie należne mi stanowisko!

Właściciel littlestońskiego zajazdu zdumiony był kontrastem mej postaci z pełną respektu kompanją, wśród której znajdowałem się, i bogactwami, których byłem panem. Nie miał jednak czasu na dziwienie się, mój stan bowiem wymagał z jego strony zapobiegliwych zachodów. Znalazłem się wreszcie w napełnionej gorącą wodą zwykłej ziemskiej wannie, dookoła leżała czysta bielizna, nieco za wąska, ale świeża, bardzo uprzejmie przysłana mi przez jednego z moich znajomych. Pożyczył mi również swojej brzytwy, nie mogłem jednak zdecydować się na ogolenie brody, gęsto zarastającej mi twarz.

Nareszcie znowu zasiadłem przy prawdziwem, angielskiem śniadaniu, jedząc powoli, smakując rozkosznie jak człowiek wygłodzony kilkutygodniowym postem. W przerwach między potrawami, odpowiadałem na pytania otaczających mnie młodzieńców.

— No tak, jeśli chcecie wiedzieć, rzeczywiście przyleciałem z księżycą.

— Z księżycą?

— Tak, z tego samego księżycyca, który widzicie na niebie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— No to, u diabła, co mówię.

— To znaczy, żeś pan przyleciał z księżycyca?

— A właśnie. Tym samym aparatem.

Z rozkoszą spożyłem jajko, myśląc nad tem, że jeśli po raz drugi wyprawię się za Cavorem, bezwzruszowo zaopatrzę się w koszyk jaj na drogę.

Doskonale widziałem, że moi towarzysze nie wierzą ani jednemu memu słowu i uważają mnie za najbezpieczniejszego blagiera w świecie. Z uśmiechem spoglądali na siebie, to na mnie, jak gdyby chcąc znaleźć rozwiązanie zagadki w moim sposobie sypiania soli na jajko. Jednak złote sztaby dziwnego kształtu leżały przed ich oczami, jakby stwierdzając, że mnie lekceważyć nie można, niepodobieństwem bowiem byłoby je ukraść, tak, jak niepodobna ukraść domu, lub morga gruntu. Mimo to, badając wyraz ich twarzy, zrozumiałem jak trudno będzie mi ich przekonać o prawdzie słów moich.

— Przecież nie chcesz pan powiedzieć... — zaczął jeden z młodych ludzi takim tonem, jakim mówi się z upartymi dziećmi, które nie rozumieją, czego od nich chcą.

— Podaj mi, pan, z łaski swojej talerzyk ze sandwichami — rzekłem, przerywając mu.

— No, wie pan, trudno uwierzyć pańskim słowom.

— Poprostu nie chce pan powiedzieć prawdy — dodał trzeci, siedzący nieopodal. — Pozwoli pan, że zapalę papierosa? — rzekł zwróciwszy się ku mnie.

Znakiem zgodziłem się i jadłem dalej. Dwóch z nich podeszło ku oknu, rozmawiając półgłosem.

— Czy przypliw wzbiera? — spytałem, przypomniawszy sobie aparat.

— Niedługo woda zacznie się podnosić — odrzekł mały człowieczek.

— Nic nie szkodzi, aparat i tak daleko nie odpłynie.

Rozbijając trzecie jajko, podjąłem na nowo rozmowę.

— Tylko na miłość Boską, nie bierzcie mnie za wielkiego blagiera, panowie — mówiłem — chcąc nie chcąc muszę streszczać się krótko i jasno. Zupełnie rozumiem wasze położenie, jednak narazie wierzę mi na słowo — żyjemy w przededniu wielkich i bardzo ważnych odkryć. Nie mogę obecnie wyjaśnić wam wszystkiego z najmniejszymi szczegółami. Daję wam słowo honoru, że rzeczywiście wróciłem z księżycą. To wszystko, co mogę powiedzieć. Zresztą czuję dla was ogromną, ogromną wdzięczność! Spodziewam się, że żadnemu z panów się nie naraziłem.

— Ależ nie, zupełnie! — zawołał najmłodszy z nich, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił.

— Ani trochę! — potwierdził mały gentleman, wstając.

Potem rozsiedli się, zapalili papierosy i zaczęli między sobą rozmowę, starając się okazać, że nie zwracają na mnie uwagi.

— Chodźmy popatrzeć zbliska na tę maszynę — rzekł jeden z nich półgłosem. Przypuszczam, że wszyscy byliby poszli za nim, gdyby nie to, że krępowali się moją obecnością.

— Ale cudowna pogoda — zauważył mały człowieczek — nie pamiętam takiego lata.

— Puff — dżżik! — rozległ się z zewnątrz szum, jakby wielkiej rakiety, lub rozbijanego okna.

— Co to takiego? — krzyknąłem.

Rzucili się wszyscy ku oknu; siedziałem chwilę, nagle tknięty straszną myślą, rzuciłem jajko i podbiegłem również do okna.

— Nie nie widać! — rzekł mały człowieczek, kierując się ku drzwiom.

— Na pewno ten przekłety malec! — krzyknąłem i omal nie przewróciwszy lokaja, niosącego nową potrawę, wybiegłem na plażę.

Morze, przed chwilą gładkie jak zwierciadło, marszczyło się teraz falami, a w miejscu gdzie był aparat, kipiało jak pod śrubą okrętu. W powietrzu, nad niem wznosił się w górę maleńki obłoczek, ni-
knący w oczach.

Kilku ludzi stało na brzegu, spoglądając w górę, załoniwszy rękami oczy od słońca. Ot i wszystko! Służba hotelowa i czterej młodzi ludzie wybiegli za mną na plażę. We wszystkich oknach widać było gapiów, porozumiewających się ze sobą krótkimi znakami.

Przez chwilę stałem jak porażony, niczego nie pojmując.

— Ot i masz, Cavor! — zawołałem wreszcie — nikt teraz nie wie twej tajemnicy! Ach, Boże, Boże!

Byłem jak złamany, ledwo trzymałem się na nogach. Przekłety malec! I sam wleciał w górę i mnie pozbawił wszystkiego! Złoto zostało, ale i wierzycciele przecież nie zginęli. Jakże wróć...

— A to historia! — zawołał ktoś za mną.

Obejrzałem się. Dwadzieścia, czy trzydzieści par oczu patrzyło na mnie z wyrazem ciekawości, niezro-

zumienia i podejrzliwości... Nie wytrzymałem dłużej i wybuchnąłem.

— Nie mogę! Mówię wam, że nie mogę nic objaśnić! Patrzcie, ile chcecie, niech was djabli wezmą!

Gniewnie gestykulując, przedarłem się przez tłum, wróciłem do jadalni i zacząłem niecierpliwie dzwonić.

— Ogłuchli, czy co? — krzyknąłem na wchodzącego lokaja — natychmiast mi odnieść te sztaby do mego pokoju.

Służący nie odrazu zrozumiał, o co chodzi; doprowadziło mnie to prawie do wściekłości, już chciałem rzucić się na niego, wtem nagle zjawił się przerażony mały staruszek w zielonym kostjumie, a za nim czterech moich znajomych. Pomogli mi odnieść złoto do pokoju. Znalazłszy się u siebie w domu, uważałem, że jestem w prawie rozgniewać się i krzyknąłem:

— Idźcie precz wszyscy, jeśli nie chcecie, bym zwarjował ze złości!

Wszyscy rzucili się do drzwi, służącemu własnoręcznie pomogłem. Zerwawszy z siebie cudzą odzież, rozrzuciłem ją po pokoju i nagi ległem w pościeli, długo jeszcze nie mogąc się uspokoić.

Przyszedłszy wreszcie do siebie, zadzwoniłem i kazałem przynieść wody sodowej z wódką, dobrych cygar i flanelowy kostjum. Gdy wszystko przynieśli, zamknąłem drzwi i zacząłem obmyślać swoje położenie.

Należało uznać wielkie plany za niemożliwe do urzeczywistnienia. Pozostaje mi tylko zlikwidować przeszłość, wyciągnąwszy z niej jak najwięcej korzyści dla przyszłego życia. Ostatni wypadek zniweczył moje marzenia o oswobodzeniu Cavora, zawo-

jowaniu księżycy, kopalniach złota i t. d. Tajemnicy keworytu nikt nie posiada i przez tego przekłętego smarkacza nikt nie odnajdzie. A więc — wszystko skończone, muszę zadowolić się tem, co posiadam.

Doskonałem zrobił, położywszy się do łóżka w zamkniętym pokoju, mogłem wówczas oszaleć albo narobić głupstw, którychby się nie dało potem naprawić. Teraz nikt mi nie może przynajmniej przeszkodzić w układaniu planów na przyszłość.

Malec na pewno wszedł do środka aparatu, zaczął bawić się śrubkami, zamknął keworytowe zasłony i uleciał w niebo. Niewiele jest prawdopodobieństwa, aby udało mu się zasunąć iluminator, a jeszcze mniej, aby wrócił szczęśliwie na ziemię. Aparat błdzi teraz w bezkresach, a dzieciak zamarzyły pływa w jego wnętrzu. I trzebaż mu było tego! Dla ziemi nie przedstawia teraz żadnego interesu, zato będzie interesującą nowością dla obywateli jakiegoś niebieskiego świata, na który przypadkiem spadnie.

Co się zaś tyczy odpowiedzialności za zgon jego, któż mnie zmusi do przyznania w części winy. Jeśli rodzice spytają mnie, gdzie ich dziecko, ja ich nawzajem spytam, gdzie mój aparat, albo też udam, że zupełnie nie rozumiem pytania. Muszę się tylko wstrzymać od wszelkich objaśnień, aby nikt nie miał prawa zwracania się do mnie z pytaniami. Zacząłem się zastanawiać nad rzekomym moim powrotem z księżycy. Czyż widział kto kiedy takie aparaty, na których można by było wznosić się w niebo? Słyszał ktokolwiek o nich? Każdy obywatel Wielkiej Brytanji, jeśli tylko nie wyrządził nikomu krzywdy, pełne ma prawo nagle zjawić się, gdzie mu się podoba, tak brudny i oberwany, jak mu się podoba z dowolną ilością złota, jeśli go nie ukradł nikomu. Nikomu zaś nie wolno

mieszać się w jego sprawy ani też pytać, skąd się tu wziął. Oto zupełnie jasny i niezaprzeczony wykład praw moich. Magna Charta mojej wolności!

Tak odpowiedziawszy sobie na te pytania, zająłem się obmyśleniem przyszłości. Co będzie z moim bankructwem! Z tem jeszcze mniej miałem kłopotu. Któż mi zabroni nazwać się jakimś mało znanem nazwiskiem? Żaden z wierzycieli nie pozna mnie, tem bardziej, że zapaściłem brodę. To zdaje się, jasne?

Pozostaje mi tylko zachować potrzebne ostrożności i śmiało zacząć nowe życie.

Kazałem sobie przynieść przybory do pisania i natychmiast wysłałem list do najbliższego New-Romney-Banku z prośbą o otwarcie mi bieżącego rachunku i przysłanie dwóch wiarogodnych ludzi, którzyby zabrali na wozie parę centnarów złota, jako zastawu. List podpisałem mało znanem, a jednak wzbudzającym szacunek nazwiskiem „Wells“.

Potem kazawszy sobie podać księgę adresową Folkestone, wybrałem najlepszego krawca, zamówiłem półsukienny garnitur; równocześnie wysłałem posłańca po zarzutkę, kufer na ubrania, żółte buty, koszule, kapelusze (do miary) etc.; u zegarmistrza zamówiłem zegarek. Gdy ukończyłem pisaninę, kazałem podać najlepszy lunch, na jaki stać było zarząd hotelu, położyłem się wygodnie do łóżka i pałac cygaro, oczekiwałem posłańców z banku; po pewnym czasie odezwał się dzwonek, byli to dwaj uwierzytelnieni ajenci bankowi, którzy odważywszy moje złoto, zabrali je ze sobą; wówczas zamknąłem drzwi na klucz i zawiąawszy się z głową w koldrę, zasnąłem rozkosznie snem bohatera.

Trudno zaprzeczyć, że sen jest zbyt prozaicznym zajęciem dla człowieka, który przed chwilą wrócił

z księżycą. Jestem pewny, że młodzi, pełni fantazji czytelnicy wezmą mi to za złe. Jednak tak byłem znużony, tak rozbity fizycznie i moralnie, że co miałem robić? Gdybym zaczął opowiadać komukolwiek całą historję swego życia, na pewno by nie uwierzył, ściągnąłbym przytem na siebie mnóstwo podejrzeń i nieprzyjemności. Czyż nie lepiej było spać?

Gdym wreszcie obudził się, uczułem się znowu gotowym do życia i walki, jak w młodych latach. W chwilę potem odjechałem do Italji i siedzę tam do dziś, pisząc swoją opowieść. Jeśli świat nie uwierzy w nią, będzie uważał ją za wytwór fantastycznych marzeń — wszystko mi jedno.

I tak rozmaite kłamliwe pogłoski rozchodziły się o naszej wyprawie. Cavora uważają za zwykłego eksperymentatora, który zginął w czasie wybuchu w Lymplne; moje zaś dziwne przybycie do Littlestone wraz z późniejszym zniknięciem aparatu i chłopca łączą, nie wiem dlaczego, z doświadczeniami nad materjami wybuchowemi, dawno już dokonywanemi w rządowych warsztatach w Lydd, oddalonem o dwie mile od Dungeness. Niczem dotychczas nie zdradziłem swego współdziału w zniknięciu mastera Tommy Limmons'a (tak nazywał się chłopczyk). Obawiam się, że będę jeszcze odpowiadał za to, choć naprawdę zupełnie nie zawiniłem.

Przybycie moje do Littlestone w tak zaniedbanem ubraniu i z mnóstwem złota, objaśniają w różny sposób. Mówią naprzykład, że wymyśliłem całą historję, aby uniknąć nieprzyjemnych podejrzeń o pochodzeniu złota, nabytego jakimś ciemnymi drogami... No i mówić tu im! Chciałbym mimo wszystko znaleźć człowieka, któryby potrafił ułożyć tak logiczną i do prawdy podobną bajkę.

Opowiadanie skończone i muszę znowu się zająć pracą. Chociaż byłem na księżycu, muszę jeść i pić jak każdy inny człowiek. Dlatego też tu w Amalfi wzięłem się znowu do swojej sztuki, którą przerwałem po spotkaniu z Cavorem. Będzie ona nitką, łączącą moje życie przed podróżą i po podróży na księżyc. Trudno mi jednak dziś pracować nad nią z tym samym zapałem. Właśnie mamy pełnię, całą noc wczorajszą spędziłem na balkonie, patrząc na złoty sierp księżyca. Pomyśleć tylko! — Stoły, stolki, części maszyn, nawet drągi do podnoszenia trupów krowich — wszystko z czystego złota! Ach, żeby tak ktoś jeszcze wynalazł keworyt! Niestety takie odkrycia nie powtarzają się...!

Czemże skończyła się cała nasza wyprawa? Ja siedzę tutaj, może w lepszym cokolwiek położeniu niż w Lympe, a Cavor popełnił najdziwniejsze może w świecie samobójstwo. Cała historia zmieniła się w jakiś niepojęty sen, tak mało wiążący się z codziennem, ziemskim życiem, że gdyby nie złoto, które posiadam, sam gotówbym weń nie wierzyć....

Zdumiewające odkrycie Mr. Juljusza Wendigee.

Ukończywszy opowiadanie o swym powrocie z Księżyca na Ziemię, podpisałem z wielkim rozmachem — Koniec — i odrzuciłem pióro, sądząc, że historia pobytu pierwszych ludzi na księżycu skończona. Dużo czasu od tej chwili upłynęło. Zdażyłem sprzedać rękopis wydawcom, znaczna część jego pojawiła się już w Strand Magazine, a sam zająłem się w dalszym ciągu opracowywaniem scenariusza sztuki, zaczętej w Lympe, gdy wtem okazało się, że opowieść podróży na Księżyc jeszcze nie jest skończona. Do Algieru, dokąd przenieśliem się przed sześciu tygodniami, doszły mnie zdumiewające wieści: oto holenderski elektrotechnik mr. Juljusz Wendigee, który dawno już próbował nawiązać stosunki z Marsem, przy pomocy aparatów podobnych tym, któremi posługiwał się mr. Tesla w Ameryce, dzień w dzień otrzymuje dziwne, oderwane depesze w języku angielskim, niezawodnie pochodzące od mr. Cavora z księżyca.

Zrazu wydawało mi się to zwykłym żartem kogoś, co czytał rękopis mego opowiadania. Odpisałem więc mr. Wendigee w tonie żartobliwym, ale otrzymawszy odpowiedź, wykluczającą wszelkie po-

dejrzenia i wątpliwości, ogromnie podniecony, wyjechałem natychmiast z Algieru do małego obserwatorium na górze św. Gottharda, w którym pracował.

Ujrawszy jego rysunki i aparaty, a przede wszystkim obszernie depesze Cavora, straciłem wszelkie wątpliwości, natychmiast zniósłem się z wydawcą Strand Magazine, uwiadamiając go o konieczności uzupełnienia swego opowiadania. Sam zaś przyjąłem zaproszenie mr. Wendigee, aby przy nim do pomocy pozostać, codziennie odbierać poselstwa z księżyca i starać się nawiązać z nim porozumienie. Okazało się, że Cavor nie tylko żyje, ale zupełnie wolny przebywa wśród selenitów, tych do mrówek podobnych ludzi, w lazurowych pieczarach księżyca. Dowiedzieliśmy się, że okulał na nogę, ale zresztą jest całkiem zdrowy, zdrowszy niż kiedykolwiek na Ziemi. Febra, która go tutaj męczyła, bez śladu przeszła. Ciekawe było, że uważał mnie za zmarłego na powierzchni księżyca, lub też w międzyplanetarnych przestworzach.

Pierwszą jego depeszę otrzymał mr. Wendigee w czasie zupełnie innych badań. Czytelnicy bez wątpienia przypominają sobie ogólne zainteresowanie, jakie na początku stulecia wzbudziły sensacyjne rewelacje mr. Nikoła Tesla, słynnego amerykańskiego elektrotechnika o otrzymanych sygnałach z Marsa. Ściśle mówiąc, sygnały te nie były nowością dla uczonych, którzy dawno już wiedzieli o tem, że do Ziemi dochodzą skądś fale prądów elektrycznych, podobnych tym, które chwyta Marconi'ego telegraf bez drutu. Prócz mr. Tesla bardzo wielu czyniło próby skonstruowania aparatów, chwytających te ruchy. Nowszyszy jednak uważali je za sygnały z jakichś

zaziemskich światów. Do nich niewątpliwie należałoby zaliczyć mr. Wendigee. Od roku 1898 poświęcał się wyłącznie tym zagadnieniom, a posiadając bardzo znaczny osobisty majątek, wybudował w tym celu na stokach góry Monte Rosa obserwatorium, w miejscu pod każdym względem bardzo dogodnym.

Muszę się przyznać, że naukowych wiadomości posiadam niewiele; jeśli jednak mogę wyrazić swoje zdanie, to przygotowania mr. Wendigee, służące do wykrycia i oznaczenia jakichś zaburzeń w elektromagnetycznych prądach międzyplanetarnych przesłrzeni wydały mi się odrazu bardzo oryginalnymi i dobrze pomyślanymi. Na szczęście aparaty ukończone były i do działania gotowe o dwa miesiące wcześniej, nim Cavor zaczął porozumiewać się z Ziemią; dlatego też nawet pierwsze jego relacje, jakkolwiek nie w całości, były zapisane. Niestety były to tylko fragmenty, między którymi brakowało najważniejszej dla ludzkości rzeczy, mianowicie przepisów wyrabiania keworytu. Albo zginęły gdzieś w przesłrzeni, albo też zapomniał je wysłać. Dotychczas nie udało się nam jeszcze przesłać odpowiedzi czy jakiegoś pytania na księżyc, tak, że prawdopodobnie sam nie wie, czy jego komunikaty do nas dochodzą. Tem godniejszym więc uznania jest jego pragnienie nawiązania stosunków z ojczystą planetą. W ciągu dwóch lat przeżytych na księżycu przesłał już osiemnaście długich listów, w którychby na pewno, gdybyśmy je wszystkie otrzymali, znajdował się zupełny opis księżycowego życia.

Można sobie wyobrazić zdziwienie mr. Wendigee, gdy spostrzegł, że międzyplanetarne, elektro-

magnetyczne depesze tak łatwo dają się odczytać w języku angielskim. Nie wiedział zupełnie o naszej podróży na księżyc i nagle ni stąd ni zowąd — przestworza czy światy zagadały do niego po — angielsku!

Dobrze będzie, jeśli czytelnik pozna warunki, wśród których te depesze były wysyłane. Gdzieś pod powierzchnią księżyca Cavor musiał znaleźć na pewno dostęp do znacznej ilości elektrycznych aparatów i jak się zdaje, zbudował, prawdopodobnie potajemnie rodzaj telegrafu systemu Marconi'ego, którym posługiwać się mógł w pewnych, nierównomyślnych odstępach czasu, może trzy, czterogodzinnych. Prócz tego wysyłał depesze ku Ziemi, nie zwracając uwagi na to, że wzajemne położenie księżyca i punktów kuli ziemskiej zmienia się ustawicznie. Skutkiem tego, a także i skutkiem niedoskonałości naszych aparatów, bardzo często relacje te przychodziły pomieszane, porozrywane, często bezmyślne nawet, tem bardziej, że Cavor widocznie zapomniał, albo nie opanował dokładnie międzynarodowego, telegraficznego alfabetu, i często, prawdopodobnie w chwilach znużenia opuszczał słowa, albo też przekreślał w nich litery.

Wogóle nie doszła nas przynajmniej połowa jego depesz, a wiele z tych, które mamy, jest uszkodzonych, poprzerrywanych, w części niezrozumiałych. Musi więc czytelnik przygotować się na to, że w następujących wyciągach z listów Cavora, napotka całą masę przerw, czasem w najciekawszych miejscach, oraz zmian tematów. Obecnie mr. Wendigee i ja pracujemy wspólnie nad kompletnem, naukowem wydaniem wyników badań naszych, w którym opiszemy

wszystkie instrumenty, jakimi posługiwaliśmy się, oraz metody odcyfrowywania depesz Cavora. Praca ta zacznie wychodzić w styczniu przyszłego roku, narazie zaś ograniczę się tylko do popularnego wyciągu treści pism mego towarzysza w wyprawie na księżyc.

Wyciąg z sześciu pierwszych pism Mr. Cavora.

Pierwsze dwa listy Cavora mogę zupełnie spokojnie pomieścić dopiero w obszernem wydaniu całej historii, gdyż treścią ich jest szczegółowy opis budowy aparatu i przygód naszych na księżycu. a więc to, co czytelnicy już znają. O mnie wszędzie mówi jak o zmarłym, i co prawda bardzo dziwnym tonem: „Biedny Bedford, nieszczęśliwy młodzieniec, zupełnie nieprzygotowany do tego rodzaju ekskursji“; „...bardzo żałuję, że skłoniłem go do opuszczenia planety, na której miał wszelkie dane do uzyskania szczęścia...“ Potem ledwie wspomina mój współdziałal w pracy nad budową aparatu, a o samej podróży prawie nie czyni wzmianki, mówiąc prosto: „przybyliśmy“, jakby to była zwykła przejażdżka koleją.

W dalszym ciągu tak bardzo niesprawiedliwym staje się dla mnie, że nawet nie spodziewałbym się tego po człowieku, który jak on całe życie poświęcił szukaniu prawdy. Przejrzawszy to, co dawniej napisałem i porównawszy z tem, co pisze Cavor, czytelnicy łatwo będą mogli przekonać się, kto z nas przychylniej odnosi się do towarzysza niedoli. Oto naprzykład słowa Cavora:

„Wkrótce przekonałem się, że osobliwość naszego położenia, utrata ciężaru, rozrzedzone a bogate w wodór powietrze, szybki rozwój roślinności, ciemne niebo, olbrzymie wyniki najmniejszego nateżenia mięśni etc. — nadzwyczajnie oddziaływały na mego towarzysza. Charakter jego na księżycu stanowczo zmienił się na gorsze. Stał się bardzo impulsywnym, ostrym i swarliwym. Objadłszy się olbrzymimi grzybami, wpadł szybko w oszołomienie, które było przyczyną naszej niewoli u selenitów, zanim zdążyliśmy ich poznać...”

(Proszę zauważyć, że zupełnie nie wspomina o tem, że sam także jadł grzyby i był pijany.)

Potem odrazu przeskakuje do opisu walki z selenitami i tak ją przedstawia:

„Podeszliśmy ku bardzo niebezpiecznemu przejściu nad przepaścią i Bedford, nie zrozumiałwszy różnych znaków, dawanych przez selenitów — ładne były znaki! — wybuchnął strasznym gniewem. Rzucił się na naszych przewodników i trzech z nich zamordował. Później walczyliśmy jeszcze raz z nimi, gdy starali się nam zamknąć drogę i zabiliśmy ich siedmiu, czy ośmiu. Fakt, że mnie nie zabili, gdy po raz drugi wpadł im w ręce, świadczy o ich wielkiej łagodności. Wydostawszy się na powierzchnię księżycy, w tym samym kraterze, gdzie wylądowaliśmy, musieliśmy się rozejść, ażeby odnaleźć aparat. Odrazu natknąłem się na tłum selenitów, pod dowództwem dwóch, zupełnie inaczej niż tamci wyglądających: głowy mieli znacznie większe, ciała mniejsze, odzież staranniejszą. Usiłując uciec przed nimi, stoczyłem się w jakąś rozpadlinę, przyczem silnie rozbiłem głowę i złamałem nogę w kolanie, skutkiem czego nawet pełzać nie mogłem; posta-

nowilem więc oddać się im na łaskę i niełaskę. Widząc moje położenie bez wyjścia, przenieśli mnie znowu do wnętrza księżycy. O Bedfordzie nie słyszałem już nic więcej, nie wiem, co się z nim stało. Nikt z selenitów nie widział go wcale. Być może zastała go noc na powierzchni księżycy, ale prawdopodobniej znalazł aparat i chcąc wykraść mój wynalazek, odjechał sam jeden na Ziemię; jednak nie sądzę, aby mu się plan udał wykonać; nie umiając kierować aparatem, pewnie zginął gdzieś w międzyplanetarnych przestworzach...“

Potem mr. Cavor wielkodusznie wspomina o mnie i przechodzi do bardziej interesujących rzeczy. W roli wydawcy jego listów oczywiście nie zniżę się do wrogiej z nim polemiki, jednak trudno mi nie zaprotestować przeciw fałszywemu jego oświetlaniu faktów. Nie wspomina naprzykład, zupełnie o zawalanej krwią swojej notatce, w której te wypadki inaczej trochę przedstawiał. Pełna dostojęstwa rezygnacja pojawiła się może dopiero teraz u niego, gdy uczuł się zupełnie bezpiecznym między selenitami. Co zaś się tyczy mojej chęci „skradzenia mu wynalazku“, czytelnicy mogą sami osądzić, wiele w tem jest prawdy. Nie uważam się za wzór wszelkich ludzkich doskonałości, ale plagiatorem również nigdy nie byłem i nie będę.

Oto zresztą wszystkie moje pretensje do niego; w dalszych swoich listach zupełnie o mnie nie wspomina, dlatego też mogę oddać ich treść całkiem obiektywnie.

Prawdopodobnie selenicy przenieśli go do środka księżycy przy pomocy jakiegoś „balonu“ przez „wielki szyb“. Z zawikłanego nieco miejsca listu, w którym to opisuje, oraz z kilku okolicznościowych wzmia-

nek i wskazówek późniejszych, wywnioskowaliśmy, że był to „wielki szyb“, należący do całego olbrzymiego systemu sztucznych kanałów, które prowadzą z księżycowych kraterów do odległego o sto mil od powierzchni centrum satelity. Szyby te połączone poprzecznymi tunelami, rozgałęziają się niezliczoną ilością pieczar i ogromnych kulistych przestrzeni; cała masa księżyca na sto mil w głąb stanowi rodzaj skamieniałej, gigantycznej gąbki. „W części, — mówi Cavor — gąbczastość jej jest naturalną, głównie jednak stanowi wytwór niesłychanej pracy i przemysłowości selenitów. Od najdawniejszych czasów kopali te szyby, nasypując dokoła ich zewnętrznych otworów wysokie wały ziemne, uważane przez ziemskich astronomów za kratery wygasłych wulkanów.“

Jednym z takich szybów selenici spuścili Cavora „w balonie“, jak mówi, wśród zupełnej ciemności w jasno oświetloną przestrzeń. Jak na uczonego, Cavor zbyt pobieżnie traktuje w listach swoich różne szczegóły, mogliśmy jednak z jego słów wywnioskować, że światło to pochodzi od potoków i wodospadów, „na pewno, zawierających w sobie jakieś fosforyzujące organizmy.“ W miarę zbliżania się do środka księżyca, liczba ich rosła, wszystkie bowiem wpadają do Centralnego morza. Nawet „sami selenici zaczęli coraz silniej fosforyzować“ — mówi Cavor. Wreszcie daleko gdzieś w głębi dojrzał jakby olbrzymie jezioro chłodnego ognia — to fale Centralnego morza przelewały się, świecąc, jak „jasno błękitne mleko, kipiące.“

„Fale księżycowego morza“ — pisze w jednym z późniejszych listów — „są w ciągłym ruchu. Krążą ustawicznie dokoła osi księżyca; czasami wybuchają na morzu burze, wzbudzone chłodnemi wiatra-

ni, szalejącymi po całym tem mrowisku; woda morską świeci tylko podczas ruchu, w rzadkich chwilach zupełnej ciszy przybiera ciemnosiny odcień. Fale podnoszą się i opuszczają ciężko, jak roztopione masło; powstająca na nich piana wydaje blask nadzwyczaj silny. Selenicy pływają po swoim morzu w małych, wątych łódeczkach; pozwolono mi nawet zrobić małą wycieczkę morską przed podróżą do Wielkiego Władcy Księżyca.“

„Pieczary i tunele są ogromnie kręte. Większą ich część znają tylko wytrawni przewodnicy z pośród rybaków, tak, że selenicy nierzadko przepadają na zawsze w zawikłanych labiryntach planety. W najbardziej oddalonych zaułkach, jak mi mówili, żyją jakieś dziwne, potworne stworzenia, których mimo całej swej wiedzy dotychczas nie zdołali wytepić. Do nich zaliczają Rapę — tworzącą cały splot macek, olbrzymich ssawek, po odrabaniu odrastających w nowej postaci i Tzie — jadowitego potwora, który niewidzialnie przemyka się, zabijając dotknięciem.

„Podczas jednej z wycieczek — pisze — miałem wrażenie, że znajduję się w jaskini mamutów. Gdyby zamiast sinego światła, błyszczała żółtym płomieniem pochodnia, a na przodzie łódki, w miejscu selenita kierującego maszyną stanął rybak z wiosłem, przypuszczałbym, że wróciłem znowu na ziemię. Dookoła zwieszały się różnorodne nawiry skalne, raz sine z żółtymi żyłkami, to znowu błyszczące jak pokłady szafirów. W głębi przemykały fosforyzujące ryby, przeróżnych kształtów i rozmiarów. Łódka mknęła handlowemi drogami, uchodzącemi w dal głęboką perspektywą rzeki, pełnej przystani, to przepływała obok otworów wielkich szybów, rojących się ruchliwym tłumem.“

„W szerokim miejscu zalewu zgromadziło się mnóstwo rybackich łódek. Długo lubowałem się pracą rybaków, ciągnących niewód. Byli to maleńcy, do chrabaszczów podobni ludzie, o długich, widocznie bardzo silnych rękach i krzywych nóżkach. Praca była pewnie trudną, bo niewód, obwieszony złotymi ciężarkami wydawał się ciężkim, tem bardziej, że musieli wyciągać go z wielkiej głębiny, gdyż większe i jadalne ryby nie pokazują się tu na powierzchni. Wyciągnięte nakoniec na brzeg, błyszczały swą łuską, jak drogocenne kamienie.“

„Prócz ryb, wpadły w niewód jakieś czarne, opatrzone mnóstwem ssawek potworne stworzenia, o złych oczach, rzucające się dziko. Rybacy pojawienie się ich przyjęli krzykiem i gwizdem; natychmiast zaczęli je rąbać toporkami. Jednak odrąbane kawały długo miotają się wściekle po ziemi. Później, podczas ataku febry, widziałem w gorączce ich złe oczy i straszne ruchy; były to najbardziej złośliwe i wstrętne stworzenia, jakie dotychczas widziałem na księżycu...“

„Płaszczyzna Centralnego morza oddalona jest od powierzchni księżyca najmniej o dwieście mil. Wszystkie księżycowe miasta, jak słyszałem, są rozłożone w nadbrzeżnych pieczarach, łączących się z powierzchnią szybami, zakończonemi kraterem. Zastłonki takich szybów widziałem jeszcze przed pojmaniem.“

„O warunkach życia na kresach księżycowego świata wiem bardzo niewiele. W pieczarach pod powierzchnią, prawdopodobnie znajdują się obory nocne dla krów i rzeźnie, jedną z których przypadkowo zwiedziliśmy z Bedfordem, przyczem nie mogliśmy, oczywiście, wstrzymać się od walki z rzeźnikami.“

Później widziałem, jak balony, wypełnione mięsem, opuszczają się szybami. Dotychczas zresztą tyle wiem o szczegółach księżycowego życia, ile wiedziałby Zulus, żyjący w Londynie o szczegółach ekonomicznych stosunków Anglii. Szyby jednak widocznie służą nie tylko do połączenia różnych piąter tuneli, ale także do wentylacji księżycy. Doskonale pamiętam, że po wypuszczeniu mnie z więzienia, chłodny wiatr wiał z góry, a podczas mej febry, gorący podmuch szedł z dołu. Febra napadła mnie w trzy niedziele po wypuszczeniu z turmy i mimo snu i chininy, którą na szczęście znalazłem przy sobie, męczyła mnie długo, aż do dnia, w którym przedstawiono mnie Wielkiemu Władcy Księżyca.

„Nie będę rozwodził się nad całą nędzą mego życia podczas choroby...” — mówi i mimo to bardzo dokładnie i szczegółowo opisuje wszystkie jej stadja. „Temperaturę ciała” — kończy — „długi czas miałem nienormalnie wysoką, straciłem zupełnie apetyt. Przerwy tętna, męczące widziadła senne, sprawiły, że ogarnęła mnie szalona, prawie histeryczna tęsknota za ziemią. Bezustannie marzyłem o tem, aby ujrzeć jeden jakiś kolor, przerywający ten wieczny siny blask...”

Potem znowu przechodzi do opisu gąbczastego stroju księżycy i składu wewnętrznej jego atmosfery. Astronomowie i fizycy stwierdzili, że jego opis potwierdza w zupełności nasze hipotezy o księżycu a mr. Wendigeo oświadczył, że gdyby mieli tylko odwagę i fantazję przeprowadzenia śmiałych konkluzyj, dawno mogliby przepowiedzieć wszystko to, co Cavor donosił. Teraz wiedzą już na pewno o tem, że księżyc i ziemia, jak zresztą i wszystkie inne planety, składają się z jednej i tej samej materji; a więc mniej-

sza gęstość księżycyca nie zależy od niczego innego, jak tylko od gąbkowatego jego ustroju, od niezliczonego mnóstwa pieczar i tuneli w jego masie. A ponieważ księżyc jest wewnątrz pusty, zupełnie łatwo da się wytłumaczyć brak wody i powietrza na jego powierzchni. Woda musi skupić się około centrum planety, a powietrze rozchodzić się po tunelach i pieczarach, w których powinien dąć ustawiczny wiatr. A dzięki nierównomiernemu ogrzewaniu planety przez słońce, to z jednej, to z drugiej strony, ciśnienie powietrza w niej musi bezustannie się zmieniać i to w ten sposób, że w zewnętrznych galerjach panuje ciągły wiatr ze wschodu na zachód, a w centralnych z dołu w górę, zależnie zresztą od różnych urządzeń, wynalezionych przez selenitów.

XXIV.

Historja naturalna selenitów.

Depesze Cavora od szóstej do siedmnaściej, ostatniej, którąśmy wczoraj otrzymali tak mało wiążą się z sobą i tak są przepelnione powtórzeniami, że absolutnie nie można stworzyć z nich jednej całości. W naukowem wydaniu przytoczymy je dosłownie, tutaj podam tylko treść ich, własnymi słowami, od czasu do czasu cytując niektóre ustępy. Każde zdanie listu Cavora poddajemy surowej krytyce, przyczem ja, jako naoczny świadek, własnymi wspomnieniami nie mało pomagam mr. Wendigee; wiele miejsc bez mnie na pewno byłoby niezrozumiałych. Bezwarunkowo więcej interesuje nas społeczeństwo selenitów, wśród których Cavor zdaje się, zajął miejsce znakomitego gościa, aniżeli fizyczny ustrój planety, dostatecznie już nam znany.

Mówiłem już, że selenici przypominają człowieka tem, że mają cztery kończyny i chodzą na dolnych, trzymając ciało w pozycji pionowej; z ogólnego wyglądu, z kształtu głowy i stawów oraz z odzieży, jaką noszą, przypominają wielkie mrówki. Wspomniałem także, że dzięki mniejszemu naprężeniu siły przyciągania na księżycu, organizm ich jest bardzo słabym. i jeśli można tak się wyrazić, nietrwałym. Cavor

wszystko to potwierdza. „Zwierzęta księżycowe — mówi — należą do klasy owadów, których ziemskie gatunki „na szczęście dla ludzi nigdy nie odznaczały się wielkością“ — największe z nich nie przekraczają długości sześciu cali. „Tutaj zaś — mówi Cavor — przy mniejszej sile przyciągania dosięgają rozmiarów człowieka i nawet je przenoszą.“

Nie porównywa selenitów z mrówkami, jednak mnie jedynie to porównanie wydaje się trafnem; odpowiada mu bowiem i zewnętrzny ich wygląd i bezustanna ruchliwość, socjalna organizacja, wreszcie różnorodność płci wśród obywateli księżycy. Istnieją między nimi nie tylko mężczyźni i kobiety, ale i bezpłciowe istoty — żołnierze, robotnicy etc.; różniące się ustrojem fizycznym, charakterem i rolą wyznaczoną w społeczeństwie, do którego wszyscy jednakowo należą. I nie tylko rozmiary ciała odróżniają ich od mrówek, ale rozum, etyka i wiedza; cechy te zdaniem Cavora, posiadają w znacznie wyższym stopniu niż ludzie.

Wspomniałem już o różnicach w zewnętrznym wyglądzie selenitów, których spotykaliśmy na kresach księżycowego świata; były one mniej więcej takie, jak między oddzielnymi rasami rodu ludzkiego; Cavor jednak mówi, że niczem były wobec różnic zachodzących w istocie. Selenicy kresowi należeli tylko do jednej rasy, zajmującej się hodowlą krów, rzeźnictwem etc., wewnątrz księżycy żyje niezliczone mnóstwo różnorodnych ich gatunków, należących mimo różnic do jednego typu. Księżyc jest rzeczywiście rodzajem wielkiego mrowiska, tylko, że zamiast czterech czy pięciu kategorii mrówek-robotników, żołnierzy, samców, samic i niewolników — posiada ich kilkaset, różniących się znacznie między sobą.

W jednym z listów Cavor pisze, że selenici napadli go i schwytali wkrótce po rozstaniu się ze mną. Szli gromadą z dwoma dowódcami na czele, o większych głowach i krótszych nóżkach. Widząc, że nie może się ruszyć z miejsca, przenieśli go do tunelu, a potem przez mostek, z jednej deszczułki do czegoś w rodzaju windy. Był to powietrzny balon, niewidzialny w ciemności, nie mogłem go więc zauważyć. To zaś, co wydawało mi się długim mostem nad przepaścią, było króciutkiem przejściem z tunelu w balon. W ten sposób wpuścili go w jasno oświetlone wnętrze księżycy. Zrazu panowała głucha cisza, przerywana słabym szczebiotem przewodników, potem szmer stawał się coraz wyraźniejszy, przechodząc w zgiełk i hałas. Oczy powoli przywykły do zmroku. W siódmej depezy tak opisuje zjazd:

„Przedstawcie sobie wielką, cylindrowatą szachtę, o przekroju ćwierćmilowym, z szeroką, spiralną platformą, wijącą się przy ścianach. Wyobraźcie sobie olbrzymią i szeroką spiralną klatkę schodową, z windą w środku, powiększcie ją tysiąckrotnie i wyobraźcie sobie, że w górze oświetlono ją bardzo słabo, w dole zaś silnie, a patrzycie na nią przez sine szkło windy w dół, czując nadzwyczajną lekkość i zupełny brak zawrotu głowy. Wówczas dopiero będziecie mogli zrozumieć cały nawał wrażeń, jakie odnosiłem przy początku zjazdu. Schody w tym wypadku zastępowała szeroka, bardzo kręta platforma, ogrodzona niską balustradą.“

„Wiatr dał z góry, przynosząc oddalony ryk krów, przed chwilą zagnanych w obory z powierzchni księżycy. Na platformach i w otworach tłoczyli się księżycowi obywatele, mrówkowate, fos-

foryzujące istoty, ciekawie nam się przyglądając lub też pracując nad czemś.

„Czy zdawało mi się tylko, czy też rzeczywiście spadło parę płatków śniegu, a wślad za nimi zjechała na spadochronie mała figurka selenita.“

„Wielkogłowy przewodnik, siedzący obok mnie, zauważył, że z zajęciem przyglądam się wszystkiemu i milcząc wskazał „ręką“ na występ skalny, widoczny w dali pod nami. Była to przystań balonów. W miarę zbliżania się do niej szybkość słabła, wreszcie stanęliśmy. Zrzucano łańcuch, przyciągnęli nas. Po chwili stałem wśród tłumu selenitów, którzy ze zdumieniem mi się przyglądali.“

„Tutaj dopiero uderzyła mnie różnorodność typów ludu księżycowego. Trudno było znaleźć dwie zupełnie jednakowe jednostki; różnili się między sobą kształtem i rozmiarami. Jedni: grubi i wysocy; drudzy tak małego wzrostu, że mogliby swobodnie biegać między nogami towarzyszy; inni wreszcie chudzi, niezmiernej długości, gięcy jak żmije. Wszyscy ogromnie dziwaczni, podobni do owadów, przedrzeźniających ludzi. Każdy odznaczał się nadzwyczajnem rozwinięciem jakiejś części ciała. U tego prawa ręka olbrzymio wyrosła; drugiego nogi stanowiły prawie całe ciało; trzeciego ogromny nos i wielkie przenikliwe oczy przypominały człowieka o jednym, niezmiennym wyrazie twarzy; robakowatych głów księżycowych pastuchów nie było widać. Ich głowy znacznie bardziej zbliżały się do ludzkich, dziwacznie zniekształconych. To wklęsnięte wdół, to wydłużone niezmiernie, to opatrzone rogami, dziwnego kształtu. U niektórych wasy i brody nadawały im ludzkie podobieństwo. Były i olbrzymie głowy, rozdęte jak pęcherz, były małe, jak

gruszka lub jabłko. Oczy różniły się również kształtem i rozmiarami. U jednych małe, wylupiate, ruchliwe, u drugich ogromne w głębokich orbitach, które stanowiły tylko podstawę dla oczu potężnych, jak świetlne latarnie. Bardzo zdziwiłem się, ujrzawszy w rękach niektórych parasole, zwyczajne ziemskie parasole u obywateli podziemnego świata i tak już skrytego przed deszczem i słońcem! Po chwili przypomniawszy sobie spadającego selenita w szachcie, odgadłem ich przeznaczenie.“

„Gromada księżycowa zachowywała się jak ludzie w podobnych wypadkach. Selenici tłoczyli się i pchali, wślizgiwali jedni drugim na plecy, aby mi się przyjrzeć. Z każdą chwilą tłum wzrastał i pchał się coraz bardziej na karki moich przewodników, dając mi sposobność badania coraz nowych typów. Wreszcie złożyli mnie na noszach i kilku tęgich tragarzy z wielkim trudem poniosło mnie naprzód. Dokoła siebie widziałem oczy, twarze, maski, słyszałem szmer, jakby pocieranej skóry i podobny do sykania świerszczów gwar selenitów....“

Dalej opisuje, że przenieśli go w sześciokątną komnatę i trzymali w niej, jak w więzieniu przez jakiś czas. Potem wypuścili go na wolność, jak obcokrajowca w cywilizowanym państwie. Mistyczna istota, władająca księżycem przydzieliła mu dwóch wielkogłowych selenitów, mających nad nim czuwać, uczyć go i próbować z nim porozumienia. Najdziwniejszem zaś było, że obaj olbrzymi mrówkoludzie, szybko zaczęli rozumieć język angielski.

Cavor nazywał ich Phi-U i Tsi-Puff. Phi-U odznaczał się pięciostopowym wzrostem; nóżki miał cienkie, ośmnastocalowej długości, stopy małe jak wogóle u selenitów; na nóżkach spoczywał krępy

tułów pulsujący wraz z sercem; ręce długie, o wielu stawach, miękkie, zakończone kłębami palców; szyja krótka, bardzo gruba, łuskowata. „Głowa“ — pisze dalej, nawiązując do jakiejś zaginionej depechy — „wyżej opisanego typu, trochę zmodyfikowana. Twarz bez wyrazu, mała opatrzona po bokach niewielkimi krągłymi oczkami. Reszta głowy rozdęta jak pęcherz, pokryta cienką, półprzezroczystą, chytowną skórką, przez którą widać pulsację mózgu. Słowem Phi-U jest istotą o niepomiernie rozwiniętym mózgu, przyczem reszta organizmu napół zatropizowana.“ W innym miejscu porównywa postać jego z tyłu do Atlasa, dźwigającego kulę ziemską.

Tsi-Puff, podobny do towarzysza, tylko twarz miał wydłużoną, a głowa, dzięki nieco innemu rozwojowi mózgu przybrała kształt gruszki, podstawą zwróconej ku górze.

Prócz nich, otoczenie jego składają tragarze, barczyste, niskie stworzenia, kilku pająkowatych stróżów i płaskostopy, głupi o małej głowie służący.

Sposób, na który wpadł Phi-U i Tsi-Puff, ażeby nauczyć się języka angielskiego, był bardzo prosty.

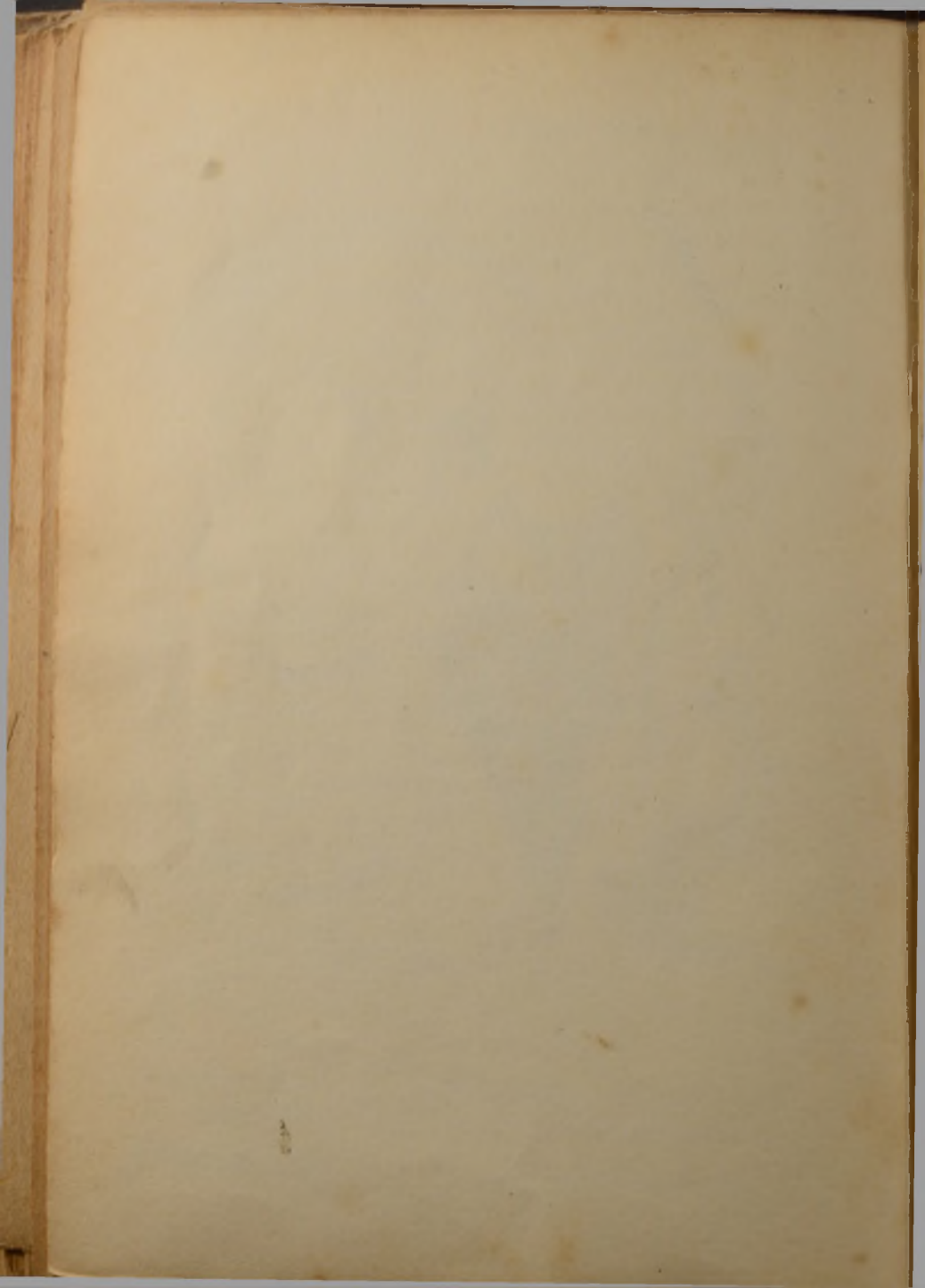
Przyszedłszy do „sześciokątnej komnaty“, w której znajdował się Cavor, zaczęli naśladować każdy słyszany dźwięk, zaczynając od kaszlu. Cavor od razu zrozumiał cel ich usiłowań i zaczął nazywać wszystkie otaczające przedmioty. Po kilku takich lekcjach Phi-U sam powtarzał już usłyszane słowa. Pierwszem było słowo „człowiek“, drugim „księżycowy“. Tem chciał Cavor zastąpić trudny dla nich wyraz „selenit“. Nauczywszy się sam, Phi-U powtarzał je towarzyszowi. W krótkim czasie włądali stu prawie wyrazami.



Po chwili stałem wśród tłumu selenitów, którzy ze zdumieniem mi się przyglądali. Str. 198.

(Pierwsi ludzie na księżycu.)

FOTODARMUŁA DRUKARNIA PRZESZKWA
ul. WOLICZKA 9, POZNANŃ



Aby ułatwić naukę, przyprowadzili ze sobą artystę, doskonale rysującego wszystkie otaczające ich przedmioty. „Malarz ten“, jak pisze Cavor, „posiadał zupełnie normalnie rozwinięte ręce i inteligentny wyraz twarzy.“ Rysował bardzo szybko.

Jedenasta depesza Cavora okazała się bardzo powikłaną, niejasną i dziwną, prawdopodobnie skutkiem jakichś przyczyn astronomicznych. Można z niej było zrozumieć tylko następujący ustęp:

„...Szczegółowy opis przebiegu tych lekcyj mógłby zainteresować tylko filologa, a i tak trudnoby je było mu pojąć. Czasowniki łatwo zrozumieli, zwłaszcza czynne, które można było wyrazić rysunkami i ruchami ciała; przymiotniki niektóre poszły bez trudu, ale gdyśmy przystąpili do oderwanych rzeczowników, do przyimków i zaimków oraz przymiotników, tak często używanych na Ziemi, trudno było z miejsca ruszyć. Wezwano jeszcze jednego pomocnika z ogromną głową, widocznie specjalistę w analogiach i zawikłanych, filozoficznych zagadnieniach. Zupełnie jak nasi ziemscy filozofowie okazał się roztargnionym i niezręcznym: potykał się o stolki, długo nie rozumiejąc, czego od niego żądają i t. d. Pojawszy wreszcie, okazał tak niesłychaną przenikliwość, że wszystko poszło bardzo łatwo. Objasnienia swoje tłumaczył przedewszystkiem Tsi-Puffowi, który doskonale wszystko pamiętał; był on rodzajem żywej encyklopedji różnych wiadomości.“

„Po kilku dniach uczniowie moi do tego stopnia przyswoili sobie język angielski, że mogłem już z nimi trochę rozmawiać. Zrazu ledwieśmy się rozumieli, potem szło coraz lepiej. Prawda, że koło pojęć, wśród których obracamy się, jest bardzo ciasne, ale dzięki Bogu i za to. Phi-U z olbrzymim, myślowym

wysiłkiem wydaje najpierw zawsze dźwięk „M'm — M'ns“, potem zaczyna mówić, przeplatając mowę frazesami „jeśli mogę się tak wyrazić“, albo „rozumiesz mnie“.

„Tak, na przykład, przedstawił mi rysownika:

„M'm — m'm — on — jeśli mogę się tak wyrazić — rysować. Mało jeść — mało pić — rysować. Lubić rysować. Nic innego. Nienawidzić tych, którzy nie rysować dobrze. Gniewać się. Nienawidzić, kto rysować lepiej niż on. Wszystkich nienawidzić. Nienawidzić wszystkich, którzy nie rozumieć, cały świat dla rysunku. Gniewać się. M'm. Wszystko dla niego nie, tylko rysować. Lubi cię... ..rozumiesz... nowa rzecz rysować. Wstrętna — dziwaczna. Eh?

„Wskazując na Tsi-Puffa, Phi-U dodał: M'm — m'm. Lubić pamiętać słowa. Świetnie pamiętać niż inni. Myśleć — nie, rysować — nie. Pamiętać. Mówić — tu zwrócił się o pomocnicze słowo do towarzysza — historje — wszystkie rzeczy. Raz słyszeć — mówić zawsze.

„Niema nic dziwniejszego, niż słyszeć te cudaczne stworzenia; nawet bliższe poznanie ich nie zdołało zatrzeć we mnie wrażenia, że znajduję się w towarzystwie jakichś potwornych owadów, rozmawiających, pytających, widać, że usiłują nauczyć się mowy ludzkiej. Czuję, że wracam do dzieciństwa, że wierzę w bajki, w których konik polny rozmawia z mrówką głosem ludzkim.“

Lingwistyczne usiłowania Cavora przyczyniły się do jego oswobodzenia. „Rozumne starania moje rozproszyły strach wywołany nieszczęsną potyczką z selenitami... Pozwalają mi wychodzić, gdzie chcę, a pilnują mnie tylko dla mojego dobra. W ten spo-

sób znalazłem dostęp do elektrycznych aparatów, i posługując się wynalezionemi przez siebie sposobami, przesyłam depeszę na Ziemię. Nikt mi nie przeszkadza, chociaż Phi-U doskonale rozumie, dokąd kieruję sygnały.

„— Rozmawiasz z drugimi? — spytał pewnego razu uważnie śledząc moją robotę.

„— Z drugimi — odrzekłem.

„— Z drugimi? — powtórzył, — Tak, ludzie?

Ta krótka rozmowa była przyczyną przerwania wczorajszej depeszy.“

My zaś z mr. Wendigee zupełnie jej nie otrzymaliśmy.

Czasami Cavor dodaje poprawki poprzednich depesz, jeśli okaże się, że dzięki niezupełnemu poznaniu życia na księżycu zrozumiał coś fałszywie. Dlatego też nie można wszystkiego brać bezkrytycznie. Prosimy o zapamiętanie tej uwagi przy czytaniu fragmentów dziewiątego, trzynastego i siedemnastego pisma.

„Na księżycu — pisze — każdy obywatel ma wyznaczone dla siebie miejsce, i nie tylko do objęcia tego miejsca urodzeniem już, ale i starannie opracowanym systemem wychowania tak przystosowany, że wszystkie niepotrzebne mu organy zanikają. „Na cóż mu to?“ — spytałby na pewno Phi-U, gdybym wyraził zdziwienie, że jego towarzysz nie umie rysować ani myśleć. Jeśli selenit przeznaczony jest na matematyka, wychowawcy jego zwracają swe usiłowania tylko w tym kierunku. Przygluszają w uczniu wszelkie dążenia ku czemuś innemu, rozwijając jego matematyczne zdolności do rozmiarów niesłychanych na Ziemi. Tylko ta część mózgu rozrasta się, w której tkwią te zdolności, cały zaś or-

ganizm pozostaje nierozwiniętym, o ile to tylko możliwa bez narażenia życia. Koniec końców wyrabiają się jednostki, dla których całą rozkoszą istnienia jest wypełnienie swych obowiązków. Nic więc dziwnego, że selenici różnią się tak ogromnie między sobą zewnętrznym wyglądem. Nadmierne rozwinięcie jednej jakiejś zdolności i organów jej odpowiadających, z uszczerbkiem dla innych, czyni każdego selenita dziwołagiem, całkiem jednak zastosowanym do wypełnienia swej roli w społeczeństwie, żyjącym i rozkoszującym się nią tylko. Innych nie tylko nie ceni, ale nie widzi nawet.

„Na czele tego oryginalnego społeczeństwa stoją wielkogłowi arystokraci, a nad nimi — gigantyczny intelekt, istota półmistyczna — Wielki Władca Księżyca, któremu wkrótce zostaną przedstawiony. Bezgraniczne rozwinięcie rozumu, a właściwie mózgu, u arystokratów tłumaczy się brakiem czaszki, ograniczającej u ludzi możliwość rozwijania się ciągłego. Chytonowa powłoka ich głowy jest delikatna i rozciągliwa.“

„Arystokracja dzieli się na trzy klasy, odróżniające się między sobą wpływami i powagą w społeczeństwie. Do pierwszej należą administratorowie, za których wzór służyć może Phi-U; są to selenici o wielkiej inicjatywie i obrotności; każdy z nich jest odpowiedzialnym za pewny obszar masy księżycowej; do drugiej zaliczają ekspertów, czy doradców, w rodzaju mego wielkogłowego filozofa, wytresowanego do rozwiązywania łamigłówek; do trzeciej wreszcie należą uczeni, jak Tsi-Puff, służący za składy przeróżnych umiejętności. Tsi-Puff na pewno będzie teraz na księżycu pierwszym profesorem języków ziemskich. Nietrudno zrozumieć, że tacy uczeni.

o niesłychanej pamięci, uwalniają mieszkańców księżyca od konieczności posługiwania się księgami i środkami naukowemi. Cała wiedza na księżycu zawarta jest w żywych mózgach, nie potrzeba więc ani też niema bibliotek, etc..“

„Mniej wyspecjalizowani administratorowie bardzo żywo interesowali się mną, ilekroć zdarzyło się im z nami spotkać i zasypywali Phi-U'a pytaniami. Chodzą zwyczajnie, otoczeni całą świtą sług, tragarzy, heroldów etc. Eksperci najczęściej nie zwracają na mnie całkiem uwagi (jak na nikogo zresztą), a jeśli mnie przypadkiem dostrzegą, zaczynają gwarliwie dysputy, pewnie oceniają mnie z filozoficznego punktu widzenia i gadają, gadają bez końca. Uczeni, nadzwyczajnie uprzejmi, przesadzają się w usługach i grzecznościach, łatwi do zgody i zarozumiali nadzwyczajnie, nie znoszą jedynie zarzutu nieumiejętności. Wędrują również w otoczeniu świty, w której skład często wchodzi małe, ruchliwe istotki płci żeńskiej, prawdopodobnie ich żony. Sami jednak ci uczeni ludzie nie mogą chodzić, noszą ich przeto na noszach, niby jakieś kruche klejnoty. Idąc tu, do aparatów elektrycznych spotkałem jednego — ogromna, naga, cienką skórą porośłą głowa ledwo trzymała się na małym tułowiu. Wokoło — służba, ciekawki i chwalcy jego sławy i uczoności.“

„Wogóle arystokratów wszędzie poprzedza świta, siła mięśni, zastępująca im własną. Składają ją zwykle tragarze ze spadochronami i innemi przyborami do podróży, szybkobiegowie na długich nogach i heroldowie, władający zdrowem gardłem. Cały ten tłum rządzi się i kieruje intelektem swego pana, bez którego staje się bezbronnym i bezpomocnym, jak złożony parasol, stojący w kącie przed-

pokoju. Niższe klasy na księżycu istnieją tylko jako narzędzia; rola ich — słuchać i wykonywać rozkazy, a całe ich życie ogranicza się tylko do wypełnienia tej roli i zaspokojenia elementarnych potrzeb.“

„Olbrzymia większość ludności księżyca należy do liczby takich robotników. Są to ludzie-maszyny w dosłownem znaczeniu, wyspecjalizowani do prac różnego rodzaju. Pastuchy, na przykład, mają tylko jeden palec u rąk, tragarze i tym podobni robotnicy — po pięć, sześć, nawet siedem. Niektórzy pracujący przy dzwonach i innych tego rodzaju aparatach, opatrzeni są ogromnemi uszami, w kształcie zajęczych i umieszczonemi z tyłu oczu; inni, zajęci chemją, posiadają olbrzymi organ węchowy; robotnicy w hutach szklanych wyglądają jak rozdęty, wielki miech kowalski — do tego stopnia rozwinięte mają płuca. Słowem, każdy przystosowany jest do zajęcia, jakiemu się oddaje. Do wykonywania subtelnych robót na księżycu, istnieją delikatnie zbudowani pracownicy, maleńcy, ogromnie czuści. Niektórych mógłbym chyba na dłoni utrzymać. Są też selenicy — motory, których obowiązkiem jest służyć pociągową siłą przy drobnych robotach. A do strzeżenia ludności i pilnowania porządku w pracy jednostek służą muskularni olbrzymi (w stosunku do innych oczywiście), stanowiący rodzaj policji, wytresowanej w bezwzględnem posłuszeństwie dla wielkogłowych.“

„Specjalizacja żywych stworzeń przechodzi, na pewno, cały szereg nadzwyczaj ciekawych procesów, z którymi nie zdołałem się dotychczas zaznajomić. Niedawno, zresztą, spotkałem dużą grupę młodych selenitów, których całe ciało z wyjątkiem rąk, nóg, i głowy, obwiązane było, a raczej wciśnięte w rodzaj kleszców, aby uczynić ich długimi

i cienkimi, co da się uskutecznić przy pomocy pewnych mechanizmów. Jeśli chodzi o rozwinięcie ręki, zajmują się nią oddzielnie, nie zwracając uwagi na resztę ciała, poją jakimiś wstrzykiwaniami i drażnią elektrycznością. Phi-U, jeśli go dobrze zrozumiał, przyznaje, że zrazu stan taki wydaje się męczarnią, potem jednakże można przywyknąć. Pokazywał mi nawet, jak kształcą szybkobiegów, widok ten jednak wywarł na mnie przykre wrażenie. Spodziewam się, że zczasem do tego przywyknę i będę mógł badać szczegóły dziwnego porządku socjalnego na księżycu, bez głupich jakichś czułości. Właściwie, mimo całego bólu, jaki sprawia młodemu pokoleniu wykręcanie nóg naprzykład, w celu przerobienia go w maszynę, całe to urządzenie znacznie jest rozsądniejsze, aniżeli u nas na Ziemi, gdzie pozwalamy dzieciom wyrość na ludzi, aby potem ich zacząć przekształcać w maszyny.“

„Niedawno, mniej więcej między jedenastą a dwunastą depeszą zdarzyło mi się przypadkowo być świadkiem sceny z życia ludności robotniczej na księżycu. Zamiast zwykłą drogą po spiralnej galerji i rzece, powiedli mnie krótszą przez tunele i pieczary. W jednej z nich, bardzo obszernej, niskiej, jasno oświetlonej fosforyzującymi grzybami, w rodzaju muchomorów olbrzymiej wielkości, ujrzałem scenę, o której mówię:

— Ludzie księżycowi to jedzą? — spytałem Phi-U'a, wskazując na grzyby.

„— Tak — pokarm.

„— Mój Boże! Co to? — krzyknąłem, potknąwszy się o ciało ogromnego selenita, nieruchomie leżącego wśród pni grzybnych. — „Trup, czy co? — (dotychczas nie widziałem trupa na księżycu).

„— Nie. — odrzekł Phi-U. — Jemu... robotnik. Nie ma roboty. Trochę pijany... śpi teraz, póki nie potrzebny. Pocóż go budzić? Niepotrzebny.

„— A tu drugi! — zawołałem.

„Okazało się, że cała pieczara zasypana, jeśli nie martwemi, to napół martwemi ciałami, czekającymi, póki ich nie wezwą do pracy. Zacząłem oglądać ich zbliska, dotykać, oni jednak wzdychali tylko ciężko, nie budząc się zupełnie. Widok jednego z nich uderzył mnie szczególnie, gdyż postać jego była bardzo podobna do ludzkiej. Bardzo muskularne ręce opatrzone były cienkimi palcami, widocznie do delikatnej pracy, a w pozie ciała tkwiło rozpaczliwe jakieś poddanie się losowi. Bez wątpienia wrażenie to było błędne, nie mogłem mu się jednak opędzić. Gdy Phi-U lekceważąco odsunął go nogą w ciemny kąt, zrobiło mi się tak nieprzyjemnie, jak gdyby przez ten czyn odezwał się w nim znowu robaczy instynkt.“

„Niestety nieprzyjemność, jaką odczuwałem, jest tylko wynikiem bezmyślnego sposobu przyjmowania wrażeń. Bo na pewno lepiej jest niepotrzebnego narazie robotnika spoić i na bok usunąć, aniżeli wyrzucić go na ulicę, na głód i nędzę. W każdym skomplikowanym, socjalnem społeczeństwie muszą od czasu do czasu powstawać chwile nie dającego się usunąć zastoju w pracy, w ten sposób niepokoje zagadnienia „pozbawionych pracy“ kategorycznie są usunięte. A mimo to nawet wykształcone duchy nasze tak są nierozsądne, że wspomnienie tych spokojnych jasnych arkad jaskini, świetlnych porostów i śpiących postaci, tak mi jest niemiłe, że poświęcam nawet krótszą i wygodniejszą drogę dla uniknięcia przykrego widoku.“

„Dalsza droga, którą chodzę, prowadzi przez wielką, mroczną pieczarę, stale szumiącą rozgwarem tłumów. Ściany jej usiane otworami, wiodącymi do sześciokątnych komnat, w rodzaju komórek pszczelnych w ulu. Z komnat tych wychodzą, gromadząc się w środkowej wielkiej sali kobiety, matki księżycowego ula, wybierające tam zabawki dla dzieci i amulety, sporządzone przez bezgłowych prawie, nadzwyczajnie zręcznych jubilerów, pracujących nieopodal. Kobiety te pełne jakiegoś dostojęstwa w ruchach, odziane fantastycznie, bogato, bardzo pięknie; niestety prawie zupełnie pozbawione są głów.“

„O stosunkach małżeńskich, wychowaniu dzieci etc. — nic jeszcze nie wiem. Mam nadzieję jednak, że dowiem się o tem wszystkiem od Phi-U'a, gdy trochę lepiej będzie władał językiem angielskim. Zdaje mi się, że między selenitami, jak u pszczół lub mrówek, istnieje wiele stworzeń płci nijakiej. Przecież i u nas, po miastach jest wielu ludzi, pozbawionych rodziny, tutaj pośród mrówek księżycowych istot takich jest olbrzymia ilość. Jeślim dobrze zrozumiał objaśnienia Phi-U'a, matki księżycowe, istoty zupełnie odmiennego typu, nie są w stanie zupełnie troszczyć się i wychowywać maleństwa; okresy bezwolnej słabości mieszają się u nich z okresami gwałtownego szału, dlatego też jak najprędzej powierzają te małe stworzenia, miękkie, słabe, blade, opiece niezamężnych kobiet-pracownic, brzydkich z miejscowego punktu widzenia, zato opatrzonych zupełnie męskimi głowami.“

Niestety, ostatnia depesza Cavora kończy się na tem. Oczekujemy lada chwila dalszego ciągu. Choć listy te niesłychanie oderwane i niejasne, mimo wszystko dają pewne pojęcie o nieznanym nam i nad-

zwyczaj dziwnym świecie, z którym niedługo będziemy mogli wejść w bliższe porozumienia. Sygnały Cavora stanowią zaczątek olbrzymiej przemiany, jaka wkrótce nastąpi w losach ludzkości, która znajdzie na księżycu nowe elementy, nowe tradycje, całą burzę nowych idei, nową rasę dziwnych stworzeń, z którymi stoczymy walkę o władztwo i wreszcie... złoto, niesłychane masy złota.

Czy żyje Mr. Cavor?

Dwudziesty piąty maja. — Nagle nastąpiła przerwa w depeszach. Od trzech tygodni już nie mieliśmy żadnej wieści od Cavora, a ostatnia tak źle o losie jego wróżyła, że mimowoli opanowały nas smutne przeczucia.

W nieprzebaczalnym roztargnieniu skompromitował się zupełnie i być może naraził przez to swoją swobodę, a może nawet życie.

Przejrzawszy dwa ostatnie jego listy, czytelnicy sami będą mogli ocenić słuszność naszych przypuszczeń.

Pierwszy z nich bardzo obszerny, drugi zaś brzmi, jakby przerwany, nagły krzyk. W długim liście szczegółowo opisuje spotkanie z Wielkim Władcą Księżyca. Początek jego przesłany bez przeszkód, koniec nagle, niewiadomo czemu, urywa się. Druga depesza przyszła w tydzień po pierwszej.

Pierwsza wiadomość zaczyna się tak:

„Wreszcie mogę...” — potem następuje szereg niezrozumiałych znaków i znów jasna treść od połowy zdania: „w miarę zbliżania się do pałacu Wielkiego Władcy — jeśli pałacem nazwać można szereg pieczar — staje się coraz ciaśniej”, (prawdopodobnie

wskutek zebranych tłumów). „Ze wszech stron spoglądały na mnie oczy wielkie, wylupiaсте nad długimi wąsami, lub maleńkie, ledwo widoczne na olbrzymich łbach. W dole z pomiędzy nóg wielkich indywidualów, wylaziły małe stworzenia, tłocząc się, pchając na plecy, aby mnie ujrzeć. Przy wyjściu z łódki, którą płynęliśmy ku pałacowi, spotkał mnie znaczny konwój, złożony z wielkich selenitów o głowach w kształcie hełmów. Torował nam drogę wśród tłumów. Był tu i ów znakomity artysta z maleńką główką. Nieśli mnie na zwykłych noszach, sporządzonych z jakiegoś gietkiego metalu ze złotymi ozdobami. Słowem była to cała procesja.“

„Na czele szło czterech selenitów o trąbiastych ryjach, niby heroldów, wydając głośny ryk. Za nimi postępowali olbrzymi, podobni do pszczoł obywatele, w roli urzędników policji. Obok noszów wielkogłowi uczeni, żywa encyklopedia księżycowa, których zadaniem było, jak mówił Phi-U, dawanie objaśnień Wielkiemu Władcy (całą bowiem wiedzę tutejszą nosili w swoich głowach). Za mną na prostszych nieco niż moje noszach nieśli Phi-U'a i Tsi-Puff'a. Dookoła i z tyłu szli znowu policjanci, po bokach — konwój. Dalej ci obywatele z tłumy, którym wolno było stanąć przed obliczem Wielkiego Władcy, a więc korespondenci, historjografowie, obowiązani uczestniczyć przy wielkich uroczystościach i zapamiętać wszystkie ich szczegóły. Pochód zamykali heroldowie i dostojnicy; od tłumy oddzielały go szpalery wojska, błyszczącego złotymi pancerzami. Za szpalerem niezliczone morze selenitów.“

„Muszę się przyznać, że dotychczas nie oswoiłem się z zewnętrznym wyglądem selenitów i dziwnie przykro mi było płynąć nad falą podnieconych, tło-

czących się tych owado-ludzi. Czułem mimowolny strach, który mnie nigdy do tego stopnia nie napadał. Wiem, że strach ten bezpodstawny i będę się starał zczasem opanować go, wtedy jednak musiałem zebrać całą siłę woli, wpilem się silnie rękami w brzegi noszów, aby nie krzyknąć i nie narobić głupstw jakich. Zresztą nerwowe rozdrażnienie trwało wszystkiego kilka minut, potem zapanowałem nad sobą zupełnie.“

„Przez czas jakiś wspinaliśmy się ku górze, spiralną drogą, potem weszliśmy w amfiladę wielkich, sklepionych, bogato przybranych sal. Dzięki dostatecznemu oświetleniu zauważyłem, że sale te stają się coraz większe, coraz wspanialsze i przytem coraz ciemniejsze. Lekki zapach, unoszący się w powietrzu, stawał się silniejszym z każdą chwilą, jak gdyby zbliżanie się do Wielkiego Władcy Księżyca umyślnie osłonięte było mistyczną tajemnicą.“

„Cały ten przepych, przyznam się, zbił mnie trochę z tropu, sam bowiem rozbity, oberwany, brudny i nieogolony stanowiłem rażący z nim kontrast. Żyjąc na ziemi coprawda nie pamiętałem nigdy o swej powierzchowności; ale zjawiając się na księżycu, jako przedstawiciel rodzinnej planety, musiałem o tem pamiętać, że wszędzie przecież „jak cię widzą tak cię piszą!“

„Byłem tak pewny tego, że Księżyc jest niezamieszkały, że nie wziąłem ze sobą nawet brzytwy, a tem bardziej garnituru frakowego. Musiałem stanąć przed publicznością, jak byłem, starając się tylko zakryć brak garderoby mojej okryciem, którem undrapowałem się jak togą. Prócz tego sililem się, by zachować majestatyczną godność i imponującą postawę.“

„Wyobraźcie sobie teraz największą salę, jakąście w życiu widzieli, bogato ozdobioną sinawą i błękitną majoliką, sinem światłem oświetloną — pełną metalicznie błyszczących dziwacznych owadów, przeróżnych kształtów. Przedstawcie sobie, że sala ta kończy się odkrytym, szerokim łukiem, za którym na wysokości paru stopni widać drugą, trzecią... salę. Na krańcach tego rzędu sal widnieje szeroka platforma, jak rzymska Ara Coeli, ginąca gdzieś w górze. W miarę zbliżania się ku platformie zacząłem rozróżniać na samym jej szczycie szeroki, przepyszny łuk, pod którym stał tron Wielkiego Władcy Księżyca.“

„On sam zaś siedział jakby w obłoku, jasno oświetlonym sinym blaskiem; zdawało się, że się unosi w powietrzu. Wyglądał jak kłęb świetlnego obłoku, przewalający się na tronie. Otaczała go jasna aureola, a z tyłu spływały promienie siniego światła, nadając mu widok migotliwej gwiazdy. Wokoło tronu, z obłoku wyłaniały się sylwetki sług, podtrzymujących swego pana i niezliczona świta uczonych, administratorów, sędziów, pochlebców, wogóle high life'u księżycowego. Poniżej, na stopniach tronu stali heroldowie, policjanci, gwardja, a u podnóża platformy nieprzeliczony tłum selenitów, tłoczących się jak mrówki w mrowisku. Szedł od nich szum, jakby miljarde świerszczów.“

„Gdym wszedł do ostatniej sali, rozległa się gdzieś majestatyczna fanfara, głuszająca wszystkie dźwięki, tylko troje noszów uroczyście dźwigało się ku podnóżu olbrzymiej platformy; tutaj Phi-U i Tsi-Puff spiesznie zeskoczyli, prosząc mnie, bym pozostał na noszach; był to znak czci specjalnej. Gdyśmy wstąpili na platformę, muzyka ucichła, tylko świergot selenitów wzmógł się jeszcze. Nie mogłem oderwać

oczu od wyższego intelektu, ku któremu się zbliża-
łem.“

„Znowu widziałem tylko głowę, a raczej, czerep
← półprzezroczysty pęcherz kilku jardów przekroju,
wewnątrz którego falisto pulsowały tętna. Pod cze-
repem, na samym siedzeniu tronu odkryłem maleńkie,
żywe oczka. Twarzy zupełnie nie miał, tylko olbrzy-
mie czoło, maleńkie oczy uważnie na mnie patrzące,
przyczem dolna część czoła zlekka marszczyła się.
Z początku sądziłem, że ciało jego ogranicza się tylko
do głowy, potem dostrzegłem tułów, rączki i nóżki
tak nadzwyczaj małe, cienkie i przezroczyste, że gi-
nęły całkowicie pod ogromem głowy.“

„Wobec dziwaczności, ogromu i... przykrego wi-
doku tego potwora zapomniałem o tłumie selenitów
i o swoim położeniu.“

„W miarę wstępowania w górę, olbrzymia głowa
zasłaniała mi widok coraz bardziej. Dopiero o kilka
kroków przed tronem zauważyłem, że mnóstwo sług
nie tylko podtrzymuje ją, ale spryskuje wciąż jakimś
chłodzącym prawdopodobnie płynem. Oczy Wiel-
kiego Władcy, skierowane na mnie, oddziaływały nie-
pokojąco; znowu przestraszyłem się tak bardzo, że
już, już chciałem zeskoczyć z noszów i rzucić się do
ucieczki. Przypuszczam jednak, że nikt mego zdener-
wowania nie zauważył, nie pokalałem więc czci rodu
ludzkiego.“

„Przed samym tronem spuścili mnie na ziemię.
stałem i skłoniłem się obyczajem ziemskim. Nastą-
piła pauza, w czasie której uczeni moi przewodnicy,
rozmieściwszy się między mną a tronem, dawali ja-
kieś objaśnienia. Postawszy tak chwilę, na zaprosze-
nie Tsi-Puff'a siadłem na ziemi po turecku, przewod-
nicy zaś moi padli na kolana.“

Zapanował moment zupełnej ciszy. Wielki Władca jak poprzednio patrzył na mnie, świta zaś spoglądała w milczeniu raz na niego, to znów na mnie, w dole coraz silniej tłum szemrał.“

„Wreszcie i szmer ten ucichł; po raz pierwszy na Księżycu nie słyszałem najłżejszego szelestu.“

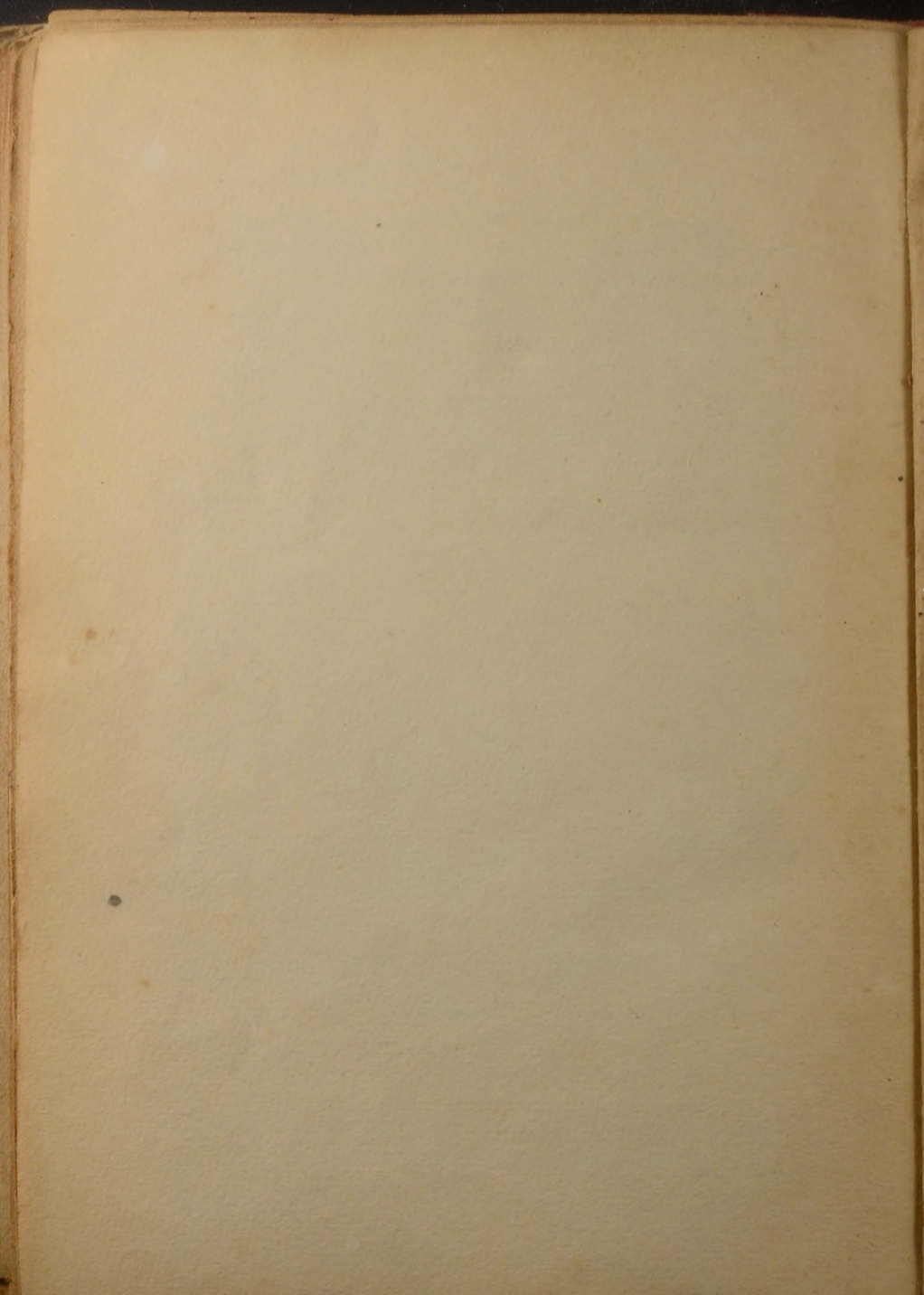
„Nagle, wśród zupełnej ciszy rozległ się słaby szum, jakby tarcia palcem po szkle; był to głos Wielkiego Władcy, zwracającego się ku mnie z pytaniem.“

„Póki mówił, patrzyłem na niego, mimowoli porównyując jego dziwną, słabą figurkę ze swoim własnym, krzepkim i muskularnym ciałem. Gdy skończył mówić, a słudzy zaczęły spryskiwać mu głowę, zwróciłem się do Phi-U'a, który miał służyć za tłumacza.“

„Phi-U, widocznie podniecony i drżący od bliskości wyższej istoty, porozumiewał się z Tsi-Puif'em. Skończywszy rozmowę, zwrócił się ku mnie i ogromnie nerwowo, bezładnie, zapominając widocznie ze strachu wyrazów angielskich, rzekł:“

„— M-m-m... Wielki Władca... m-m... chce powiedzieć... chce powiedzieć... że uważa cię za człowieka... m-m... człowieka z Ziemi. Chce powiedzieć, że bardzo ci rad... i chce dowiedzieć się, jeśli się tak mogą wyrazić, dowiedzieć się, jak urządzony jest wasz świat i... i dlaczegoście tak postąpili.. tutaj przyszli!“

„Phi-U zamilkł. Sądząc, że skończył, chciałem rozpocząć swe objaśnienia, okazało się jednak, że do końca jeszcze daleko. Zawilył i niejasnym stylem oznajmił mi jakieś wyszukane powitania, mówił, że księżyc odnosi się ku ziemi tak, jak ziemia ku słońcu; wspominał o jej znaczniejszej wielkości, o szacunku, jaki żywią ku niej obywatele księżycowi, o pragnie-



niu poznania wszystkiego, co się tyczy życia jej mieszkańców etc. etc.“

„Wysłuchawszy tych wszystkich wywodów, odrzekłem, że i my na ziemi niezmiernie interesujemy się Księżycem, który uważaliśmy za niezamieszkaną planetę i dlatego też w zdumienie wprawia mnie tak bogate na nim życie i taki nawet u nas niesłychany przepych.“

„Szalony, ogłuszający zgiełk audytorjum był odpowiedzią na moje słowa, a Wielki Władca na znak zadowolenia tak uparcie kierował na mnie bijące od niego promienie, że aż pociemniało mi w oczach.“

„Potem zaczął zadawać mi za pośrednictwem Phi-U'a cały szereg pytań, na które nietrudno mi było odpowiedzieć.“

„Mówił, że wie już od swoich astronomów, że żyjemy na powierzchni naszej planety, na której znajduje się też powietrze i woda, jednak nie pojmuje, jak urządzone jest życie na niej, ze względu na olbrzymie wahania się temperatury, mogące zgładzić wszelkie stworzenia. Dziwił się bardzo, gdym mu opisał zjawiska atmosferyczne, wśród których żyjemy, deszcz, obłoki, wiatry i t. d., jednak wszystko szybko zrozumiał.“

„Długo nie mógł pojąć, jak oczy nasze znoszą blask słońca, z trudem zdołałem objaśnić mu to działaniem atmosfery, pochłaniającej znaczną część promieni słonecznych. Błękitnego naszego nieba w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić. Udało mi się natomiast pokazać mu, jak źrenica naszych oczu rozszerza się i zwęża, dając większy lub mniejszy dostęp świetlnym promieniom. Nigdy dotychczas nie widząc źrenicy ocznej (oczy bowiem selenitów zbudowane zupełnie inaczej, nietylko odczuwają hystro

światłne, ale i ciepłne fale), Wielki Władca długo zabawiał się zwięzaniem i rozszerzaniem mych źrenic, kierując na nie swe światło, to znów je oddalając. Koniec końców omal nie oślepiłem przy tej zabawie.“

„Prócz tej maleńkiej nieprzyjemności rozmowa z nim sprawiła mi duże zadowolenie i całkiem uspokoiła mnie o przyszłość, do tego stopnia wszystkie jego pytania były rozumne i praktyczne. Zamknąwszy oczy, zapomniałem całkiem o tem, że rozmawiam z bezosobowem stworzeniem, w dosłownem tego słowa znaczeniu...“

„Ukończywszy przypatrywanie się mym źrenicom, Wielki Władca spytał mnie, jak chronimy się przed chłodem i upałem. Zacząłem więc opisywać nasze w tym kierunku urządzenie. I tu nastąpił cały szereg nieporozumień, może dlatego, że niedość jasno się wyrażałem. W żaden sposób nie mógł zrozumieć znaczenia i celu domów. Wydawało mu się, jak zresztą i wszystkim otaczającym nas selenitom, conajmniej dziwnem urządzenie takich mieszkań na powierzchni ziemi, tem bardziej, że sam poprzednio wspominałem o życiu pierwotnych ludzi w jaskiniach. Wogóle, starając się wszystko szczegółowo wyłożyć, plątałem się bezustannie, mówiłem o ziemskich kanałach, drogach żelaznych, kopalniach i tem ostatecznie zbiłem z tropu słuchaczy.“

„Porzuciwszy wreszcie niewyjaśnione pytanie o życiu ludzi, Wielki Władca skierował rozmowę na temat eksploatacji wnętrza naszej planety. Gdym zaś stwierdził, że wnętrza tego nie znamy wcale, że z czterech tysięcy mil oddzielających powierzchnię ziemi od jej środka zbadaliśmy najwyżej milę i to dość pobieżnie, całe audytorjum, nie wyłączając Wielkiego Władcy, nie mogło powstrzymać okrzyku zdzi-

wienia. Musiałem powtarzać trzy razy te słowa, zanim im dali wiarę. Zdawało mi się, że mają zamiar spytać się mnie, czemu zjawiamy się na Księżycu, swej własnej planety dobrze nie poznawszy; widocznie jednak przemogła ciekawość poznania innych szczegółów naszego życia, pytał bowiem o pogodę i inne atmosferyczne zjawiska.“

„Jak mogłem, opisałem mu śnieg, mróz, huragany, bezustannie zmieniające się widoki nieba, burze i t. d.“

„— A czy w nocy nie zimno? — pytał.

„Odrzekłem, że chłodniej niż we dnie, nie do tego stopnia jednak co na Księżycu.“

„— A czyż powietrze nie zamarza?

„Odpowiedziałem, że u nas nigdy do tego nie dochodzi, gdyż noce znacznie są krótsze.“

„— I nie staje się płynne?

„Chciałem odpowiedzieć, że nie, ale przypomniawszy sobie, że część powietrza, zamieniona w parę wodną zamarza, zacząłem szczegółowo opisywać zimę. Potem Wielki Władca żywo zainteresował się snem, gdyż konieczność perjodycznego spoczynku jest też właściwością naszej ziemskiej przyrody; na Księżycu śpią rzadko, i to pod wpływem znużenia po usilnej fizycznej pracy lub też pod działaniem upicia się. Opisawszy nocę, mówiłem o nocnych, potem wogóle o drapieżnych zwierzętach, tygrysach, lwach etc. Tu znowu spotkałem się z zupełnem niezrozumieniem rzeczy, na Księżycu bowiem od niepamiętnych czasów nie widziano żadnych zwierząt, prócz kilku wodnych drapieżców i bydła domowego.“

„— I te straszne potwory zabijają ludzi? — zawołał Wielki Władca.

„Odrzekłem, że i to się zdarza czasami, głównie jednak polują na zwierzęta domowe.“

„— Dlaczegoż ich nie wytępicie?

„Odpowiedziałem, że prędzej czy później do tego przyjdzie.“

„Nastąpiła pauza, w czasie której Wielki Władca rozmawiał o czymś z najbliższem otoczeniem, być może o głupocie ludzi, nie starających się schronić się pod powierzchnię ziemi przed niepogodą i dzikimi zwierzętami. Siedziałem w milczeniu, roztrzaskając swe odpowiedzi. Potem spytał mnie znowu o życie nasze społeczne i różne typy ludzi.“

„— Czyż u was ci sami ludzie mogą wykonywać różnego rodzaju prace? — rzekł wysłuchawszy moich objaśnień. — Któż tam myśli? Kto rządzi?

„Opisałem mu, jak mogłem, nasz ustrój demokratyczny; długo nie mógł zrozumieć; prosił o powtórzenie jeszcze raz wszystkiego i kazał sługom silniej spryskiwać i rozcierać głowę.

„— Więc u was każdy zajmuje się różnemi czynnościami? — spytał wreszcie.

„— Tak, jedni myślą i piszą, inni obrabiają ziemię, inni zajmują się mechaniką, wszyscy jednak rządzą — odrzekłem.

„— A w jaki sposób przygotowujecie ich organizmy do takiej różnorodnej pracy, czem nazewnątrz różnią się między sobą?

„— Niczem, prócz odzieżą; — tylko każdy z nich inaczej myśli.

„— Jakże mogą myśleć inaczej, nie różniąc się niczem i wykonywając jedną pracę! Nie rozumiem tego!

„Aby wyjaśnić mu kwestję, mówiłem, że wszystkie różnice między ludźmi zależą od ustroju mózgu, że są ludzie mądrzy i głupi, wielkoduszni i małodusz-

ni, rozsądni i lekkomyślni (tutaj przypomniałem sobie znaną mi postać').

„— I mimo to wszyscy biorą udział w rządach? — przerwał.

„— Do pewnego stopnia! — odrzekłem i jeszcze bardziej zaciemniłem kwestję.

„— Przecież musi być u was Wielki Władca Ziemi?

„Przeszedłem w myśli wszystkich ziemskich monarchów, musiałem jednak stwierdzić, że żaden z nich nie mógłby odgrywać tej roli, odrzekłem więc, że w zeszłych wiekach wielu próbowało zawładnąć światem, jednak bezskutecznie, gdyż Anglo-Sasi, rasa do której należę na ziemi, przeszkodziła im wszystkim.

„Władca Księżyca zdziwiony był tem niezmiernie, a poszeptawszy raz jeszcze ze swiątą, spytał:

„— Jak gromadzicie i chronicie swą wiedzę, nie posiadając odpowiednio przysposobionych indywidualów?

„Zacząłem mu opowiadać o księgach, bibliotekach, naukowych akademjach, o tem jak wiedza nasza pogłębia się dzięki pracy uczonych. Zauważył na to, że mimo naszego dzikiego życia w społeczeństwie, umieliśmy wysoko postawić naukę, jeśli potrafiliśmy przylecieć na Księżyc. Jednak kontrast między głęboką wiedzą a dzikim życiem jest rażący. Selenicy dzięki swej nauce zmieniają się sami, ludzie zaś pozostają dzikimi. Wykazał to wszystko bardzo sprytnie. Potem zaczął rozpytywać mnie o rodzenie, wychowanie i śmierć ludzi, o koleje żelazne i żegluge. Długo nie mógł uwierzyć, że od stu lat dopiero po-

1) Czy nie o mnie czasem myśli mr. Cavor? Przyznaję, nie spodziewałem się tego po nim.

slugujemy się siłą pary (trzeba zauważyć, że selenici lata liczą podobnie jak my; nie znam wprawdzie sposobu ich liczenia, ale Phi-U odrazu pojął nasz) — zdziwił się też tem bardzo. Przeszedłem potem do opisu miast, znów wprawiając w zdumienie Władcę Księzyca tem, że żyjemy życiem osiadłym dziewięć do dziesięciu tysięcy lat i dotychczas nie połączyliśmy się w jedną społeczność, stanowiąc oddzielne, często wrogie nacje.“

„Opowiadałem potem o różnicach językowych, współzawodnictwie narodów i wojnach. Wielki Władca dziwił się bardzo, żeśmy dotychczas nie wytworzyli wspólnego języka i zaczął szczegółowo wypytywać mnie o wojnę.

„— Czyż wy nie starając się dobrze zbadać waszej planety, zabijacie się nawzajem, by znaleźć pożywienie? — spytał.

„Nie mogąc odpowiedzieć mu szczegółowo na pytanie, potwierdziłem.

„— Przecież w ten sposób sami dla siebie stajecie się wrogami, zabijacie jedni drugich, niwecząc plody swej pracy — rzekł, widocznie z większą przykrością myśląc o tem ostatniem, niż o pierwszym.

„— Powiedz mi szczegółowo o tem, opisz wszystko, co możesz, trudno mi bowiem zrozumieć — ciągnął.

„Wówczas zacząłem opisywać — boję się, czy nie zanadto zawikłanie — całą procedurę wojenną, obozy, ataki, oddziały wywiadowcze, kurjerów, wartowników, nieraz zamarzających na posterunkach, zasadzki, ściganie zwyciężonych, widok pola bitwy. wspominałem o historii wojny, o napadach Hunnów. Tatarów, o wojnach Mahometa i kalifów, o wypra-

wach krzyżowych. Phi-U przekładał moje słowa, silne wrażenie wywołujące na selenitów.

„Opowiadałem potem o okrętach wojennych, o armatach, wyrzucających pociski, ważących tonę na odległość dwunastu mil, o minach i torpedach.

„Wielki Władca ogromnie interesował się tem wszystkim, wiele rzeczy każąc dwa razy powtarzać. Zwłaszcza dziwiła selenitów radość, z jaką ludzie idą na wojnę.

„— Czyż to możliwe, żeby wojna im się podobała! — rzekł Phi-U.

„Wytłumaczyłem mu jednak, że u nas wojnę uważają za zaszczytne zajęcie. Całe audytorjum słuchało jak porażone.

„— Jakaż z niej dla kogo korzyść? — spytał Władca Księżyca.

„— Co się dotyczy korzyści... — odrzekłem — wojna tępi nadmiar ludności.

„— Ale nacóż to potrzebne? Rozumiemy, na pewno konieczność, ale jakaż jest konieczność tępienia ludności?

„Nie umiejąc odpowiedzieć, zacząłem bronić ludzkości tem, że bardzo jeszcze jest młoda, że nie tak dawno doszliśmy do samowiedzy i pojęcia wszechświata.

„Widząc, że znowu wkląm się, Wielki Władca zwrócił rozmowę na meteorologię, barwy, obszary i wogóle sztukę.

„— Tak — rzekł wreszcie — nie poznawszy dobrze swej własnej planety, przylecieliście na Księżyc... Tak! Musimy się więc przygotować na wasze przyjęcie...

„— Sądziliśmy, że Księżyc niezamieszkały — do-rzuciłem niby objaśnienie.

„— Jeśli zjawia się tu inni ludzie, co będą tu robili? Ty, czy ten co był z tobą, już zabiliście wielu z naszych. Jeszcze o tem pomówimy. Czyż wszyscy ludzie będą się do nas w ten sposób odnosili? Czy przeniosą do nas swe wojny? I wszystko za to, że pastuchy nasze pognały za wami. I to uważacie już za dostateczny powód do wojny? Czyż będziemy musieli teraz gotować broń i wojsko dla odparcia waszych napadów? Dotychczas używaliśmy jej tylko do pasterstwa i rżnięcia krów, albo do obrony przed morskimi potworami. Czyż będziemy ją musieli użyć do walki z najeźdźcami z Ziemi?

„— Oni zjawia się z innym celem, porozumienia światów — odrzekłem lekko stropiwszy się.

„— Przysłali cię z tem do nas? Czem jednakże zaręczysz, że słowa dotrzymają? Czy przysłali cię tutaj unyślnie, czy też sam dobrowolnie podjąłeś się misji?

„— Nikt mnie nie posyłał — odrzekłem.

„— A więc zjawileś się z własnej woli, sam?

„— Towarzysz mój prawdopodobnie zginął.

„— Tak, pewnie przestraszył się, zabiwszy kilku naszych i wrócił na ziemię. Pomówimy jeszcze o tem...

„Ach, chciałbym móc się spodziewać, że wróci! — wyrwało mi się, nie bez ubocznej myśli o pomocy z ziemi, gdyż wspomnianie o dokonaniem przez nas zabójstwie zaczynało mnie już niepokoić; potem przeszedłem do wyłożenia motywów, które skłoniły nas do podróży na księżyc i do opowiadania o odkryciu keworytu. Aby lepiej zrozumieć wszystko, Wielki Władca zawezwał dwóch specjalistów-przyrodników; zrozumieli mnie tak szybko, że zdziwiłem się, dla-

czego keworytu dotychczas nie wynaleźli na księżycu. Wiedza ich w tym kierunku nie ustępowała w niczem naszej, idea keworytu dawno im była znana, tylko jej jeszcze nie przeprowadzili. Potem okazało się, że na księżycu brak heljum, bez którego nie można keworytu wytworzyć.“

„W rozmowie dałem im do poznania, że tajemnica fabrykacji keworytu jest tylko mnie samemu znana i beze mnie na ziemi nikt jej nie odkryje. Dziś zdaje mi się, że nie było to całkiem ostrożnie z mej strony mówić im o tem... Ale czyż potrzebna jest taka ostrożność? Losu mego ona nie zmieni, jak nie zmieniła usposobienia otaczających dla mnie. Wielki Władca przeszedł odrazu do rozmowy o międzyplanetarnych przestrzeniach, nie mogłem nawet udowodnić, że powiedziałem mu prawdę.“

„Bo wogóle trudno było przed nim kłamać. Muszę przyznać, że jego wielki rozum zmusza do uległości. Chciałbym zaznajomić go bliżej z ziemią, dać mu jasne pojęcie najgłówniejszych motywów, kierujących naszym życiem, zmusić go do szacunku dla nas i patrzenia na nas z większem dowierzaniem.“

„Gdy mu wyjaśnił wszystko, co tyczyło się naszej wyprawy na Księżyc, prosząc o przebaczenie głupiego gniewu Bedforda¹⁾ i gwałtu jego nad selenitami, audjencja skończyła się. Wielki Władca odrzekł mi, że narazie mu to wystarczy, że musi przemyśleć wszystko, czego się ode mnie dowiedział, posadzili mnie znowu na noszach i odnieśli z temi samemi ceremonjami do mej komnaty, leżącej w pobliżu aparatu, przy którego pomocy teraz telegrafuję. Po chwili odpoczynku zaraz wziąłem się do pracy.“

¹⁾ I poległ tu połem na przyjaciolu!

„Bardzo rad jestem, że nikt mi nie przeszkodził w przesłaniu tak długiej depezy. Usilnie starałem się oddać wszystko pod świeżem wrażeniem, i tak przypuszczam, że wiele szczegółów tej całej ciekawej audjencji opuściłem. Przy następnem widzeniu się z Wielkim Władcą, będę się starał wytłumaczyć mu, że okropności wojny są również dla mnie, jak dla niego niesympatyczne, i że nie mam zamiaru przesyłania tajemnicy fabrykacji keworytu na ziemię, chyba tylko w wypadku, usuwającym wszelką możliwość gwałtu ze strony ludzi, i wogóle jakiejś międzyplanetarnej tragedji. Spodziewam się, że zrozumie i podzieli mój pogląd na to wszystko, pogląd porządnego człowieka. Jeśli mu to wszystko wyjaśnię, to on bez wątpienia...”

Na tem depeza urywa się nagle.

Trudno nie przyznać, że Cavor okazał się bardzo niepraktycznym i nietaktownym. Nagadawszy Wielkiemu Władcy moc bredni o wojnie i okrucieństwie ludzkim, przyznał się, że od niego jednego zależy dopuszczenie ludzi na Księżyc. Jasna rzecz, jak powinni byli selenicy postąpić w takim wypadku! Podczas gdy Cavor rozwodził się w żalach nad popełnionem głupstwem, Wielki Władca Księżyca zdążył już obmyślić swoje położenie i udaremnił mu dostęp do telegraficznego aparatu. Być może, Cavor miał potem jeszcze kilka audjencyj — któż wie? W każdym razie cały tydzień nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości, potem nagle otrzymaliśmy dwa następujące, oderwane zdania:

„Nie wiem, w jaki sposób dać do zrozumienia Wielkiemu Władcy...”

Nastąpiła minuta przerwy; widocznie ktoś mu przeszkodził, albo też sam w przestachu odskoczył od aparatu, potem zaś znowu rzucił się ku niemu

i jakby szamotając się z kimś usiłował sygnalizować najważniejsze zdanie:

„Keworyt tworzy się tak, weźcie...

Potem zaś całkiem bezmyślny urywek słowa „narad...”

Prawdopodobnie chciał powiedzieć, że teraz już „nadaremnie“, bo siłą go odciągali od aparatu, możliwe, że nawet zabili. W każdym razie zaszło coś, co przeszkodziło nam otrzymywać dalsze wieści z Księżyca...

Niedawno widziałem we śnie, jak wielki tłum selenitów, z jasnej, siennej przestrzeni ciągnie go gdzieś w zmrok, w krainę wiecznego milczenia.....

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Mr. Bedford spotyka mr. Cavora w Lympe	1
II. Pierwszy efekt „keworytu“	17
III. Budowa kuli	25
IV. Wnętrze aparatu	35
V. W drodze na Księżyc	40
VI. Przybycie na Księżyc	46
VII. Wschód słońca na Księżycu	51
VIII. Poranek na Księżycu	57
IX. Zaczynamy badania	61
X. Ludzie zaginieni na Księżycu	67
XI. Pastwisko krów księżycowych	76
XII. Oblicze selenitów	87
XIII. Przypuszczenie mr. Cavora	93
XIV. Próby porozumienia	102
XV. Zawrotny mostek	109
XVI. Plany	121
XVII. Walka w piwnicy księżycowej rzeźni	131
XVIII. W blasku słonecznym	141
XIX. Mr. Bedford sam	151
XX. Mr. Bedford w przestworzach	161
XXI. Mr. Bedford w Littlestone	167
XXII. Zdumiewające odkrycie mr. Juljusza Wendige	182
XXIII. Wyciąg z sześciu pierwszych pism mr. Cavora	187
XXIV. Historia naturalna selenitów	195
XXV. Czy żyje mr. Cavor?	211

